

KATHERINE ANNE PORTER

BIAŁY KOŃ, BIAŁY JEŹDZIEC

OPOWIADANIA



Tłumaczyła Krystyna Tarnowska

CZYTELNIK 1971

PAN MŁODY NIE PRZYSZEDŁ

Wyszarpnęła zręcznie przegub dłoni z krótkich i grubych, ostrożnych palców doktora Harry'ego i podciągnęła prześcieradło pod brodę. Smarkacz powinien jeszcze chodzić w krótkich majtkach. Doktoruje po okolicy w okularach na nosie!

– Zmykaj już, weź swój tornister i zmykaj. Nic mi nie jest.

Doktor Harry położył łąpsko ciepłe jak poduszka na jej czole, gdzie rozwidlona, zielona żyła pulsowała i wprawiała w drzenie powieki. – Proszę być grzeczną dziewczynką, a raz dwa postawimy panią na nogi.

– Tak nie wolno mówić do prawie osiemdziesięcioletniej kobiety tylko dlatego, że leży w łóżku. Radziłabym ci, młodzieńcze, okazywać szacunek starszym.

– Przepraszam, panienczko. – Doktor Harry poklepał ją po policzku. – Ale muszę panią ostrzec, prawda? Jest pani ósmym cudem świata, trzeba jednak uważać, bo inaczej będzie pani tego gorzko żałowała.

– Nie musisz mi mówić, co będę robiła. Psychicznie czuję się już na nogach. Wszystko przez Kornelią. Musiałam pójść do łóżka, żeby się od niej odczepić.

Miała uczucie, że jej kości są nie powiązane, że unoszą się w jej skórze, doktor Harry też się unosił jak balon przy nogach łóżka. Unosił się obciągając kamizelkę i wymachując okularami na sznurku. – Niech pani poleży, to na pewno nie zaszkodzi.

– Zmykaj i lecz swoich chorych – powiedziała babcia Weatherall. – Nie czepiaj się zdrowej kobiety. Wezwę cię, jak mi będziesz potrzebny... Gdzie byłeś czterdzieści lat temu, kiedy się wykaraskałam z gorączki

popołogowej i obustronnego zapalenia płuc? Nie słuchaj Kornelii, ona cię nabiera! – wrzasnęła, bo doktor Harry zdawał się odpływać pod sufit i znikać. – Sama za wszystko płacę i nie będę wyrzucała pieniędzy na bzdury!

Chciała mu pomachać na pożegnanie, ale wymagałoby to zbyt dużego wysiłku. Oczy jej się zamknęły, było tak, jak gdyby ktoś zaciągnął ciemną zasłonę dokoła łóżka. Poduszki uniosły się i kołysały pod nią, przyjemnie jak na hamaku w łagodnym wietrze. Wsłuchiwała się w szelest liści za oknem. Nie, to ktoś szeleści gazetami. Nie, to Kornelia i doktor Harry rozmawiają szeptem. Oprzytomniała raptownie, miała uczucie, że szepcą jej prosto do ucha.

– Nigdy taka nie była, nigdy!... No cóż, czego się możemy spodziewać... Tak, osiemdziesiąt lat...

Co z tego, że ma osiemdziesiąt lat? Przecież wciąż ma uszy. To takie typowe dla Kornelii, szeptać pod drzwiami. Zawsze robiła sekrety w taki jawny sposób. Zawsze była taktowna i dobra. Kornelia jest obowiązkowa; na tym polega kłopot. Obowiązkowa i dobra. – Tak dobra i obowiązkowa – powiedziała babcia – że miałabym ochotę dać jej lanie. – Wyobraziła sobie, jak daje Kornelii lanie, i to solidne.

– Co mówiłaś, mamó?

Babcia poczuła, jak mięśnie twarzy zaciskają jej się w twarde supły.

– Czy człowiekowi naprawdę nie wolno pomyśleć?

– Zdawało mi się, że chcesz czegoś.

– Owszem. Chcę wielu rzeczy. Przede wszystkim wyjdź stąd i przestań szeptać.

Leżała drzemiąc, we śnie pocieszała się, że dzieci nie wpadną do pokoju i że pozwolą jej chwilę odpocząć. Miała za sobą długi dzień. To nie znaczy, że jest zmęczona. Ale przyjemnie czasem odsapnąć. Zawsze jest tyle do zrobienia, zaraz, niech się zastanowię: jutro.

Do jutra dużo czasu, więc nie ma się czym przejmować. Wszystko się zawsze jakoś zrobi, kiedy przyjdzie właściwa pora; dzięki Bogu, zostaje mały margines na chwilę spokoju: a wtedy można rozłożyć przed sobą plan życia i wygładzić starannie rogi. Przyjemnie jest mieć wszystko czyste i pochowane, nawet szczotki do włosów i flakony z miksturami wzmacniającymi stoją równo na białym, haftowanym płótnie; dzień zaczął się bez zamieszania, półki w spiżarni są zastawione rzędami słoików z galaretką i brązowymi dzbanami, i białymi fajansowymi naczyniami w niebieskie esy-floresy wokół napisów: kawa, herbata, cukier, imbir, cynamon, majeranek; a brązowy zegar z lwem na wierzchu jest starannie odkurzony. Te ilości kurzu, które się zbierają na lwie w ciągu dwudziestu czterech godzin! Pudło na strychu pełne listów, związane, no cóż, będzie musiała jutro je przejrzeć. Niepokoila ją myśl, że te wszystkie listy – listy George’a i listy Johna, i jej listy do nich – leżą tak na wierzchu że potem dzieci je znajdą. Nie ma sensu, żeby wiedziały, jaka była kiedyś niemądra.

Szperając w myślach znalazła śmierć i ta wydała jej się wilgotna i zimna, i obca. Tyle czasu spędziła na przygotowaniach do śmierci, że nie ma potrzeby do tego wracać, Niech się śmierć sama o siebie martwi. W sześćdziesiątym roku życia czuła się bardzo stara, skończona i zaczęła odbywać pożegnalne podróże, odwiedzała dzieci i wnuki, z tajemnicą w duszy: Dzieci, po raz ostatni widzicie swoją matkę! Potem zrobiła testament i położyła się na długo do łóżka z gorączką. Był to tylko dziwny pomysł, jak wiele innych, ale miał swoje dobre strony, bo raz na zawsze – i to na długo – wybił jej z głowy myśl o śmierci. Teraz nie będzie się tym przejmować. Miała nadzieję, że jest już na to za rozsądna. Jej ojciec żył sto dwa lata i na swoje ostatnie urodziny wypił kwaterkę mocnego, gorącego grogu. Powiedział reporterom, że jest to jego codzienny zwyczaj i że grogowi zawdzięcza długie życie. Wywołał mały skandal i był z siebie bardzo zadowolony. Postanowiła, że podręczy

trochę Kornelię.

– Kornelia! Kornelia! – Żadnego odgłosu kroków, tylko natychmiast ręka dotykająca jej policzka.

– Gdzieś ty była, dziecko?

– Tutaj, mamo.

– Słuchaj, Kornelia, chcę kubek gorącego grogu.

– Zimno ci, kochanie?

– Trochę chłodno. Leżenie w łóżku utrudnia krążenie. Tłumaczyłam ci to z tysiąc razy.

No i usłyszała, jak Kornelia mówi swojemu mężowi, że matka dziecinnieje i trzeba jej ustępować. Kornelia uważała, i to było najbardziej irytujące, że ona jest ślepa, głucha i niema. Małeńkie gesty, pośpieszne spojrzenia, rzucane dokoła, bokiem i nad jej głową, mówiły: „Nie denerwujcie jej, niech będzie tak, jak chce, ma osiemdziesiąt lat”, a ona siedziała pośród tego wszystkiego, jakby zamknięta w cienkiej, szklanej klatce. Czasem była już prawie zdecydowana spakować się i wrócić do siebie, gdzie nikt by jej nie przypominał co chwila, że jest stara. Poczekaj, Kornelia, poczekaj, aż twoje własne dzieci zaczną szeptać za twoimi plecami!

W swoim czasie lepiej prowadziła dom i więcej pracowała. Nie była jeszcze aż tak stara, żeby się Lidii nie opłacało przejechać samochodem osiemdziesiąt mil i spytać ją o radę, kiedy jedno z dzieci uciekło z domu, a Jimmy nawet teraz wpadał i omawiał z nią swoje sprawy. „Mamo, masz taką dobrą głowę do interesów, chciałbym wiedzieć, co o tym myślisz”... Stara. Kornelia nie przestawi mebli, żeby się jej nie poradzić. Drobne sprawy, drobne sprawy! Tacy byli rozkoszni, jak byli mali. Zapragnęła, żeby wróciły dawne czasy, kiedy dzieci były małe – żeby musiała zacząć wszystko od początku. Wysiłek był duży, ale nie za duży dla niej. Kiedy pomyśli o tych ilościach jedzenia, które gotowała, i o odzieży, którą kroila

i szyła, i o ogrodach, które urzędowała – och, widać to po dzieciach. No proszę, powstały z niej – i nie uciekną przed tym! Czasem przychodziło jej do głowy, że chciałyby zobaczyć Johna, pokazać mu dzieci i powiedzieć: No jak, nieźle sobie poradziłam, prawda? Ale to będzie musiało poczekać. Poczeka z tym do jutra. Myślała o nim zawsze jako o dojrzałym mężczyźnie, ale teraz dzieci były starsze od swojego ojca, a on sam byłby przy niej dzieckiem. Wydawało się to dziwne i w samej tej myśli było coś niewłaściwego. Przecież on by jej nie poznał. Kiedyś ogrodziła sto akrów ziemi, sama kopała dołki na słupy i rozpiniała drut – z pomocą tylko jednego murzyńskiego chłopca. To zmienia ,kobietę. John szukałyby młodej dziewczyny z wysokim hiszpańskim grzebieniem we włosach, z malowanym wachlarzem. Kopanie dołów na słupy zmienia kobietę. Druga rzecz, to jeżdżenie zimą po drogach wiejskich, kiedy sąsiadki rodziły; spędzanie nocy przy chorych koniach, chorych Murzynach, chorych dzieciach... i przecież nigdy żadne nie umarło. John, przecież nigdy żadne z nich nie umarło. John zaraz by się zorientował, zrozumiałby, nie musiałyby mu nic tłumaczyć.

Zbudziło to w niej ochotę, żeby zakasać rękawy i doprowadzić ten dom do porządku. Chociaż Kornelia upierała się, żeby być wszędzie jednocześnie, mnóstwo rzeczy pozostawało tu nie zrobionych. Zabierze się do nich jutro. To dobrze, że starcza jej sił na wszystko, nawet jeśli to, co robi, rozplywa się i zmienia, i wymyka się jej z rąk, tak że zanim skończy robotę, zapomina, po co się do niej wzięła. Co to ja miałam zrobić? – pytała samą siebie z przejęciem, ale nie mogła sobie przypomnieć. Mgła zebrała się nad doliną, widziała, jak maszeruje na drugi brzeg strumienia i wstępuje na wzgórze niczym armia duchów. Niedługo znajdzie się po tej stronie sadu, a wtedy będzie czas wejść i zapalić lampy. Chodźcie, dzieci, nie siedźcie na dworze, robi się już chłodno.

Zapalanie lampy było czymś cudownym. Dzieci tuliły się do niej,

oddychały jak malutkie cielaczki czekające w zmierzchu za ogrodzeniem. Śledziły oczami zapałkę i obserwowały, jak płomień podnosi się i osiada niebieskim łukiem, a potem odsuwały się od niej. Lampa była zapalona, nie musiały się już bać i trzymać kurczowo matki. Nigdy, nigdy, nigdy więcej. Boże, dziękuję Ci za całe moje życie. Bez Ciebie, Boże, nigdy nie dałabym sobie rady. Zdrowaś Mario, łaski pełna.

Chcę, żebyś zebrała w tym roku wszystkie owoce i przypilnowała, aby się nic nie zmarnowało. Zawsze można znaleźć kogoś, komu się przydadzą. Nie pozwól, żeby się dobre rzeczy marnowały, bo ich nikt nie użył. Trwonisz życie, gdy trwonisz dobrą żywność. Nie pozwól, żeby się rzeczy gubiły. Przykro jest gubić rzeczy. No, tylko nie zaczynaj myśleć, nie teraz, kiedy jesteś zmęczona i chcesz się zdrzemnąć przed kolacją... Poduszka zaczęła się podnosić wokół jej ramion i napierać na serce, tłumiąc w nim wspomnienia; och, niech ktoś zepchnie poduszkę w dół, bo jak będę ją próbowała przytrzymać, zadusi mnie. Wiał taki rześki wietrzyk i dzień był taki zielony, bez żadnych gróźb. Ale on mimo to nie przyszedł. Co robi kobieta, kiedy przypnie dla mężczyzny biały welon i przygotuje tort, a on mimo to nie przyjdzie? Usiłowała sobie przypomnieć. Nie, przysięgam, on mnie nigdy nie skrzywdził, tylko ten jeden raz. Nigdy mnie nie skrzywdził, tylko ten jeden raz... i co z tego, jeśli mnie skrzywdził? Był ten dzień, ten dzień, ale wzbil się kłęb ciemnego dymu i zasłonił go, podniósł się wyżej i przepęłzył na rozświetlone pole, gdzie wszystko było tak starannie zasadzone w równiutkich rzędach. To było piekło, a ona poznawała piekło od pierwszego wejrzenia. Przez sześćdziesiąt lat modliła się o to, żeby go nie pamiętać, i o to, żeby nie stracić duszy w piekle, i teraz te dwie rzeczy stopiły się w jedno i myśl o nim była wydobywającym się z piekła czarnym kłębem dymu, który przesuwiał się i rozpełzał w jej głowie, kiedy w końcu pozbyła się doktora Harry'ego i chciała chwilę odpocząć. Zraniona duma, w Ellen odezwał się ostry

głos gdzieś pod samą czaszką. Nie pozwól, żeby zraniona duma wzięła nad tobą górę. Czy to jedną dziewczynę rzucił mężczyzna? Rzucił cię mężczyzna, prawda? No to zachowaj się jak należy. Powieki jej zadrgały i wpuściły pasma zielonoszarego światła, jakby miała oczy przykryte bibułą. Musi wstać i opuścić story, bo inaczej nie zaśnie. Leżała znów w łóżku i story nie były opuszczone. Jak się to mogło stać? Obróci się na bok, zasłoni od światła, spanie w świetle daje złe sny. – Mamo, jak się teraz czujesz? – i coś kłującego, wilgotnego na czole. Przecież nie lubię, jak mi myją twarz zimną wodą!

Hapsy? George? Lidia? Jimmy? Nie, Kornelia, z twarzą spuchniętą i pełną maleńkich kałuży. – Przyjdą, kochanie, wszyscy będą tu niedługo. – Idź, dziecko, i umyj twarz, wyglądasz śmiesznie.

Kornelia nie usłuchała, tylko uklękła i położyła głowę na poduszce. Zdawało się, że mówi, ale nie było słyhać żadnego dźwięku. – Co to, język uwiązł ci w gardle? Czyje to urodziny? Wydajesz przyjęcie?

Usta Kornelii poruszały się gwałtownie, układały się w dziwaczne kształty. – Nie rób tego, córko, denerwujesz mnie.

– Och, nie, mamo. Och, nie...

Nonsens. Jakie to dziwne z tymi dziećmi. Zaprzeczają każdemu naszemu słowu. – Co nie, Kornelia?

– Jest doktor Harry.

– Nie chcę widzieć tego smarkacza. Wyszedł dopiero pięć minut temu. – To było rano, mamo. Teraz jest wieczór. Przyszła pielęgniarka.

– To ja, proszę pani, doktor Harry. Wygląda pani młodo jak nigdy i ma pani zadowoloną minę.

– Ach, młoda już nigdy nie będę... ale będę zadowolona, jak mi pozwolicie poleżeć w spokoju i odpocząć.

Zdawało jej się, że mówi głośno, ale nikt nie odpowiedział. Ciepły ciężar na czole, ciepła bransoletka na przegubie dłoni i powiał wietrzyk,

szeptał usiłując jej coś powiedzieć. Szelest liści w wiecznie trwałej ręce Boga, On dmucha na nie, a liście tańczą i szeleszczą. – Mamo, nie denerwuj się, damy ci tylko zastrzyk. – Słuchaj, córko, jak się to dzieje, że mrówki wchodzą mi do łóżka? Widziałam wczoraj mrówki. Czy Hapsy też zawiadomiłaś?

Tak, naprawdę chciała zobaczyć Hapsy. Musiała zawrócić i iść bardzo długo przez wiele pokoi, żeby znaleźć Hapsy stojącą z dzieckiem w ramionach. Wydawało jej się, że ona sama też jest Hapsy i że dziecko w ramionach Hapsy jest Hapsy i jednocześnie sobą i nią, i w tym spotkaniu nie było żadnej niespodzianki. Potem Hapsy roztopiła się od środka i zrobiła się zwiewna jak szary tiul i dziecko było tiulowym cieniem, a Hapsy zbliżyła się do niej i powiedziała: „Myślałam, że nigdy nie przyjdiesz – i przyjrzała jej się badawczo, i dodała: – Zupełnie się nie zmieniłaś”. Pochylone do siebie miały się ucałować, gdy nagle rozległ się szept Kornelii płynący z bardzo daleka: – Och, czy chcesz mi coś powiedzieć, mamo? Czy mogłabym ci jakoś pomóc?

Tak, po sześćdziesięciu latach zmieniła postanowienie i chciałyby zobaczyć George’a. Chcę, żebyś odszukała George’a. Odszukaj go i koniecznie mu powiedz, że go zapomniałam. Niech wie, że mimo wszystko miałam męża i miałam dzieci, i miałam dom, jak inne kobiety. Dobry dom i dobrego męża, którego kochałam i z którym miałam wspaniałe dzieci. Lepsze, niż mogłam się spodziewać. Powiedz mu, że zwrócono mi wszystko, co on mi zabrał, i to z nawiązką. Och, nie, och, Boże – nie, było jeszcze coś oprócz domu i męża, i dzieci. Och, z pewnością oni nie byli wszystkim! Ale co to było? Coś, czego mi nie zwrócono... Oddech zatrzymał jej się pod żebrami i przybrał monstrualny, przerażający kształt, miał ostre kanty; podszedł do góry i wwiercił się w głowę, i teraz męka była nieprawdopodobna. Tak, John, wezwij doktora, nie ma co, przyszedł mój czas.

Kiedy się to dziecko urodziło, powinno było być ostatnie. Ostatnie. Powinno się było urodzić pierwsze, bo właśnie jego naprawdę pragnęła. Wszystko przyszło we właściwym czasie. Nic nie zostało przełożone na później. Była silna, za trzy dni będzie się czuła dobrze, jak za każdym razem. Lepiej. Kobiecie do pełnego zdrowia potrzebne jest mleko w piersiach.

– Mamo, słyszysz mnie?

– Przecież ci mówiłam...

– Mamo, przyszedł ksiądz Connolly.

– Przystępowałam do komunii świętej w zeszłym tygodniu. Powiedz mu, że nie jestem aż taką grzesznicą.

– Ksiądz chce z tobą tylko pomówić.

A niech sobie mówi, ile chce. To takie typowe dla księdza Connolly, wpada i dopytuje się o jej duszę, jakby to było ząbkujące niemowlę, a potem zostaje na filiżankę herbaty, na partyjkę kart i na plotki. Miał jej zwykle do opowiedzenia jakąś śmieszną historyjkę, najczęściej o pewnym Irlandczyku, który popełniał małe grzeszki i potem się z nich spowiadał, a pointa polegała na tym, że Irlandczyk paplał zawsze w konfesjonale jakieś niedorzeczności, które wskazywały na toczącą się w nim walkę między wrodzoną pobożnością i grzechem pierworodnym. Babcia nie martwiła się o swoją duszę. Kornelia, jak ty się zachowujesz? Podajże księdzu Connolly krzesło. Miała swoje tajne, miłe porozumienie z garstką ulubionych świętych, którzy torowali jej drogę do Boga. Wszystko tak należycie podpisane i opieczętowane, jak akt kupna nowych czterdziestu akrów. Na zawsze... spadkobiercy i beneficjanci na zawsze. Od tego dnia, w którym ślubny tort nie został pokrajany, tylko go wyrzucono, zmarnowano. Świat się zawalił, stała nic nie widząca i spocona, ziemia rozstępowała się przed nią, ściany się osuwały. Chwycił ją ręką w tali, nie upadła, miała pod nogami świeżo wyfroterowaną posadzkę i zielony

dywan, dokładnie jak przed chwilą. Zaklął jak marynarz. – Zabiję go za ciebie. – Nie podnoś na niego ręki, przez wzgląd na mnie zostaw coś Bogu. – Ellen, musisz uwierzyć w to, co mówię...

A więc nie było się już o co martwić, naprawdę nie było, czasem tylko w nocy któreś z dzieci zaczynało krzyczeć w sennym koszmarze i oboje wyskakiwali z łóżek dygocąc i szukając zapalek, i wołając: „Poczekaj, już idziemy!” John, wezwij doktora, przyszedł już czas Hapsy. Ale Hapsy stała obok łóżka, w białym czepku na głowie. – Kornelia, powiedź Hapsy, żeby zdjęła ten czeppek. Nie widzę jej wyraźnie.

Otworzyła szeroko oczy i pokój pokazał jej się bardzo wyraźnie, jak obraz, który gdzieś widziała. Mroczne kolory i długie cienie sięgające sufitu. Wysoka, czarna komoda lśniła, nie było na niej nic, tylko fotografia Johna, powiększenie z małego zdjęcia, John miał na niej oczy bardzo czarne, chociaż powinny być niebieskie. Nigdy go pan nie widział, więc skąd pan może wiedzieć, jaki był? Ale fotograf dowodził, że odbitka jest doskonała, bardzo wyraźna i piękna. Może jak na fotografię, ale to nie jest mój mąż. Na stoliku obok łóżka był lniany obrusik, a na nim stał krucyfiks i świeca. Jedwabne abażury Kornelii dawały to niebieskie światło. Czysta komedia, nie światło. Na to, żeby ocenić uczciwą elektryczność, trzeba było żyć czterdzieści lat przy lampach naftowych. Czują się teraz bardzo silna, zobaczyła doktora Harry’ego z różowawą aureolą wokół głowy.

– Doktorze, wyglądasz jak święty, ale święty to ty nigdy nie będziesz...

– Ona coś powiedziała...

– Słyszałam cię, Kornelia. Co znaczy ten cały harmider?

– Ksiądz Connolly mówi, że...

Głos Kornelii zatoczył się i podskoczył jak bryczka na wyboistej drodze. Objechał zakręty i wrócił, i nigdzie nie dojechał. Babcia wsiadła lekko do bryczki i sięgnęła po lejce, ale obok niej siedział mężczyzna i powoził, poznała go po rękach. Nie spojrzała na jego twarz, bo wiedziała

bez patrzenia, ale zamiast tego spojrzała na drogę, nad którą pochylały się drzewa i składały przed sobą ukłony, a tysiące ptaków śpiewało Mszę. Ona też miała ochotę śpiewać, ale wsunęła rękę za dekolt i wyciągnęła różaniec, a ksiądz Connolly mruczał coś namaszczoneym głosem po łacinie i łaskotał ją w piąty. Mój Boże, skończy ksiądz z tymi bzdurami? Co z tego, że uciekł i że musiałam sama stanąć przed duchownym? Znalazłam drugiego, był o całe niebo lepszy. Nie wymieniłabym mojego męża na nikogo z wyjątkiem św. Michała, możecie mu to ode mnie powiedzieć i jeszcze podziękować na dodatek.

Światło zabłysło za jej zamkniętymi powiekami i wstrząsnął nią potężny huk. Kornelia, czy to się błyska? Słyszę grzmot. Będzie burza. Pozamykajcie okna. Zawołajcie dzieci do domu...

– Mamo, jesteśmy wszyscy przy tobie. – Czy to ty, Hapsy? – Och, nie, to ja, Lidia. Jechaliśmy najszybciej, jak się dało. – Ich twarze unosiły się nad nią, odpływały. Różaniec wypadł jej z rąk i Lidia wsunęła go z powrotem. Jimmy chciał pomóc, ich dłonie poruszały się niezdarne i babcia zacisnęła dwa kciuki na kciuku Jimmy’ego. Paciorki nie pomogą, to musi być coś żywego. Była tak zdumiona, że myśli wirowały jej i wirowały w głowie. Więc to, mój Boże, jest moja śmierć, a ja o niej nawet nie myślałam. Dzieci przyjechały, żeby być przy mojej śmierci. Kiedy ja nie mogę, to nie jest odpowiednia chwila. Nigdy nie lubiłam niespodzianek. Chciałam dać Kornelii moje ametysty... Kornelia, masz mieć moje ametysty, ale niech je Hapsy nosi, jak będzie miała ochotę... i doktorze Harry, przestańże gadać. Nikt po ciebie nie posyłał. Och, Panie, poczekaj chwilą. Muszą coś zrobić z tymi czterdziestoma akrami, Jimmy ich nie potrzebuje, a Lidia ma tego nicponia męża i na pewno jej się później przydadzą. Chciałam skończyć obrus na ołtarz i chciałam posłać sześć butelek wina siostrze Borgia, wino jest dobre na niestrawność. Księżę Connolly, chcą posłać sześć butelek wina siostrze Borgia, niech

mi ksiądz przypomni.

Głos Kornelii brał ostre zakręty, runął i roztrzaskał się. – Och, mamó, och, mamó, och, mamó...

– Nie odchodzę, Kornelio. Nie jestem gotowa. Nie mogą.

Zobaczysz znów Hapsy. A co z nią? „Myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz”. Babcia odbyła długą podróż w dal szukając Hapsy. Co będzie, jeśli jej nie znajdzie? Co wtedy? Jej serce zapadało się coraz niżej i niżej, w śmierci nie było dna, nie mogła dotrzeć do jej krańca. Niebieskie światło spod abażuru Kornelii zmalowało i było teraz drobnym punkcikiem w środku jej mózgu, migotało i mrugało jak oko, drgało spokojnie i gasło. Leżała kuląc się w sobie, zdumiona i czujna, wpatrzona w punkt światła, który był nią; jej ciało było teraz głębszą bryłą cienia w nieskończonej ciemności i ta ciemność owinie się dokoła światła i pochłonie je. Boże, daj znak!

Po raz drugi nie było znaku. Znowu nie ma pana młodego, a jest ksiądz w domu. Nie mogła sobie przypomnieć żadnej innej boleści, bo ten smutek zatarł je wszystkie. Och, nie, nic nie jest bardziej okrutne od tego – nigdy nie wybaczę. Rozprostowała się wciągając głęboko powietrze i zdmuchnęła światło.

PRZEMIJALNOŚĆ

CZĘŚĆ PIERWSZA: 1885-1902

Żyła pełną życia młodą kobietą o ciemnych, kręconych włosach, krótko obciętych i rozdzielonych na boku, o drobnej owalnej twarzy z prostymi brwiami i pełnych, wygiętych w łuk wargach. Okrągły biały kołnierzyk wyglądał z wycięcia jej zapiętego na guziki, obcisłego żakietu, okrągłe białe mankiety podnosiły piękno leniwych rąk z maleńkimi dołkami, leżących swobodnie w fałdach spódnicy, obszytej falbaną i zebranej w tiurniurę. Siedziała tak, na wieczne czasy upozowana do fotografii, nieruchomy wizerunek w ciemnej orzechowej ramce ze srebrnym listkiem dębowym w każdym rogu, wodząc uśmiechniętymi, szarymi oczami za każdym, kto chodził po pokoju. Był to zuchwały, obojętny uśmiech, trochę niepokojący dla jej siostrzenic, Marii i Mirandy. Dziwiły się dość często, dlaczego wszystkie dorosłe osoby patrząc na fotografię mówią: – Jakie to śliczne. – I dlaczego wszyscy, którzy ją znali, twierdzili, że była taka piękna i czarująca.

Tło miało w sobie jakąś wyblakłą wesołość – wazon z kwiatami i aksamitne draperie, tego rodzaju wazon i tego rodzaju draperie, jakich teraz nikt nie chciałby mieć w domu. Strój nie wyglądał nawet romantycznie, a tylko przeraźliwie staromodnie i w umysłach małych dziewczynek kojarzył się z rzeczami umarłymi, jak lecznicze papierosy babki i jej meble pachnące woskiem, i jej staromodne perfumy, Kwiat Pomarańczy. Kobieta na fotografii była ciotka Amy, ale była tylko zjawą w ramce i smutną, ładną opowieścią z dawnych czasów. Była piękna, bardzo kochana, nieszczęśliwa i umarła młodo.

Maria i Miranda w wieku lat dwunastu i ośmiu wiedziały, że są młode, chociaż miały uczucie, że żyją bardzo długo. Przeżyły nie tylko własne lata; zdawało im się, że ich wspomnienia zaczęły się na długo

przedtem, zanim one przysły na świat, w życiu dorosłych z ich otoczenia, przeważnie starych ludzi powyżej czterdziestki, którzy dowodzili uparcie, że oni też byli kiedyś młodzi. Trudno w to było uwierzyć.

Ich ojciec, brat ciotki Amy, miał na imię Harry. Była jego ukochaną siostrą. Spoglądał czasem na fotografię i mówił: – Nieszczególne zdjęcie. Włosy i uśmiech stanowiły jej główny urok, a tego wcale tu nie widać. Poza tym była znacznie szczuplejsza. Bogu dzięki, nigdy nie mieliśmy w rodzinie tęgich kobiet.

Słyszac w ustach ojca takie słowa Maria i Miranda zastanawiały się, bynajmniej go nie krytykując, co ma na myśli. Ich babka była cienka niczym patyk; ich dawno zmarła matka wydawała się na fotografiach chuda niemal jak palec. Zachwycające młode panny, o których Miranda dowiadywała się ze zdumieniem, że są jak ona wnuczkami babki, przyjeżdżały ze szkoły na wakacje chępiac się swoimi osiemnastoma całami w talii. Ale w jaki sposób ojciec wytłumaczy tuszę ciotecznej babki Elizy, która z trudem przeciskała się przez drzwi, a gdy siadała, była od nóg po szyję jednym litym pomnikiem w kształcie piramidy? A co z cioteczną babką Keziah w Kentucky? Kiedy doszła do wagi dwustu pięćdziesięciu funtów, wujeczny dziadek John Jacob, jej mąż, zabronił żonie dosiadać dobrych wierzchowców. „Nie – powiedział – rycerskość jeszcze we mnie nie umarła. Ale nie umarł też zdrowy rozsądek, nie mówiąc już o miłosierdziu wobec naszych wiernych, niemych przyjaciół. Silniejszym z tych uczuć jest miłosierdzie”. Ktoś napomknął wujecznemu dziadkowi Johnowi Jacobowi, że miłosierdzie powinno go powstrzymać od ranienia próżności kobiecej, jak to zrobił swoją uwagę o figurze ciotecznej babki Keziah. „Kobieca próżność na pewno wyleczy się z ran – powiedział wujeczny dziadek John Jacob bezlitośnie – ale co z grzbietami moich koni? Zresztą gdyby miała trochę prawdziwej kobiecej próżności, nie doprowadziłaby się do takiego stanu”. Cóż, cioteczna babka Keziah

słynęła ze swej tuszy, a czy nie należała do rodziny? Ale coś się chyba działo z pamięcią ich ojca, kiedy wspominał młode kuzynki z czasów swojej młodości i twierdził uparcie, że wszystkie, w każdym pokoleniu, były smukłe niczym trzciny i pełne gracji jak sylfidy.

Ta lojalność ojca w obliczu dowodów sprzecznych z jego ideałem miała swoje źródło w solidarności rodzinnej i wspólnym dla nich wszystkich zamiłowaniu do legend. Lubili opowiadać historie romantyczne i poetyczne albo komiczne, lecz zabarwione romantycznym humorem nie upiększali faktów, liczyło się uczucie. Przeszłość niewoliła ich serce i wyobraźnię, przeszłość, w której sprawy przyziemne nie odgrywały prawie żadnej roli. Ich opowieści były niemal zawsze historiami, miłosnymi na tle jasnego i czystego, cudownie błękitnego nieba.

Fotografie, portrety nieudolnych malarzy, którzy szczerze pragnęły pochlebić, odświętne stroje poprzekładane suszonymi ziołami i kamforą rozczarowywały, kiedy dziewczynki starały się je dopasować do żywych istot, które dorosli wskrzeszali w ich wyobraźni swoimi natchnionymi słowami. Na wiosnę i na jesieni babka, czując we krwi przymus wywołany zmianą pór roku, spędzała prawie cały dzień przy starych kufrach i pudłach na strychu, wyjmując jedną po drugiej warstwy ubrań i pamiątkowych drobiazgów; rozkładała je obok na podłodze płacząc na widok niektórych rzeczy, prawie zawsze tych samych, spoglądając znów na fotografię w aksamitnych ramkach, odwijając znów zasuszone kwiaty i pukle włosów, płacząc łagodnie i spokojnie, jak gdyby łyby były jedyną przyjemnością, jaka jej została w życiu.

Jeżeli Maria i Miranda zachowywały się bardzo cicho i bez pozwolenia niczego nie dotykały, mogły siedzieć przy niej albo odchodzić i wracać. Istniało milczące porozumienie, że żałość babki jest sprawą najściślej osobistą i że nie należy jej dostrzegać czy o niej wspominać. Dziewczynki przeprowadzały inspekcją przedmiotów, jednego po

drugim, i dochodziły do wniosku, że same w sobie wcale nie są frapujące. Takie niegustowne małe girlandki i naszyjniki, niektóre z masy perłowej; takie zjedzone przez mole pęki strusich piór do przybrania głowy; takie niewydarzone, ogromne broszki i bransoletki ze złota i barwnej emalii; śmieszne grzebienie o długich zębach, ozdobione drobnymi perełkami i strasami. Miranda, sama nie wiedząc dlaczego, czuła ogarniającą ją melancholię. Jakie to żałosne, że te wypełzłe przedmioty, te poźółkłe długie rękawiczki i niezdarne pantofelki, te szerokie szarfy, popękane w miejscach złożenia, służyły kiedyś dziewczętom za jedyne ozdoby. I gdzie są teraz te dziewczęta i ci chłopcy w dziwnych kołnierzykach? Młodzi mężczyźni wydawali się jeszcze bardziej nierealni od dziewcząt – zapięte wysoko pod szyję żakiety, szerokie krawaty, uczernione wąsiki, faliste włosy starannie zaczesane nad czołem. Kto mógł brać na serio mężczyzn o takim wyglądzie?

Nie, Maria i Miranda nie umiały współczuć tym młodym osobom, które siedziały tak jakoś sztywno przed obiektywem, beznadziejnie staromodne; ale pociągała je i urzekała tajemnicza miłość żyjących, którzy pamiętali i kochali tych zmarłych. Dostrzegalne ślady nic nie znaczyły; były pyłem ulegającym zniszczeniu, jak ciało; rysy utrwalone na papierze czy metalu były niczym, ale żywa pamięć zachwycała dziewczynki. Słuchały chciwie, z entuzjazmem, przebijając wśród luźnych wątków narracji, zlepiając najlepiej jak mogły urywki opowieści, będących niejako strzępami poezji czy muzyki, a w rzeczy samej kojarzących się z poezją, którą czytały lub słyszały, z muzyką, z teatrem.

– Opowiedz jeszcze raz, jak to było, kiedy ciotka Amy wyjeżdżała zaraz po ślubie.

– Wybiegła przed dom w ten zimny i pochmurny dzień, wsiadła do powozu, obróciła się i uśmiechnęła, a twarz miała białą jak śmierć, i zawołała: „Żegnajcie, żegnajcie”, i nie chciała włożyć płaszcza, tylko

powiedziała: „Dajcie mi kieliszek wina”, i nikt z nas już jej nie zobaczył.

– Kuzynko Koro, dlaczego ona nie chciała włożyć płaszcza?

– Bo nie była zakochana, dziecino.

I tak klęska nauczyła mnie rozmyślać, że przyjdzie czas i zabierze moją miłość.

– Wujaszku Billu, czy ona była naprawdę piękna?

– Jak anioł, kochanie.

Wokół tronu Najświętszej Panny tańczyły złotowłose anioły w długich, niebieskich, plisowanych spódnicach. Żaden z nich nie przypominał ciotki Amy, żaden nie miał tego typu urody, który dziewczynki nauczyły się podziwiać. Istniały pewne kanony urody, po których osądzano kobietę bardzo surowo. Po pierwsze piękność musi być wysoka; niezależnie od koloru oczu, włosy muszą być ciemne, im ciemniejsze, tym lepiej; cera musi być blada i gładka. Lekkość i zwinność ruchów miała duże znaczenie. Kobieta piękna powinna doskonale tańczyć, znakomicie jeździć konno, powinna mieć pogodne usposobienie i obejście nacechowane miłą wesołością, którą zawsze miarkuje godna postawa. Piękne ręce i zęby, naturalnie, ale ukoronowaniem tego wszystkiego powinien być pewien tajemniczy urok, który podbija i ujarzmia serca. Dla dziewczynek było to bardzo podniecające i zniechęcające. Miranda wierzyła uparcie przez całe dzieciństwo, że chociaż jest drobna, chuda, ma zadarty nos upstrzony piegami, szare oczy pełne plamek i częste napady złego humoru, wyrosnie jakimś cudownym sposobem na wysoką brunetkę o mlecznej cerze, jak kuzynka Isabel; postanowiła, że zawsze będzie nosić białą atlasową suknię z trenem. Maria, naprawdę rozsądna, nie miała takich złudzeń. – Jesteśmy podobne do rodziny mamusi – powiedziała. – Trudno, takie jesteśmy i już. Nigdy nie będziemy piękne i zawsze będziemy miały piegi. A ty – zwróciła się do Mirandy – nie masz nawet miłego usposobienia.

Miranda uznała zarówno prawdę, jak i słuszność tej niegrzecznej

uwagi, nadal jednak w głębi duszy wierzyła, że któregoś dnia otrzyma urodę – otrzyma ją jak spadek, jak oddane jej nagle do rąk bogactwo, na które bynajmniej nie zasłużyła. Dość długo wierzyła, że będzie kiedyś podobna do ciotki Amy, nie takiej, jak na fotografii, tylko takiej, jaka została w pamięci tych wszystkich, którzy ją znali.

Kiedy kuzynka Isabel, ubrana w swój czarny, obcisły strój do konnej jazdy, wychodziła w otoczeniu młodych ludzi i z gracją dosiadała wierzchowca, ściągając wędzidło w taki sposób, że koń tańczył kunsztownie w miejscu, gdy tymczasem oni wskakiwali na siodła z tym samym powściągniętym podnieceniem serce Mirandy przesywała tak ostra strzała zachwytu, zazdrości, dumy, że było to niemal bolesne; ale obok znajdował się zawsze ktoś dorosły, kto studził jej emocje.

– Jeździ prawie tak dobrze jak Amy, prawda? Ale Amy uprawiała czysto hiszpański styl jazdy, potrafiła zmusić konia do kroku, o jaki nikt by go nawet nie podejrzewał.

Jej młoda imienniczka, Amy, idąc na tańce szeleściła w hallu białą, marszczoną taftą, połykiwała jak ćma w świetle lampy, trzymała łokcie sztywno ścignięte do tyłu niczym skrzydła, szła posuwicie, jak na rolkach, bo tak nakazywała moda tych czasów. Uważano ją na balach za najlepszą tancerkę i Maria, wciągając w nozdrza smugę perfum snującą się za Amy, załamywała ręce i mówiła: – Och, kiedy ja wreszcie będę dorosła! – Ale dorośli twierdzili, że pierwsza Amy była lżejsza, że tańczyła walca płynniej i zwiewniej; druga Amy nigdy jej nie dorówna. Kuzynka Molly Parrington, kobieta mocno już niemłoda (w rzeczy samej należąca do pokolenia starszego niż ciotka Amy), słynęła z osobistego uroku. Mężczyźni, którzy znali ją całe życie, nadal się do niej garnęli; nie ulegało wątpliwości, że teraz, kiedy szczęśliwie owdowiała po raz drugi, wyjdzie ponownie za mąż. Ale Amy, mówili dorośli, miała ten sam temperament i dowcip bez jej zuchwalstwa, a już na pewno nie można

było nazwać Molly osobą taktowną. Farbowała włosy i robiła na ten temat dowcipy. Miała zwyczaj otaczać się mężczyznami w kącie pokoju i opowiadać im historyjki. Była wyrodną matką dla swojej brzydkiej córki Ewy, starej panny, która przekroczyła czterdziestkę, kiedy jej matkę obierano królową balu.

– Urodziłam ją w piętnastym roku życia – mówiła Molly bezwstydnie, patrząc w oczy staremu wielbicielowi, chociaż oboje pamiętali, że był drużbą na jej pierwszym ślubie i że ona miała wtedy najmniej dwadzieścia jeden lat. – Wszyscy mówili, że wyglądam jak mała dziewczynka z lalką.

Ewa, nieśmiała, z cofniętym podbródkiem, starając się przesłonić górną wargą dwa ogromne zęby, siadywała w kącie i obserwowała matkę. Wydawała się głodna, oczy miała zaczerwienione i zmęczone. Nosila stare suknie matki i uczyła łaciny w szkole dla dziewcząt. Opowiadała się za prawami wyborczymi dla kobiet i jeździła po kraju wygłaszając odczyty. W nieobecności matki Ewa jakby rozkwitała – ładnie tańczyła, uśmiechała się pokazując wszystkie zęby i była jak zasuszona roślina, którą wystawiono na łagodny deszczyk. Molly żartowała na temat swojego brzydkiego kaczątka. – To dla mnie szczęście, że moja córka jest starą panną – mówiła z szelmowskim uśmiechem. – Mniejsza szansa, że zrobi ze mnie babką. – Ewa czerwieniła się, jakby jej ktoś dał klapsa.

Ewa była nieudana – to pewne, ale dziewczynki czuły, że należy do ich powszedniego świata nudnych lekcji, które trzeba było wkuwać, sztywnych bucików, które trzeba było rozchodzić, szorstkiej flanelowej bielizny, na którą były skazane w czasie zimna, do świata odry i zawiedzionych nadziei. Ciotka Amy należała do świata poezji. Romantyczne dzieje długiej, nieodwzajemnionej miłości wuja Gabriela do ciotki Amy, jej przedwczesna śmierć – takie historie można było znaleźć tylko w starych

książkach, książkach oderwanych od tego świata, ale prawdziwych, jak „Vita Nuova”, „Sonety” Szekspira i „Pieśń weselna” Spensera; i w poezji Edgara Allana Poe’a.

*A miłowaliśmy się miłością
Nad miłość innym daną...*

Ojciec im to przeczytał i powiedział: – Był naszym największym poetą – i dziewczynki wiedziały, że „nasz” znaczyło pochodzący z Południa. Ciotka Amy była tak autentyczna, jak postacie w starych albumach Holbeina i Dürera. Leżąc na brzuchach Maria i Miranda oglądały świat dziwów, przewracały sfatygowane, łatwo wypadające stronicie i wcale nie były zdziwione, że Matka Boska siedzi na spróchniałej kłodzie drzewa i karmi Dzieciątko; ani nie wątpiły, że śmierć i diabeł jadą w strzemionach ponurego rycerza; ani nie wydawało im się niewłaściwe, że sztywno ubrane damy z otoczenia sir Thomasa More’a siedzą godnie, czy też zdają się siedzieć na podłodze. Nie zabierano ich na pokazy psów ani kucyków, ani na przedstawienia latarni magicznej, ale ojciec prowadził je do teatru na „Hamleta”, na „Poskromienie złościcy” i na „Ryszarda III”, a także na długą i smutną sztukę, w której występowała Maria, królowa Szkocji. Miranda była pewna, że olśniewająca dama w czarnej aksamitnej sukni jest naprawdę królową Szkocji, i bardzo się zmartwiła, kiedy jej powiedziano, że prawdziwa królowa umarła bardzo dawno – wcale nie tego wieczoru, kiedy Miranda była przy tym obecna.

Dziewczynki przepadały za teatrem, tym światem postaci ponadludzkich wymiarów, które wkraczały majestatycznie na scenę i ożywiały ją swoją obecnością, za ich ponadludzkimi głosami, gestami bogów i bogiń, rządzących wszechświatem. Ale zawsze odzywał się głos wspominający inne i świetniejsze okazje. Babka widziała w

młodości Jenny Lind i uważała, że Nellie Melba jest przereklamowana. Ojciec widział Sarę Bernhadt, dla której Modrzejewska w ogóle nie była rywalką. Kiedy Paderewski grał po raz pierwszy w ich mieście, zjechali się krewni i poszli na koncert z domu babki. Dziewczynki nie uczestniczyły w tym wielkim wydarzeniu. Dzielily z dorosłymi emocje wyjazdu na koncert i piękne chwile powrotu, kiedy krewni stali w małych grupkach, z filiżankami kawy i kieliszkami, i rozmawiali ściszym głosem, pełni podziwu i radości. Dziewczynki, odczuwając wagę tego wydarzenia, kręciły się w koszulach nocnych między dorosłymi i słuchały, dopóki ktoś ich nie zauważył i nie przepędził z czarownego kręgu tej wspaniałości. Jednakże pewien starszy pan słyszał kiedyś Rubinsteina, słyszał go wielokrotnie. Nie mógł się oprzeć uczuciu, że Rubinstein osiągnął szczyty interpretacji; natomiast Paderewski raczej go zawiódł. Dziewczynki słyszały jego mamrotania, rękę trzymał podniesioną i bił nią powietrze, jak gdyby domagał się ciszy. Tamci patrzyli na niego i słuchali, nie psuło im to podniosłego, tkliwego nastroju. Nie słyszeli nigdy gry Rubinsteina; zaledwie przed godziną słyszeli Paderewskiego i czy naprawdę trzeba wracać do przeszłości? Wyciągana siłą z pokoju Miranda na pół rozumiała staruszka i nienawidziła go. Miała uczucie, że również słyszała grę Paderewskiego.

A więc istniało życie poza życiem na tym świecie, jak również na tamtym; takie epizody utwierdzały w dziewczynkach przekonanie o szlachetności ludzkich uczuć, o boskości ludzkich wyobrażeń o tym, co niewidzialne, o doniosłości życia i śmierci, o głębiach ludzkiego serca, o romantycznej wartości tragedii. W czasie jednej z wizyt kuzynka Ewa usiłowała je zainteresować łaciną, opowiedziała im więc o Johnie Wilkesie Booth, który pięknie odziany w długi czarny płaszcz wyskoczył na scenę po zamordowaniu prezydenta Lincolna. „*Sic semper tyrannis!*” – zawołał wspaniałym głosem, mimo że miał złamaną nogę. Dziewczynki nie

wątpiły nigdy, że przebieg zdarzenia był dokładnie taki, a oto morał, jaki stąd wypływa: w chwilach wielkich czy tragicznych należy mieć zawsze na podorędziu łacinę lub przynajmniej dobry cytat z poezji klasycznej. Kuzynka Ewa zwróciła dm uwagę, że nikt, nawet patriota z Południa, nie może pochwalać uczynku Johna Wilkesa Bootha. Ostatecznie było to morderstwo. Niech o tym zawsze pamiętają. Ale Miranda, przyzwyczajona do tragedii w książkach i w legendach rodzinnych – dwaj wujeczni dziadkowie popełnili samobójstwo, a jakaś odległa antenatka zwariowała z miłości – doszła do wniosku, że gdyby nie było morderstwa, nie miałyby sensu strojenie się w czarny płaszcz i wyskakiwanie na scenę z łańciskim okrzykiem. Więc jak mogła potępiać sam uczynek? Była to piękna opowieść. Miranda знаła pewnego staruszka, ich dalekiego krewnego, który cenił sobie aktorstwo Bootha i widział go w wielu sztukach, ale niestety nie w tej największej scenie. Miranda bardzo żałowała; byłoby przyjemnie mieć jakiś rodzinny związek z zabójstwem Lincolna.

Wuj Gabriel, który kochał tak rozpaczliwie ciotkę Amy, żył wciąż jeszcze, chociaż Maria i Miranda nigdy go nie widziały. Po jej śmierci wyjechał gdzieś bardzo daleko. Nadal trzymał konie wyścigowe i pojawiał się z nimi na wszystkich słynnych torach wyścigowych w kraju, a zdaniem Mirandy nikt nie mógł wybrać sobie świetniejszej kariery. Ożenił się po raz drugi, dość szybko, i napisał do babki prosząc ją, by w miejsce Amy uznała jego nową żonę za córkę. Babka odpisała chłodno wyrażając w liście zgodę i zapraszając ich do siebie, ale tak się jakoś złożyło, że wuj Gabriel nie przywiozł młodej żony do domu. Odwiedziwszy ich w Nowym Orleanie Harry oznajmił, że druga żona Gabriela jest bardzo ładną i dobrze wychowaną jasnowłosą dziewczyną, która będzie na pewno bardzo dobra dla Gabriela. Mimo to wuj Gabriel miał serce złamane. Skrupulatnie raz

na rok pisał do kogoś z rodziny i przysyłał pieniądze na wieniec dla Amy. Ułożył wiersz na jej kamień nagrobny i przyjechał do miasta rodzinnego przypilnować, żeby go dobrze wyryto. Sam nie wiedział, jak się to stało, że napisał ten wiersz; od czasów szkolnych nie próbował nigdy składać rymów. Ale gdy któregoś dnia myślał o Amy, wiersz sam przyszedł mu do głowy – ot, z powietrza. Maria i Miranda widziały ten wiersz, wydrukowany złotymi literami na karcie żałobnej. Wuj Gabriel przysłał bardzo dużo takich kart, do rozdziału między członków rodziny.

*Przeszła przez ciernie życia i agonię śmierci,
A teraz, uwolniona, nowym życiem żyje,
I z aniołami śpiewa – bez pamięci
O smutkach tego, co przemija.*

– Czy ona naprawdę śpiewała? – spytała Maria ojca.

– Co to ma za znaczenie? – odparł. – Przecież to jest wiersz.

– Ja uważam, że jest ładny – oznajmiła Miranda. Wuj Gabriel był kuzynem drugiego stopnia jej ojca i ciotki Amy. Poezja stawała się przez to bliższa.

– Nie taki zły, jak na poezję nagrobkową – powiedział ojciec – ale mógłby być lepszy.

Wuj Gabriel czekał pięć lat, zanim ciotka Amy za niego wyszła. Była chora, miała słabe płuca; była dwukrotnie zaręczona z innymi młodymi mężczyznami i bez żadnego powodu zrywała zaręczyny: i kpiła z rad starszych i życzliwych osób, które uważały to za kaprys z jej strony, że nie odwzajemnia uczuć tak przystojnego i romantycznego młodzieńca jak Gabriel, będącego zresztą jej kuzynem drugiego stopnia; nie wychodziłaby za mąż za człowieka obcego. Jej oziębłość pchnęła podobno Gabriela do rozmaitych szaleństw, a nawet do picia. Gabriel był ulubieńcem swego

bardzo bogatego dziadka. Pokłócili się o konie wyścigowe i Gabriel wybuchnął: „Mój Boże, przecież muszę mieć coś w życiu!” – Jak gdyby nie miał wszystkiego: młodości, zdrowia, urody, perspektywy bogactwa i kochającej rodziny. Dziadek zwrócił mu uwagę, że w gruncie rzeczy jest niewdzięcznikiem, a ponadto ma zadatki na rozrzutnika. Gabriel powiedział: „Sam trzymałeś konie wyścigowe, dawały ci doskonały dochód.” „Ale nie czerpałem z nich środków do życia” – odparł dziadek.

Gabriel pisał do Amy o tym i o wielu innych sprawach z Saratogi, z Kentucky, z Nowego Orleanu, przysyłał jej prezenty, kwiaty opakowane w lód, telegramy. Prezenty były zabawne, jak na przykład ogromna klatka pełna maleńkich, zielonych papużek-nierozłaczek; albo ozdoba do włosów – rozkwitła emaliowana róża, z kroplami rosy ze strasów emaliowanym wielobarwnym motylem, który trzepotał się zawieszony nad różą na złotym druciku. Ale telegramy przerażały zawsze jej matkę, a kwiaty, po długiej podróży pociągiem, a potem końmi na wieś, nie wyglądały najlepiej. Gabriel przysyłał róże, kiedy ogród różany przed domem był w pełnym rozkwicie. Amy uśmiechała się na ten widok, ale jej matka twierdziła, że to ze strony Gabriela gest czarujący i wzruszający. Dowodzi, że Amy jest bezustannie w jego myślach.

„To dla mnie nieodpowiednie miejsce” – oznajmiła Amy, ale powiedziała to w taki sposób i takim tonem, że nie można było odgadnąć, co ma na myśli. Istniała zawsze możliwość, że mówi na serio. I nie odpowiadała na pytania.

– Strój ślubny Amy – powiedziała babka rozpościerając ogromny płaszcz z aksamitu w kolorze gołębim i kładąc obok srebrnoszarą suknię z mory i mały szary aksamitny toczek z ciemnoczerwoną kitką z piór. Obok siedziała kuzynka Isabel, rodzinna piękność. Prowadziły rozmowę, której Miranda, jeśli miała ochotę, mogła się przysłuchiwać.

– Nie chciała białej sukni ani welonu – ciągnęła babka. – Nie mogłam

protestować, bo powiedziałam, że każda z moich córek będzie miała taką suknię ślubną, jaką sobie wybierze. Ale byłam zaskoczona decyzją Amy. „Jak ja bym wyglądała w białym atlasie?” – spytała. To prawda, była błada, ale wyglądałaby anielsko, wszyscyśmy jej to mówili. „Jak będę miała ochotę, włożę żałobę – oznajmiła. – To przecież mój pogrzeb, wiesz o tym.” Przypomniałam jej, że Lou i twoja matka miały białe suknie z welonami i że cieszyłabym się, gdyby wszystkie moje córki były jednakowo ubrane do ślubu. Amy powiedziała: „Lou i Isabel są inne niż ja”. Chociaż prosiłam, nie chciała mi wyjaśnić, co ma na myśli. Kiedyś, jak była chora, powiedziała: „Mamo, nie zostanę długo na tym świecie”, ale miałam wrażenie, że wcale tak nie myśli. „Możesz żyć bardzo długo, jeżeli będziesz się zachowywała rozsądnie”, zapewniłam ją. „W tym cały kłopot – powiedziała Amy. – Żał mi Gabriela – dodała. – Nie wie, na co się naraża”.

Usiłowałam jej raz jeszcze wytłumaczyć – ciągnęła babka – że małżeństwo i dzieci wyleczą ją z wszystkiego. „Wszystkie kobiety w naszej rodzinie są w młodości chorowite – powiedziałam. – Kiedy byłam w twoim wieku, nikt się nie spodziewał, że pożyję dłużej niż rok. Ta choroba nazywała się błędnica i wszyscy wiedzieli, że jest na nią tylko jedno lekarstwo.” Amy odparła: „Nawet gdybym żyła sto lat i zrobiła się błada jak śmierć, też nie będę chciała wyjść za Gabriela.” Wtedy powiedziałam jej bardzo poważnie, że jeśli naprawdę tak to odczuwa, nie wolno jej za niego wychodzić. Powinna natomiast wytłumaczyć wszystko Gabrielowi i raz na zawsze go odprawić. Przeboleje to z czasem. „Tłumaczyłam mu to i odprawiłam go – oznajmiła Amy. – Ale on po prostu nie słucha”. Wtedy obie roześmiałyśmy się i powiedziałam jej, że młode dziewczęta mają sto sposobów na nieprzyznawanie się do tego, że chcą wyjść za mąż, i tysiąc sposobów na wypróbowanie swojej władzy nad mężczyznami, ale że ona przeciągnęła już strunę i teraz jest najwyższy

czas na szczerość i powzięcie decyzji. Jeśli idzie o mnie – mówiła babka – pragnęłam z całej duszy wyjść za twojego dziadka i gdyby on mi się nie oświadczył, na pewno bym to sama zrobiła. Amy dowodziła, że po prostu nie może sobie wyobrazić, żeby chciała wyjść za kogoś za mąż. Będzie, zapewniała nas, miłą starą panną, jak Ewa Parrington. Bo już wtedy było oczywiste, że Ewa jest urodzoną starą panną. Harry powiedział: „Och, Ewa... Ewa nie ma podbródka, to jej nieszczęście. Gdybyś ty, Amy, nie miała podbródka, byłabyś w takiej samej fatalnej sytuacji jak ona, to pewne.” Wuj Bill mawiał: „Jak kobiecie nie pozostaje nic innego, składa ślub czystości. Kiepski to partner w łóżku”. „Kiedy tak naprawdę jest mi potrzebny dobry partner do tańca – oznajmiła Amy. – Człowiek, który tańcząc przeprowadziłby mnie przez życie.” Nie warto było rozmawiać z nią poważnie.

Jej bracia wspominali ją czule jako dziewczynę bardzo rozsądną. Wysłuchawszy ich uwag na temat charakteru i postępowania ciotki Amy Maria doszła do wniosku, że uważali ją za dziewczynę rozsądną, ponieważ wybierając się na tańce pytała ich, jak wygląda. Jeżeli im się coś nie podobało, przebierała się albo zmieniała uczesanie, dopóki jej nie pochwalili, i mówiła: „Jesteście aniołami, że nie pozwalacie swojej biednej siostrze wyjść między ludzi jak potwór”. Ale nie chciała słuchać ani ojca, ani Gabriela. Zdarzało się, że gdy Gabriel pochwalił suknię, którą miała na sobie, zniknęła i wracała w innej. Zachwycił się jej długimi, czarnymi włosami i kiedyś, podnosząc je z poduszki, gdy leżała chora, powiedział: „Kocham twoje włosy, Amy, najpiękniejsze włosy na świecie”. Podczas następnej wizyty przekonał się, że Amy ma włosy krótko obcięte i skręcone w loki. Patrzył na nią ze zgrozą, jak gdyby się rozmyślnie okaleczyła. Nie chciała zapuścić włosów, nawet bracia nie mogli jej do tego namówić. Właśnie wtedy zrobiła tę fotografię, która wisiała na ścianie, i posłała Gabrielowi; odesłał ją bez słowa. Bardzo z

tęgo zadowolona oprawiła fotografię. Na samym dole był cieniutki napis atramentem: Kochanemu Bratu Harry'emu, który lubi moje krótkie włosy.

Była to figlarna aluzja do bardzo groźnego skandalu. Maria i Miranda patrzyły często na ojca i zastanawiały się ciekawie, co by było, gdyby ojciec trafił młodego człowieka, do którego strzelał. Ten młody człowiek pocałował jakoby ciotkę Amy, chociaż wcale nie był z nią zaręczony. Wuj Gabriel wyzwał go na pojedynek, ale ojciec ubiegł wuja Gabriela. Był miłym, zupełnie zwyczajnym ojcem, który brał swoje córki na kolana, kiedy miały na sobie ładne sukienki i zachowywały się grzecznie, a odpychał je, gdy nie miały starannie uczesanych włosów i porządnie wyszorowanych paznokci. – Idźcie sobie, jesteście odrażające – stwierdzał rzeczowo. Dostrzegał przekrzywione szwy na ich pończochach. To on kazał im myć zęby obrzydliwą miksturą kredy, węgla drzewnego i soli. Kiedy zachowywały się głupio, nie mógł znieść ich widoku. Rozumiały mgliście, że wszystko to jest dla ich przyszłego dobra; a kiedy zaziębione pociągały nosami, leczył je przepyszny gorący grogiem i pilnował, żeby go im dawano. Pocieszał się zawsze, że nie wyrosną na osoby tak głupie, jak wydawały się teraz, i zadawał im strasznie peszące pytanie: – Skąd wy to wiecie? – gdy one nie mogły sobie przypomnieć i składały w jego obecności dogmatyczne oświadczenia; wychodziło zawsze na jaw, w sposób ogromnie dla nich żenujący, że wcale nie wiedziały, tylko powtarzały czyjeś zasłyszane słowa. Wszystko to utrudniało rozmowę z ojcem, bo zastawiał sidła, w które one się łapały, a z biegiem lat stało się rzeczą bardzo dla nich ważną, żeby ojciec nie uważał ich za „idiotki”. Otóż ten ich ojciec wyjechał kiedyś do Meksyku i spędził tam blisko rok, ponieważ strzelał do młodego człowieka, z którym ciotka flirtowała na jakimś balu. Postąpił bardzo brzydko, bo powinien był wyzwać tego człowieka na pojedynek, jak to zrobił wuj Gabriel. A tymczasem zwyczajnie do niego strzelił, co dowodziło zupełnego braku wychowania.

Postępek ojca wywołał w całej okolicy wielkie wzburzenie i o mało nie doprowadził do ostatecznego zerwania ciotki Amy z wujem Gabrielem. Wuj Gabriel twierdził uparcie, że młody człowiek pocałował ciotkę Amy, a ciotka Amy twierdziła, że tylko „zachwycał się jej włosami.

Na ostatki wydawano wspaniały bal kostiumowy. Harry wybierał się na ten bal w stroju toreadora, ponieważ jego ukochana, Mariana, dostała właśnie z Meksyku nową czarną mantylę i hiszpański grzebień. Maria i Miranda widziały fotografię matki w tym stroju; na jej ślicznej twarzy nie było śladu kokieterii, oczy patrzyły poważnie spod ogromnej kaskady czarnych koronek, spływających z czubka grzebienia, za uchem miała zatkniętą różę. Kostium ciotki Amy był kopią pasterskiego stroju, jaki miała na sobie maleńka figurka z saskiej porcelany stojąca na półce nad kominkiem w salonie; bardzo wierną kopią, z kapeluszem ozdobionym wstążkami, złożonym kijem pasterskim, głęboko wyciętym, wykończonym koronką stanikiem, sutą, podebraną spódnicą, zielonymi pantofelkami i tak dalej. Włożyła do tego stroju małą czarną maseczkę, ale naturalnie nie było to żadne przebranie. – Z daleka każdy by poznał, że to Amy – powiedział ojciec dziewczynek. Gabriel (sześć stóp i trzy cale wzrostu) wybrał strój odpowiedni do kostiumu ciotki Amy i zrobił z siebie istne widowisko w niebieskich atlasowych spodniach do kolan i pełnej loków, złocistej peruce z kokardą. – Czuł się jak głupiec i tak też wyglądał – oznajmił wuj Bill. – A zanim minął wieczór, zachował się jak głupiec.

Wszystko szło cudownie, dopóki towarzystwo nie zebrało się w hallu, żeby wyruszyć na bal. Ojciec Amy (musiał się urodzić dziadkiem, pomyślała Miranda) rzucił jedno spojrzenie na swoją córkę, na jej widoczne spod spódnicy kostki u nóg obciągnięte białymi pończochami, na głęboki dekolt, dwie plamy różu na policzkach, i wpadł w szal urażonej moralności. „To skandal – oznajmił głośno. – Nie pozwolę, żeby moja

córka wyszła tak wyfiokowana między ludzi! To wyzwanie! – grzmiał.
– Wyzwanie!”

Amy zdjęła maskę i uśmiechnęła się do niego. „Ach, tatusiu – powiedziała słodziutko – co ci się w tym nie podoba? Spójrz na kominek. Ona stoi tam od niepamiętnych czasów i nigdy się nie gorszyła.”

„To spora różnica – powiedział ojciec – spora różnica, moja panno, i doskonale o tym wiesz. A teraz wracaj na górę i zanim wyjdiesz z tego domu, zasłoń dekolt i opuść spódnicę na przyzwoitą długość. I umyj twarz!”

„Nie widzę w tym nic niestosownego – oznajmiła stanowczo matka Amy – i w ogóle nie powinieneś używać takich słów w obecności niewinnych młodych dziewcząt.” – Matka i Amy wzięły się do dzieła i z pomocą kilku domownic bardzo prędko załatwiły sprawę. Po dziesięciu minutach Amy wróciła z twarzą wymytą, dekoltem przysłoniętym koronkami i spódnicą pasterską, zamiatającą skromnie dywan.

Kiedy Amy wyszła z ubieralni na salę, żeby zatańczyć swój pierwszy taniec z Gabrielem, koronka zniknęła z jej dekoltu, spódnica jeszcze zuchwałej odsłaniała nogi, a plamy na policzkach miały barwę granatu. „Gabriel, powiedz prawdę, przecież szkoda byłoby psuć mój kostium?” – Gabriel, uszczęśliwiony, że spytała go o zdanie, oświadczył, że jej strój jest wspaniały. Przyznali oboje z życzliwą tolerancją, że starzy ludzie często bywają niezośni, ale że przecież nie należy im okazywać jawnego nieposłuszeństwa. Ich młodość minęła, co im zostało z życia?

Tańcząc z Marianą, która w walcu zręcznie przerzucała ciężki tren przy każdym obrocie, Harry zaczął się niepokoić o siostrę. Amy miała stanowczo za duże powodzenie. Widział młodych ludzi idących do niej przez salę prosto jak po sznurku, wpatrzonych w te obciążone białym jedwabiem kostki u nóg. Niektórych w ogóle nie znał, innych znał aż za dobrze i uważał, że nie są odpowiednim towarzystwem dla jego siostry

Amy. Gabriel, nieszczęśliwy w swoim lirycznym atlasie i jasnej peruce, stał trzymając przewiązany wstążką kij pasterski w taki sposób, jak gdyby nagle wyrosły z niego ciernie. Prawie nie tańczył z Amy, a z innymi kobietami tańczyć nie lubił, i czuł się okropnie.

Bardzo późno zjawił się na balu, i to sam, pewien młody Kreol przebrany za Jean Lafitte'a; przed dwoma laty był zaręczony jakiś czas z Amy. Podszedł prosto do niej i z miną szczęśliwego kochanka powiedział na tyle głośno, że wszyscy w pobliżu go usłyszeli: „Wiedziałem, że tu jesteś, i tylko dlatego przyszedłem. Chcę z tobą zatańczyć i zaraz odejść.” Amy, której twarz rozbłysła radością, zawołała: „Raymond!”, jak gdyby był jej ukochanym. Przetańczyła z nim cztery tańce, a potem wyszła z sali wsparta na jego ramieniu.

Harry i Mariana, w konwencjonalnie romantycznym przebraniu, nienagannie zaręczeni, bezpieczni w swoim szczęściu, tańczyli powoli walca w takt swej ulubionej pieśni, melancholijnego pożegnania Króla Maurów, który opuszczał Grenadę. Śpiewali sobie cichutko, niezbyt pewną hiszpańszczyzną, pieśń o miłości i rozstaniu, o smutku przesywającym jak szpada, budzącym w nas czułość dla wszystkich istot nieszczęśliwych i wydziedziczonych: „O, domu mojej miłości, mój ziemski raju... którego nigdy nie ujrzę... dokąd szybuje ta biedna jaskółka, znużona i bezdomna, szukająca schronienia tam, gdzie nie ma schronienia? Jam też z dala od domu, a nie mam skrzydeł... Chodź do mnie, słodka ptaszyno, ukochany pielgrzymie, uwij gniazdo obok mego posłania, pozwól mi słuchać pieśni za utraconą krainą szczęścia...”

I w tę ich błogość wdarł się Gabriel. Rzucił w kącie kij pasterski, perukę niósł w rękę. Chciał natychmiast porozmawiać z Harry'm i zanim Mariana zdołała się zorientować, co zaszło, siedziała już obok matki, a dwaj podnieceni młodzieńcy zniknęli. Czekając, zaniepokojona i zirytowana, uśmiechnęła się do Amy, która tańczyła obok z młodym człowiekiem

w stroju diabła, mającym nawet źle dopasowane czerwone kopytka. Harry i Gabriel prawie natychmiast wrócili, twarze mieli poważne; Harry wbiegł na parkiet i przyprowadził Amy. Powiedział dziewczętom i ich opiekunkom, że muszą już wracać, odwiezie je zaraz do domu. Wszystko to było bardzo tajemnicze i niespodziewane. Harry szepnął Marianie: „Powie ci potem, co się stało...” Z całej tej skandalicznej sprawy babka pamiętała tylko, że Gabriel przywiózł Amy samą do domu i że Harry zjawił się potem. Reszta towarzystwa wróciła później, każde o innej porze, i cała historia wyszła na jaw po kawałku. Amy milczała i, jak się później okazało, miała wysoką temperaturę. „Co się stało, Amy?” – spytałam. „Och, Harry chodzi z pistoletem i strzela do ludzi na balu” – odparła siadając, jak gdyby była zupełnie wyczerpana. „To przez ciebie, Amy”

– powiedział Gabriel. „Nie, wcale nie przeze mnie – zaprzeczyła Amy. – Nie wierz mu, mamusiu.” Powiedziałam: „Dość tego, Amy. Chcę wiedzieć, co się stało.” Wtedy Amy powiedziała: „Było tak, mamusiu. Przyszedł Raymond, wiesz, że go lubię i że jest doskonałym tancerzem. No więc tańczyłam z nim, może trochę za dużo. Wyszliśmy na balkon, żeby odetchnąć trochę świeżym powietrzem. Powiedział: «Jakie masz śliczne włosy. Podoba mi się ta chłopięca fryzura». Zerknęła na Gabriela. „A potem przyszedł jakiś inny młody człowiek i powiedział: «Szukałem pani wszędzie. To jest nasz taniec, prawda?» Węc wróciłam z nim na salę. A teraz okazuje się, że Gabriel wyszedł natychmiast na balkon i wyzwał Raymonda o coś tam na pojedynek, ale Harry nie traci czasu na takie rzeczy. Raymond był już przed domem, kazał sobie przyprowadzić konia... myślę, że nie wypada pojedynkować się w przebraniu – spojrzała na Gabriela, który dosłownie skulił się w swoim pasterskim kostiumie z błękitnego atlasu – a wtedy Harry wypadł i strzelił do Raymonda. To chyba nie było w porządku” – dodała Amy.

Jej matka przyznała, że to nie było w porządku; było wręcz nieprzyzwoite i nie mogła pojąć, jak jej syn Harry mógł zrobić coś takiego. „Nie w taki sposób broni się honoru siostry” – powiedziała mu później. „Nie chciałem, żeby Gabriel się o nią pojedynkował – odparł Harry. – To też nie wyglądałoby najlepiej.”

Gabriel stał przed Amy, pochylał się nad nią powtarzając pytanie, które najwyraźniej zadawał jej wielokrotnie w drodze powrotnej do domu: „Amy, czy on cię pocałował?”

Amy zdjęła swój pasterski kapelusz i odgarnęła włosy z czoła. „Może mnie pocałował – odparła – a może chciałam, żeby mnie pocałował”.

„Amy, nie wolno ci mówić takich rzeczy – obruszyła się matka, – Odpowiedz na pytanie Gabriela.”

„On nie ma prawa mnie o to pytać” – powiedziała Amy, ale bez gniewu.

„Czy ty go kochasz, Amy?” – spytał Gabriel.

„Och, to jest przecież bez znaczenia” – odparła Amy rozsiadając się w fotelu.

„To ma znaczenie, ogromne znaczenie – stwierdził Gabriel. – Musisz mi odpowiedzieć.” Ujął obie jej ręce i usiłował je przytrzymać. Cofnęła ręce ruchem tak stanowczym i mocnym, że zwolnił uścisk.

„Zostaw ją, Gabriel – powiedziała matka. – Lepiej, żebyś już poszedł. Wszyscy jesteście zmęczeni. Porozmawiamy jutro.”

Pomagając Amy przy rozbieraniu zauważyła odsuniętą koronkę przy dekolcie i skróconą spódnicę. „Nie powinnaś była tego robić, Amy. Postąpiłaś nieroztropnie. Tak jak było, było lepiej”.

Amy westchnęła. „Mamusi, tak mi już obrzydł ten świat. Nic mnie nie bawi. Wszystko jest takie nudne.” Przez chwilę zdawało się, że wybuchnie płaczem. Nigdy nie była płacziwa, nawet jako dziecko, więc matka przestraszyła się nie na żarty. Wtedy wyszło na jaw, że Amy ma

temperaturę.

„Gabriel jest nudny, mamusiu... bezustannie się dąsa – ciągnęła Amy. – Ile razy mijałam go w tańcu, widziałam jego ponurą miną. To psuje wszystko – dodała. – Och, chcę spać”.

Matka siedziała patrząc na nią i zastanawiając się, jak to możliwe, że urodziła tak piękne dziecko.

– Jej twarz we śnie była anielska – powiedziała teraz babka.

O którejś godzinie w ciągu tej gorączkowej nocy, dzięki staraniom przyjaciół z obu stron, zdołano zapobiec planowanemu pojedynkowi między Gabrielem i Raymondem. Ale pozostała jeszcze sprawa impulsywnego strzału Harry’ego, znacznie trudniejsza do zatuszowania. Raymond okazał się zawzięty i mógł robić trudności. Wysłuchawszy rady Gabriela, braci i przyjaciół Harry doszedł do wniosku, że jeśli zniknie na jakiś czas, zdoła zapobiec większemu skandalowi. Powziąwszy tą decyzję młodzi mężczyźni wrócili nad ranem do domu, osiedłali najlepszego wierzchowca Harry’ego i pomogli mu zapakować kilka drobiazgów, po czym Harry, w towarzystwie Gabriela i Billa, wyruszył w kierunku granicy; było mu właściwie wesoło i czuł się jak poszukiwacz przygód.

Amy, obudzona krzątaniem w domu, dowiedziała się o całym planie w pięć minut po tym, jak odjechali, zeszła na dół w stroju do konnej jazdy, kazała osiodłać konia i puściła się za nimi w drogę. Prawie co rano wyjeżdżała na konne przejażdżki; zanim rodzice zdążyli się zaniepokoić jej długą nieobecnością, znaleźli kartkę.

Coś, co zapowiadało się na tragedię, przerodziło się w wesołe błazeństwo. Amy pojechała konno aż do granicy, ucałowała brata na pożegnanie i wróciła wraz z Gabrielem i Billem. Podróż trwała trzy dni i gdy wrócili, trzeba ją było zdjąć z siodła. Była teraz naprawdę chora, ale w doskonałym humorze. Rodzice postanowili przywitać córkę bardzo surowo, ale na widok Amy zmienili zamiar. Napadli na Billa i Gabriela;

„Jak mogliście jej na to pozwolić?”

„Państwo wiecie, że Amy nikt nie zdołałby powstrzymać – odparł bezradnie Gabriel. – Zresztą tak się dobrze bawiła!”

Amy roześmiała się. „Mamusi, to było wspaniałe, nigdy nie miałam tak cudownej przejażdżki. Zresztą jak mam być heroiną romansu, dlaczego nie miałabym wyciągnąć z tego maksimum przyjemności?”

Skandal, wywnioskowały Maria i Miranda, był naprawdę straszny. Amy zwyczajnie położyła się do łóżka i nie wstawała, a Harry czmychnął beztrąsko i czekał, aż burza ucichnie. Reszta rodziny musiała przyjmować gości, pisać listy, chodzić do kościoła, rewizytować znajomych – według ich określenia – dźwigać cały ciężar. Tkwili w cieniu skandalu w swoim małym światku, trzymając się bardzo sztywno w solidarnym napięciu, jak gdyby wszystkie ich nerwy wybiegały ze wspólnego ośrodka. W ów ośrodek został wymierzony cios, nerwy rodziny zadygotały i drżenie dobiegło aż do dalekiego Kentucky, skąd we właściwym czasie przyszedł list od ciotecznej prababki Sally Rhea, list zaadresowany do Panny Amy Rhea. Ciemnobarzowym atramentem koloru zaschłej krwi, krętym pismem, biegłym w archaicznym symbolach i skrótach, cioteczna prababka Sally zawiadamiała Amy, że w jej głębokim przekonaniu to nieszczęście jest tylko zwiastunem wielu dopustów, które Wszechmocny ześle niebawem na ród już potępiony przez własne nieprawości, że jest tylko przestrożą, iż pobyt człowieka na ziemi dobiega końca i że wszyscy muszą się przygotować na koniec świata. Jeśli o nią idzie, oczekiwała tego od dawna i pogodziła się z myślą o spotkaniu swego Stwórcy; Amy, podobnie jak jej grzeszny brat, powinni się oddać w ręce Boga i przygotować na najgorsze. „O, moja droga, nieszczęsna młoda krewniaczko – świergotała cioteczna prababka Sally – w tym krytycznym

położeniu powinniśmy połączyć dłonie i stanąć przed Trybunałem Sądu Ostatecznego jako zjednoczona rodzina, bo jeśli jednej owieczki zabraknie w trzodzie, co na to powie Jezus?”

Kariera religijna ciotecznej prababki Sally stała się już dawno komiczną legendą. Sally zdradziła swoje katolickie wychowanie dla młodzieńca pochodzącego z rodziny prezbiterianów z Cumberland. Nie mogąc wszakże pogodzić się z ich zapatrywaniami przeszła na wiarę Nieustępliwych Baptystów, sekty dla rodziny jej męża nie mniej obmierzej od katolików. Spędziła życie na pełnym złości i samopobłażania męczeństwie za wiarę – jak wyraził się Harry, religia obdarzyła ciotkę Sally pazurami, a także dała jej osełkę, żeby miała je czym ostrzyć. Przekrzyczała, przewalczyła i przeżyła wszystkich swoich współczesnych, ale nie odczuwała ich braku. Założyła bezustannie za skórę drugiemu pokoleniu, a teraz zabierała się łakomie do trzeciego.

Przeczytawszy list Amy wybuchnęła swoim wesołym, dźwięcznym śmiechem, który kazał wszystkim dokoła śmiać się, zanim wiedzieli dlaczego, a jej maleńkie, zielone papużki w klatce obróciły się i spojrzyły na nią z powagą. „Wyobraźcie sobie, że miałyby mi wypaść w niebie miejsce na ławce obok ciotki Sally – powiedziała. – Co za perspektywa!”

„Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni – powiedział jej ojciec. – Niebo zostało wykonane na zamówienie ciotki Sally. Będzie tam na własnym terenie.”

„Za moje grzechy – jęknęła Amy – pójdę do nieba z ciotką Sally!”

W trudnym okresie nieobecności Harry’ego Amy uparcie odmawiała Gabrielowi ręki. Przez wiele dni jej matka słyszała ich głosy prowadzące nie kończącą się rozmowę. Któregoś popołudnia Gabriel wyszedł z miną poważną i zniechęconą. Stał przed nią, bo siedziała właśnie szyjąc, i powiedział: „Myślę, że wszystko skończone, zrozumiałem już, że Amy nigdy za mnie nie wyjdzie.” Potem babka mówiła zawsze: „Nigdy nie

było mi nikogo tak żal, jak wtedy biednego Gabriela. Ale powiedziałam mu bardzo stanowczo, żeby ją wobec tego zostawił w pokoju, jest widocznie chora”. Wobec tego Gabriel odjechał i Amy nie miała od niego wiadomości przez ponad miesiąc.

Nazajutrz po wyjeździe Gabriela Amy wstała, wybrała się z braćmi, Stephenem i Billem, na polowanie, kupiła aksamitny płaszcz, kazała sobie znowu przyciąć i ufryzować włosy, napisała długi list do Harry’ego, który bawił się doskonale na zesłaniu w Meksyku.

Przetańczywszy w którymś tygodniu trzy noce obudziła się rano z krwotokiem. Wydawała się przestraszona, poprosiła o wezwanie lekarza i przyrzekła, że zastosuje się do wszystkich jego wskazań. Spytała o Gabriela. Nikt nie wiedział, gdzie jest. „Napisz do niego, jego matka prześle mu list”. „Och, nie – odparła. – Stęskniłam się za tą jego skwaszoną miną. Listy są tu do niczego.”

Gabriel zjawił się jednak zaledwie po kilku dniach, z miną bardzo skwaszoną i z nieprzyjemną wiadomością. Umarł jego dziadek, chorował tylko dzień. Tuż przed śmiercią, w imię Boże, a będąc zdrowy na umyśle, wydziedziczył swojego ukochanego wnuka Gabriela pozostawiając mu jednego dolara. „Na miłość boską, Amy – powiedział Gabriel – ten stary potwór zrujnował mi jednym zdaniem życie.”

Najbardziej rozgoryczyło go zachowanie najbliższej rodziny, mówił Gabriel. Nie potrafili ukryć zadowolenia. Wiedzieli, jak słuszne i uzasadnione były jego rachuby na spadek, i od dawna zazdrościli mu. Żadne z nich nie zaproponowało jakiejś prywatnej ugody. Żadnemu z nich nie przyszło nawet do głowy, żeby jakoś naprawić ten przedśmiertny akt starczej mściwości. Po cichu błogosławili swoje szczęście. „Wydziedziczył mnie tym jednym dolarem – powiedział Gabriel – i oni się z tego cieszą. Myślę, że w ich przekonaniu usprawiedliwia to jakoś wszystkie ich niepochlebne opinie o mojej osobie. Mieli zawsze co do

mnie rację. Jestem nicponiem, biednym krewnym – dodał Gabriel. – Szkoda, Amy, że ich nie widziałas”.

Amy spytała: „Czy będziesz teraz mógł utrzymać żonę?”

„Och, nie jest aż tak źle – odparł Gabriel. – Amy, jeśli tylko zechcesz...”

„Gdybyśmy się pobrali zaraz – powiedziała Amy – zdążylibyśmy na ostatki do Nowego Orleanu. Jeżeli będziemy czekali, aż się skończy post, może być za późno.”

„Jak to możliwe, Amy, żeby kiedykolwiek było za późno?” – zawołał Gabriel.

„Możesz zmienić zdanie – oznajmiła Amy. – Wiesz dobrze, jaki jesteś niestały.”

W niezliczonych paczuszkach listów babki, które Maria i Miranda czytały już jako dorosłe kobiety, znajdowały się dwa listy. Jeden był od Amy, datowany w dziesięć dni po jej ślubie.

Kochana Mamusiu!

Nowy Orlean nie zmienił się tak bardzo, jak ja się zmieniłam od mojego ostatniego tu pobytu. Jestem teraz zrównoważoną siarą mężatką, a Gabriel jest dla mnie dobry i pełen czułości. Zorza przyszła wczoraj pierwsza do mety wygrywając dla nas wyścig jako faworytka, to było naprawdę cudowne. Chodzę co dzień na wyścigi, nasze konie mają znakomite wyniki. Miałam do wyboru albo Erin Go Bragh, albo Miss Lucy i zdecydowałam się na Miss Lucy. Jest teraz moją własnością, biega jak strzała. Gabriel uważa, że popełniłam błąd, bo Erin Go Bragh będzie dłużej biegał. Myślę, że wystarczy mi Miss Lucy.

Nasz pobyt tu jest szalenie udany. Włożę domino i wyjdziemy

w czasie zapustów na ulice. Mam już dość oglądania zabawy z balkonu. Gabriel mówi, że to niebezpieczne. Mówi, że jak się będę upierała, pójdzie ze mną, ale wątpię. Mamusi, on jest strasznie dla mnie miły. Nie martw się o mnie. Mam bardzo piękną czarnoróżową aksamitną toaletę na Bal Prometeusza. Moja teściowa dopytywała się, czy ta suknia nie jest zbyt zuchwała. Powiedziałam jej, że mam nadzieję, że jest, chyba że mnie oszukano. Stanik ma bardzo obcisły, z dużym dekoltem na plecach – papa by tego nie pochwałał – spódnica jest podwiązana z przodu szerokimi srebrnymi wstążkami, od stanu do kolan, a potem spływa szeroko w dół i znowu jest podwiązana bardzo suto z tyłu, a dalej ciągnie się tren długości jarda. Mam teraz osiemnaście cali w pasie, wszystko dzięki Madame Duré. Spodziewam się, że będę olśniewająca i moja teściowa dostanie ataku. Miewa je dość często. Gabriel kłania się wam pięknie. Proszę, opiekujcie się Siwkim i Grajkim. Jak przyjadę do domu, chciałabym znów na nich jeździć. Wybieramy się do Saratogi, ale jeszcze nie wiem kiedy. Ucałuj wszystkich najmocniej. Tutaj rzecz jasna pada bezustannie...

PS. Mamusi, jak na chwilę zostaję sama, zaczynam strasznie tęsknić do domu. Całuję Cię, najdroższa Mamusiu.

Drugi list, od pielęgniarki Amy, był datowany w sześć tygodni po jej ślubie.

Obcięłam ten lok włosów, bo byłam pewna, że takie byłoby Pani życzenie. I proszę nie myśleć, że to przez niedbalstwo zostawiłam proszki w zasięgu jej ręki, zresztą doktor pisał do Państwa i wszystko wytłumaczył. Gdyby Pani córka nie miała tak słabego serca, proszki na pewno by jej nie zaszkodziły. Nie wiedziała, ile

ich bierze, mówiła mi często, że jedna więcej mała kapsułka nie może mieć znaczenia, więc powiedziałam, żeby uważała i nie brała nic prócz tego, co ja jej daję. Czasem prosiła mnie o nie, ale dawałam jej tylko tyle, ile zapisał lekarz. Spałam tej nocy, bo wcale nie wydawała się taka chora i doktor nie kazał mi przy niej czuwać. Proszę przyjąć ode mnie wyrazy najgłębszego współczucia i proszę, niech Pani nie myśli, że nie opiekowaliśmy się dostatecznie Pani drogą córką. Bardzo cierpiała i teraz odpoczywa w spokoju. Nie wyleczyłaby się z tej choroby, ale mogła żyć trochę dłużej. Łączę wyrazy szacunku...

CZĘŚĆ DRUGA – 1904

Podczas wakacji w majątku babki Maria i Miranda, dla których bezustanne czytanie było rzeczą tak naturalną, jak dla kucyków skubanie trawy, i dawało im podobną przyjemność, zdobyły szczęśliwym trafem pewną zakazaną lekturę, którą zapewne przywiozła i zostawiła w misjonarskich zamiarach jedna z protestanckich kuzynek. Jeśli książeczka miała za cel sprawienie przyjemności, wpadła w odpowiednie ręce. Druk był niewyraźny, papier porowaty, a zamazane ilustracje tym bardziej dla małych dziewczynek interesujące, że zupełnie nie mogły się w nich rozeznaczyć. Bohaterami opowiadań były piękne, acz nieszczęśliwe dziewczęta, które z jakichś tajemniczych powodów wpadały w sidła działających w złowieszczej zмовie księży i zakonnic; następnie „zamykano je w mułach” klasztorów, gdzie zmuszone do przywdziania welonu (był to ponury rytuał, w czasie którego ofiary krzyczały rozzwierającym głosem) wiodły aż do śmierci życie pełne niewygód i okropności. Zdawały się dzielić swój czas między przebywaniem w ciemnych celach, gdzie leżały zakute w łańcuchy, a pomaganiem zakonnicom przy grzebaniu zaduszonych niemowląt w wilgotnych od pleśni i rojących się od szczurów lochach.

Zamknięte w murach klasztoru! Oto słowa, których Maria i Miranda od dawna potrzebowały, żeby opisać swoje położenie w Klasztorze Serca Jezusowego, gdzie spędzały długie zimy starając się nie zdobyć wykształcenia. Klasztor Serca Jezusowego nie miał lochów, a była to tylko jedna z licznych różnic między życiem klasztornym, jakie dziewczynki znały, a jego przejmującą broszurową wersją. Od dawna nauczyły się odgraniczać życie, które było rzeczywiste i poważne i którego celem nie był bynajmniej grób, od poezji, która była prawdziwa, ale nierzeczywista, i od opowieści czy zakazanych lektur, w których zdarzały się rzeczy, jakie

nie zdarzały się gdzie Indziej, rzeczy najbardziej nieprawdopodobne i niepowiązane z codziennością, którymi nie należało się przejmować, ponieważ nie zawierały ani słowa prawdy.

To prawda, że dziewczynki były odgradzone od świata i zamknięte, ale w dużym ogrodzie pełnym drzew i ze sztuczną grotą; w nocy zamykano je w długim, zimnym dormitorium, gdzie wszystkie okna były otwarte i na obu końcach sali spały siostry. Ich łóżka miały zasłony z muślinu i nocną lampkę tak ustawioną, że siostry widziały wszystko, co się dzieje za zasłoną, natomiast dzieci nie widziały sióstr. Miranda zastanawiała się, czy one śpią kiedykolwiek, czy też siedzą cicho całą noc obserwując uśpione dziewczynki przez muślin. Usiłowała wzbudzić w sobie w związku z tym złowieszczy dreszcz zgrozy, w żaden jednak sposób nie mogła się przejąć tym, co która z sióstr robi. Były to bardzo nudne, dobroduszne kobiety, które doprowadziły do tego, że nuda panowała w całym dormitorium. Wszystkie dni i w ogóle wszystko w klasztorze Serca Jezusowego było nudne, więc Maria i Miranda żyły myślą o sobocie.

Nikt nie robił najmniejszej choćby aluzji, żeby wstąpiły do klasztoru. Przeciwnie, Miranda czuła, że chłodny stosunek siostry Klaudii i siostry Urszuli do jej wyrażonych na głos ambicji zostania zakonnica lekko tylko maskował głęboko krytyczną wiedzę o jej duchowych niedostatkach. Niemniej wakacyjna lektura dała Marii i Mirandzie doskonałe nowe określenie, mówiły więc teraz o sobie jako o „zamkniętych w murach klasztoru”. Przydawało to romantycznego blasku skądinąd strasznie nudnemu życiu – prócz sobotnich popołudni podczas sezonu wyścigowego.

Jeśli zakonnice mogły zapewnić rodzinę, że zachowanie i postępy w nauce obu dziewczynek są co najmniej dostateczne, zjawiali się zawsze jacyś kuzyni – uśmiechnięci, w świątecznym nastroju i zabierali je na wyścigi, gdzie dziewczynki dostawały po dolarze i mogły postawić na konia według swego wyboru. Od czasu do czasu zdarzały się czarne

soboty, gdy Maria i Miranda z kapeluszami w ręku, z falującymi włosami przylizanymi i szesanyimi za uszy, w granatowych, mocno splisowanych spódnicach rozłożonych jak wachlarze, siedziały wyczekując, a serca sływały im powoli do wysokich, sznurowanych czarnych bucików. Do ostatniej chwili nie wkładały kapeluszy, bo z jakichś względów byłoby zbyt straszne, gdyby włożyły kapelusze i gdyby kuzyn Henry czy kuzynka Isabel, czy wuj George albo ciotka Polly nie przyszli i nie wzięli ich na wyścigi. Kiedy nikt się nie zjawił i sobota odeszła tak, jak przyszła (bolesne marnotrawstwo!), dawano im do zrozumienia, że jest to kara za złe stopnie w ubiegłym tygodniu. Dowiadywały się o tym zbyt późno, żeby uniknąć rozczarowania. Było to bardzo męczące.

Którejś soboty posłano je na dół do rozmównicy, gdzie czekał ich ojciec. Przyjechał z dalekiego Teksasu, żeby się z nimi zobaczyć. Skoczyły radośnie na jego widok i zaraz znieruchomiały. Czy weźmie je na wyścigi? Jeśli tak, to dobrze, że przyjechał.

– Jak się macie – powiedział ojciec całując je w policzki. – Byłyście grzeczne? Wuj Gabriel ma klacz na torze w Crescent City, pojedziemy tam i postawimy na nią. Macie ochotę?

Maria włożyła kapelusz bez słowa, ale Miranda nie ruszając się patrzyła surowo na ojca. Dręczyło ją mnóstwo wątpliwości w związku z tym dniem. – Dlaczego nie dałeś znać wczoraj? Cieszyłabym się wtedy na zapas.

– Nie wiedzieliśmy – odparł ojciec swoim najswobodniejszym ojcowskim tonem – czy na to zasłużysz. Pamiętasz ubiegłą sobotę?

Miranda zwiesiła głowę i włożyła kapelusz, który przytrzymała pod brodą okrągłą gumka. Pamiętała aż nazbyt dobrze. W środku tygodnia wpadła w rozpacz z powodu arytmetyki i rzuciwszy się na podłogę w klasie, twarzą w dół, nie chciała wstać i trzeba ją było wynieść z klasy. Reszta tygodnia upłynęła na coraz to nowych zakazach, a sobota była

dniem żałoby, cichej żałoby, bo głośne lamenty oznaczałyby tylko jeszcze jeden zły stopień z zachowania.

– Mniejsza z tym – powiedział ojciec, jakby to była zupełnie nieważna sprawa – zabieram was dzisiaj. Chodźcie. Ledwie zdążymy.

Te wyprawy były zawsze jedną wielką radością, od chwili gdy wsiadły do jednokonnej dorożki z postawioną budą, co już samo w sobie napawało je szczęściem z uwagi na ciemne, miękko wybite wnętrze przepojone zapachem obcych perfum i tytoniu, aż do podniecającego momentu, gdy wkraczały do rzęsście oświetlonej sali restauracyjnej i jadły na kolację potrawy, których nigdy nie dostawały w domu, a cóż dopiero w klasztorze, Trzymając w ręku kieliszki wody zabarwionej na różowo czerwonym winem czuły się jak dorosłe, światowe damy.

Tłum na wyścigach zawsze je zachwycał, I jak gdyby go widziały po raz pierwszy – piękne, nieprawdopodobnie wystrojone damy, całe w piórach, kwiatach i różu, wytworni panowie w żółtych rękawiczkach. Orkiestry grały na zmianę napełniając powietrze grzotem bębnow i trąb, a od czasu do czasu jakiś piękny, rozhasany koń galopował po torze z maleńkim, podobnym do małpki dżokejem na grzbiecie dla rozgrzewki nóg przed wyścigiem.

Miranda miała w tym wszystkim pewien własny, ukryty cel, ale była za mądra, żeby się zwierzyć komukolwiek, nawet Marii. Zwłaszcza Marii. W dziesięć minut cała rodzina by o tym wiedziała. Otóż Miranda postanowiła, że jak dorośnie, zostanie dżokejem. Ojciec powiedział kiedyś, że przez całe życie będzie drobniutkim stworzeniem, nigdy nie będzie wysoka; z czego naturalnie wynikało, że nie zostanie piękną, jak ciotka Amy czy kuzynka Isabel. Trudno było jej się rozstać z nadzieją, że będzie kiedyś piękna, aż nagle zrodził się ten pomysł zostania dżokejem i wypełnił wszystkie jej myśli. Cicho, w rozanieleniu, wieczorem, zanim zasnęła, i aż nazbyt często w ciągu dnia, kiedy powinna się była uczyć,

obmyślała swoją karierę dżokeja. Była ona dość mglista w szczegółach, ale zachwycająca, gdy patrzyło się na nią z odpowiedniego dystansu. Jakie to śmieszne, martwić się o arytmetykę, skoro cała jej przyszłość zależy od tego, żeby jeszcze lepiej jeździć konno, znacznie lepiej. – Powinnaś się wstydzić – powiedział ojciec obserwując ją któregoś dnia na wsi, gdy pędziła galopem na kłaczce Trixie. – Przy każdym skoku widzę między tobą a siodłem słońce, księżyc i gwiazdy. – Hiszpański styl jazdy oznaczał, że trzeba się było trzymać blisko siodła i robić rozmaite rzeczy kolanami i uzdą. Dżokeje podskakiwali leciutko, trzymali kolana niemal na wysokości grzbietu końskiego, wznosili się i opadali jak piłka gumowa. Miranda czuła, że nie byłoby to dla niej wcale trudne. Tak, zostanie dżokejem, jak Tod Sloan, który wygrywa co najmniej co drugą gonitwę. Tymczasem będzie trenowała w tajemnicy, aż któregoś pięknego dnia wyjedzie na tor z innymi dżokejami i zadziwi wszystkich, zwłaszcza swoją rodzinę.

Tej soboty jej bożyszcze, wielki Tod Sloan, brał udział w wyścigach i wygrał dwie gonitwy. Miranda strasznie chciała postawić swojego dolara właśnie na niego, ale ojciec powiedział: – Nie, dziecko. Dzisiaj musisz postawić na konia wuja Gabriela. Zaczekaj do czwartej gonitwy i postaw na Miss Lucy. Można trafić sto za jeden. Pomyśl, jeżeli wygra...

Miranda wiedziała doskonale, że zakład sto do jednego to żadna szansa. Zasepiła się, zmięty dolar w jej dłoni zwilgotniał i zrobił się gorący. Gdyby postawiła na Toda Sloana, wygrałaby trzy dolary. Maria powiedziała z cnotliwą minką: – Byłoby brzydko, gdybyśmy nie postawiły na konie wuja Gabriela. W ten sposób pieniądze zostaną w rodzinie.— Miranda wysunęła dolną wargę robiąc do siostry minę. Co za lizus z tej Marii! Maria w odpowiedzi zmarszczyła nos.

Dziewczynki wpłaciły właśnie bukmacherowi pieniądze na czwartą gonitwę, gdy duży i tęgą mężczyzna o rumianej twarzy i brązowych,

postrzępionych wąsiskach przyprószonych siwizną zawołał do nich z dolnych rzędów trybuny, ponad głowami tłumu. – Hej, Harry?... – Ojciec powiedział: – Na Boga, to Gabriel. – Pomachał ręką do mężczyzny, który przepychając się przez tłum wspinał się ciężko na niskie stopnie trybuny. Maria i Miranda wybałuszyły oczy – najpierw na niego, potem na siebie. „Czy to ma być wuj Gabriel? – zdawały się mówić ich oczy. – Przystojny, romantyczny wielbiciel ciotki Amy? Ten sam, który ułożył wiersz wyryty na nagrobku naszej ciotki?”. Och, co właściwie ci dorośli mają na myśli, kiedy mówią?

Był otyłym mężczyzną o sfatygowanym wyglądzie i przekrwionych niebieskich oczach, smutnych, zmaltretowanych oczach i głośnym, melancholijnym śmiechu, podobnym do jęku. Stał nad nimi ogromny i wrzeszczał do ich ojca: – Na Boga kochanego, Harry, sto lat! Powinieneś zejść ze mną na paddock i obejrzeć konie. Doskonale wyglądasz, Harry, jak się masz?

Orkiestra zaczęła grać „Nad rzeką” i wuj Gabriel wrzeszczał teraz głośniejsze: – Chodź, wyjdźmy stąd. W ogóle co tu robisz na trybunie z tymi patałachami?

– Nie mogę! – zahuczał ojciec. – Przyprowadziłem ze sobą moje małe. O, są tutaj.

Mętne oczy wuja Gabriela zwróciły się, jak gdyby nic nie widząc, na dziewczynki. – Pyszna para, Harry! – zaryczał. – Śliczne jak z obrazka, ile mają lat?

– Jedna dziesięć, druga czternaście – odparł ojciec. – Niewdzięczny wiek. Istne gniazdo źmij, plemię jaszczurcze – dodał chełpliwie. – Zupełnie nie mogę sobie z nimi poradzić. – Poglądził włosy Mirandy udając, że je targa. – Śliczne jak z obrazka – wrzeszczał wuj Gabriel.— ale obie do spółki nie umywają się nawet do Amy, mam rację?

– To prawda – przyznał ojciec wrzeszcząc na całe gardło – ale są

jeszcze nieopierzone. – „Nad rzeką, nad rzeką – zawodziła orkiestra – czeka moja ukochana”.

– Muszę teraz wracać – wrzeszczał wuj Gabriel. Dziewczynki były na pół ogłuszone i bardzo zmieszane. – Mam najgorszego dżokeja na świecie, Harry, taki już mój pech. Powinienem go przywiązać do siodła. Spadł wczoraj z Grajka... zwyczajnie zleciał przez ogon... pamiętasz Miss Lucy, klaczkę Amy? No więc to jest jej imienniczka. Miss Lucy IV. Dotąd żadna nie umywała się do tej pierwszej. Zostańcie na swoich miejscach, wrócę tu do was.

Maria przemówiła śmiało: – Wuju Gabrielu, powiedz Miss Lucy, że na nią stawiamy. – Wuj Gabriel schylił się i dziewczynki miały wrażenie, że w jego podpuchniętych oczach są łzy. – Bóg zapłać, maleńka! – zahuczał. – Powtórzę jej to. – Zszedł znów na dół przeciskając się przez tłum; jego tłuste plecy w zbyt luźnym ubraniu były trochę przygarbione, tłuszcz na karku przelewał się nad kołnierzykiem.

Przygnębione nierównością szans i tym pierwszym spotkaniem z romantycznym wujem Gabrielem, który używał tak pospolitego języka, Maria i Miranda usiadły apatycznie nie patrząc na gonitwę; nie miały już widoków na wygraną, nie miały już swoich dolarów, były złe. Siedziały bez ruchu, dopóki ojciec nie schylił się i nie podniósł ich z miejsc. – Uważajcie na swojego konia – rzucił ostrzegawczym tonem. – Miss Lucy wygrywa. – Zerwały się, skoczyły na ławkę, nagle krew zatętniła im w żyłach tak gwałtownie, że ledwie widziały na oczy – i ujrzały cieniutką, mahoniową smugę mijającą stół sędziowski, tylko o łeb przed następnym koniem, ale ich Miss Lucy, cudowna, zachwycająca... och, Miss Lucy, koń wuja Gabriela, wygrał, wygrał! Podskakiwały jak szalone wrzeszcząc i klaszcząc, kapelusze zsunęły im się na plecy, włosy fruwały im dokoła twarzy. Wiooo, piękna klaczko! – parsknęła trąbami orkiestra i przeciągły wrzask wyrwał się z ust tłumy, jak odgłos padających murów Jerycha.

Dziewczynki usiadły, kręciło im się w głowie; ojciec usiłował poprawić im kapelusze, a potem wyjął chusteczkę i przytknął ją do twarzy Mirandy mówiąc bardzo łagodnie: – No, dmuchnij – i przy okazji wytarł jej oczy. Potem wstał i wyrwał je z oszołomienia. Uśmiechnięty, z głębokimi zmarszczkami wesołości dokoła oczu, przemawiał do nich, jak gdyby były dorosłymi damami, którym asystował.

– Chodźmy, złożymy uszanowanie Miss Lucy – powiedział. – Jest bohaterką dnia.

Konie wracały na paddock jakby zlane wodą i namydłone, robiły ciężko bokami, nozdrza wydymały im się i kurczyły. Dżokeje siedzieli pochyleni i odprężeni, twarze mieli spokojne, kołysali się lekko w rytm ruchu koni. Miranda zauważyła to i zapamiętała na późniejszy użytek; tak należy wracać po biegu, swobodnie i spokojnie, czy się zwyciężyło, czy nie. Miss Lucy szła ostatnia, garstka tych, co na nią stawiali, witała ją oklaskami i wznosiła okrzyki na cześć dżokeja. Dżokej uśmiechnął się i podniósł szpicrutę, w jego oczach i na pomarszczonej, śniadej twarzy był niezmacony spokój. Miss Lucy krwawiła, dwie grube czerwone strużki spływały jej z nozdrzy oblepiając delikatne wargi i pysk, aksamitny pysk, który Mirandzie wydawał się najpiękniejszy na świecie. Klacz oczy miała błędne, kolana jej dygotały, wciągała oddech z charkotem.

Miranda wytrzeszczyła oczy. A więc i tak też wygląda zwycięstwo. Jej serce ścisnęło się boleśnie; tak wygląda zwycięstwo dla Miss Lucy. Tak spontanicznie i tak bez reszty jej serce odepchnęło od siebie to zwycięstwo, sama nie wiedziała kiedy, ale znenawidziła je i zaczęła się wstydzić, że wrzeszczała i wylewała łzy radości, kiedy Miss Lucy z krwią buchającą nozdrzami i pękającym sercem minęła stół sędziowski wyprzedzając inne konie o łeb. Poczuli się w środku pusta i chora, i tak mocno ścisnęła rękę ojca, że odepchnął ją trochę niecierpliwie i powiedział: – Co się z tobą dzieje? Nie bądźże taka nerwowa.

Wuj Gabriel czekał na nich, a był zupełnie pijany. Odprowadził wzrokiem klacz znikającą w stajni, a potem oparł się o bielony słupek ogrodzenia i zaszczołał zupełnie jawnie. – Krwawi z nosa, Harry – powiedział. – Ma ten krwotok od wczoraj. Myśleliśmy, że już po niej. Ale pokazała, co potrafi. Ma serce lwicy. Będę ją hodował, Harry. Samo jej serce jest warte milion dolarów, niech ją Bóg ma w Swojej opiece. – Łzy płynęły po jego ceglanej twarzy i znikwały w potarganych, zmierzwiionych wąsach. – Jak jej się coś stanie, strzelę sobie w łeb. Ona jest moją ostatnią nadzieją. Uratowała mi życie. Prześladowuje mnie – powiedział jęcząc w płachtę ogromnej chustki i ocierając sobie nią twarz – prześladowuje mnie pech, od którego każdy by się wykończył. Na Boga, Harry, chodźmy się czegoś napić.

– Muszę najpierw odprowadzić małe do internatu – odparł ojciec biorąc dziewczynki za ręce.

– Me, nie, nie odchodź jeszcze! – zawołał wuj Gabriel z rozpaczą. – Zaczekajcie tu chwilę. Porozmawiam tylko z weterynarzem i zajrzę do Miss Lucy. Zaraz wracam. Nie odchodź, Harry, chcę z tobą chwilą porozmawiać.

Obserwując ciężkie, chwiejne plecy wuja Gabriela, Maria i Mirandą pomyślały, że po raz pierwszy patrzą na człowieka, o którym wiedzą, że jest pijany. Widziały pijanych na rysunkach i czytały o nich, a także słyszały rozmowy na ten temat, więc natychmiast rozpoznały symptomy. Miranda uważała, że pod wielu względami jest to wielka chwila.

– Wuj Gabriel jest pijakiem, prawda? – zwróciła się do ojca, nie bez pewnej dumy w głosie.

– Cicho, nie wolno tak mówić – powiedział ojciec marszcząc groźnie brwi – bo inaczej nigdy was tu nie przyprowadzę. – Miał minę stroskaną i niezadowoloną, ale przede wszystkim wydawał się niezdecydowany. Dziewczynki zeszywniały urażone tą oczywistą niesprawiedliwością.

Wysunęły ręce z jego dłoni i odsunęły się na bok, stały oziębłe i milczące. Ich ojciec tego nie zauważył, wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknął wuj Gabriel. Wyszedł po kilku minutach, wciąż ocierał twarz chustką, jak gdyby była na niej pajęczyna, w drugiej ręce trzymał duży, czarny kapelusz. Pomachał do nich z niewielkiej odległości i zawołał wesołym głosem:

– Będzie zdrowa, Harry. Krwotok ustał. Mój Boże, przynajmniej raz mam dobrą wiadomość dla Honey. Chodźmy, Harry, pojedziemy wszyscy do domu, żeby jej o tym powiedzieć. Należy jej się dobra nowina.

– Odprowadzą najpierw małe do szkoły, a potem z tobą pojedą – rzekł ojciec.

– Nie, nie – zaprotestował wuj Gabriel serdecznie. – Chcę, żeby poznała dziewczynki. Będzie fikać z radości na ich widok. Bierzemy je, Harry.

– Czy jedziemy obejrzeć drugiego konia wyścigowego? – wyszeptła Miranda siostrze do ucha.

– Nie bądź głupia – powiedziała Maria. – To druga żona wuja Gabriela.

– Weźmiemy dorożkę, Harry – zahuczał wuj Gabriel – i zawieziemy twoje małe do Honey, może ją trochę rozwesela. Razem wzięte bardzo przypominają Amy, jak Boga kocham, Harry. Chcę, żeby je Honey poznała. Ona zawsze bardzo lubiła naszą rodzinę, chociaż nie można jej nazwać kobietą wylewną.

Maria i Miranda siedziały przodem do stangreta, a wuj Gabriel wcisnął się obok ich ojca, naprzeciwko nich. Powietrze stało się natychmiast gorzkie i zarazem kwaśne od jego oddechu. Wyglądał smutno i ubogo. Krawat miał przekrzywiony, a koszulę zmiętą. – Dzieci, poznacie teraz drugą żonę wuja Gabriela – powiedział ojciec, zupełnie jakby one nie słyszały całej rozmowy. I zwrócił się do wuja Gabriela: – Jak się teraz Honey czuje? To już chyba dwadzieścia lat, odkąd ją widziałem.

– Jest mocno przygnębiona, to fakt – odparł wuj Gabriel. – Jest mocno przygnębiona od lat i nic nie może jej z tego nastroju wyrwać. Nie lubiła nigdy koni, Harry, może pamiętasz. Od dnia naszego ślubu była może trzy razy na wyścigach. Jak sobie pomyślę, że Amy za nic nie opuściłaby żadnej gonitwy... Jest zupełnie inna niż Amy, zupełnie inny typ kobiety. Wspaniała na swój sposób, ale nienawidzi zmian i przeprowadzek i żyje właściwie tylko chłopcem.

– Gdzie jest teraz Gabe? – spytał ojciec.

– Kończy szkołę – odparł wuj Gabriel. – Zdolny chłopak, ale strasznie podobny do matki. Strasznie podobny – dodał melancholijnie. – Ona jest nieszczęśliwa, jak się z nim rozstaje. Chciałaby siedzieć w tym samym mieście i czekać, aż chłopak skończy naukę. No cóż, niestety nie jest to możliwe, ale Boże Miłosierny... A ta moja ostatnia zła passa prawie ją wykończyła. Harry, mam nadzieję, że ją trochę rozweselisz, bardzo by jej się to przydało.

Dziewczynki obserwowały ulice, które stawały się coraz posępniejsze, brudniejsze i węższe, aż w końcu coraz biedniej ubrani biali ustąpili miejsca wystrojonym Murzynom i potem biednie ubranym Murzynom; jechali jeszcze spory kawał drogi, zanim dorożka zatrzymała się przed odrapanym małym hotelikiem na Elysian Fields. Ojciec pomógł Marii i Mirandzie wysiąść, kazał dorożkarzowi zaczekać, po czym wszyscy szli za wujem Gabrielem przez brudne, cuchnące wilgocią patio, przez długą, oświetloną gazem sień, pełną straszliwego zapachu (Miranda nie umiała by powiedzieć, z czego się składał, ale było w nim nawet coś gorzkiego), i wreszcie po długich schodach przykrytych postrzępionym chodnikiem. Wuj Gabriel bez żadnego ostrzeżenia otworzył jakieś drzwi i powiedział: – Wejdźcie, jesteśmy na miejscu.

– Honey – zawołał z hałaśliwą, fałszywą serdecznością – nigdy byś nie zgadła, kto do ciebie przyszedł! – Uściskał ją niezdarnie. Jej twarz

nie zmieniała wyrazu, oczy wpatrywały się nieruchomo w trójkę nowo przybyłych. – To brat Amy, Harry, pamiętasz go... prawda?

– Naturalnie – odparła Honey wyciągając sztywno rękę, jak wiosło. – Naturalnie, że cię pamiętam, Harry. – Nie uśmiechnęła się.

– A to są dwie siostrzenice Amy – ciągnął wuj Gabriel wyprowadzając je na środek pokoju. Podniosły miękko dłonie, a ona leciutko je ucisnęła, najpierw jedną dłoń, potem drugą, i zaraz puściła. – I mamy dla ciebie dobrą nowinę – ciągnął wuj Gabriel usiłując ratować niezręczną sytuację. – Posłuchaj, Honey, Miss Lucy pokazała dzisiaj, co potrafi. Jesteśmy znów bogaci, staruszko, głowa do góry!

Honey obróciła długą, rozpaczliwie smutną twarz do swoich gości. – Proszę, siadajcie – powiedziała z ciężkim westchnieniem, siadając i wskazując ręką na kilka koślawych krzeseł. W pokoju było ogromne, nierówne łóżko przykryte białoszarą kapą, umywalnia z marmurowym blatem, w dwóch małych oknach szarawe, grube, koronkowe firanki na sznurku, niewielki, zamurowany komin z dziurą na rurę piecyka i dwa kufry stojące byle jak, jak gdyby ktoś się właśnie wprowadzał czy wyprowadzał. Wszystko było ciemne i przybrudzone, i schludne, i bez ozdób; wszystko tkwiło na swoim miejscu.

– Jutro przeprowadzamy się do hotelu St. Charles – powiedział wuj Gabriel zwracając się tyleż do Harry'ego, co do żony. – Spakuj najlepsze suknie, Honey, skończyła się długa posucha.

Nozdrza Honey ściągnęły się, kołysała się lekko, z założonymi rękami.

– Mieszkałam już w hotelu St. Charles i mieszkałam już tutaj – powiedziała głosem napiętym, z namysłem – i bardzo ci dziękuję, ale tym razem zostanę tu, gdzie jestem. Wolę to niż powrót za trzy miesiące. Przywykłam już, czuję się tu jak w domu – zapewniła męża, zerkając na Harry'ego; w jej bladych oczach zapalił się niebieski płomień, sztywne, białe bruzdy zarysowały się wokół ust.

Dziewczynki siedziały starając się nie wybałuszać na nią oczu, rozpaczliwie skrępowane. Ich babka zawyrokowała, że córkom Harry'ego nie można wpoić żadnej nauki, że są pod tym względem najtrudniejszymi dziećmi, z jakimi się zetknęła w swoim długim doświadczeniu z młodzieżą; ale nauczyły się pośrednio jednego – dobrze wychowani ludzie nie kłócą się w obecności obcych. Kłótnie rodzinne są świętością, należy je prowadzić na osobności, groźnym, syczącym szeptem, wśród cichych, zduszonych pomruków i warknięć. Jeśli ktoś chce wrzeszczeć i tupać, musi wpięć zamknięć drzwi i okna. Żona wuja Gabriela była rozwścieczona i wyglądało, że może w każdej chwili na niego napaść, a on siedział skulony jak pies, któremu ktoś grozi kijem.

„Nienawidzi wszystkich w tym pokoju i gardzi nimi – pomyślała Miranda – i martwi się, że my się o tym nie dowiemy. Niech będzie spokojna, wiemy o tym od pierwszej chwili.” Pragnęła z całego serca wyjść stąd, ale ojciec (naprawdę warto było popatrzeć na jego twarz) siedział bez ruchu. Zastanawiał się chyba, co by tu powiedzieć miłego. Maria, która czuła się winna, chociaż nie umiałaby powiedzieć dlaczego, obliczyła szybko w myślach: „Przecież ona jest tylko drugą żoną wuja Gabriela, a wuj Gabriel był tylko kiedyś mężem ciotki Amy... to znaczy, że nie jest żadną naszą krewną, Bogu dzięki”. Rozsiadła się wygodnie i swobodnie położyła ręce na kolanach. Za kilka minut na pewno stąd wyjdą i nie będą musieli nigdy wracać.

Nagle ojciec przemówił: – Nie chcemy przeszkadzać, wpadliśmy tylko zobaczyć, jak się czujesz, Honey.

Honey milczała, poruszyła jednak rękami w przegubach, jak gdyby chciała powiedzieć: „Widzicie, jak się czuję. Co jeszcze?”

– Muszę odstawić te małe do szkoły – wyjaśnił ojciec, a wuj Gabriel powiedział głupkowato: – Honey, nie uważasz, że one są trochę podobne do Amy? Zwłaszcza w oczach... bardziej Maria. Nie myślisz, Harry?

Ojciec przyjrzał im się kolejno. – Naprawdę nie wiem – oznajmił i dziewczynki widziały, że jest potwornie speszony, jeszcze bardziej niż przedtem. Zwrócił się do Honey: – Nie widziałem Gabriela tyle lat. Pomyśleliśmy sobie, że pójdziemy gdzieś, żeby porozmawiać o dawnych czasach. Wiesz, jak to jest.

– Tak, wiem – powiedziała Honey kołysząc się lekko i cała ta jej wiedza rozbłysła w niej bladawą, nieugaszoną nienawiścią i goryczą, których siła zdawała się wystarczająca, żeby poderwać jej długie ciało z krzesła w ataku furii. – Tak, wiem – powtórzyła ze wzrokiem wbitym w podłogę. Jej usta zadrżały, znieruchomiały. Zapadło okropne milczenie, które trwało, dopóki dziewczynki nie zobaczyły, że ojciec wstaje. Poszły za jego przykładem i niewiele brakowało, a rzuciłyby się do drzwi.

– Muszę odprowadzić te smarkate – powiedział ojciec. – Miały dość rozrywek jak na jeden dzień. Wygrały na Miss Lucy po sto dolarów. To była bardzo piękna gonitwa – dodał, zupełnie już nieszczęśliwy, jak gdyby nie umiał wypłatać się z tej sytuacji. – Prawda, Gabriel?

– Wspaniała gonitwa – powiedział Gabriel złamanym głosem. – Wspaniała.

Honey wstała i zrobiła krok w kierunku drzwi. – Ty naprawdę zabierasz je na wyścigi? – spytała i jej powieki zamrugały w kierunku dziewczynek, jak gdyby były jakimś obmierzłymi insektami; tak przynajmniej odczuła to Maria.

– Owszem, jeśli uznam, że należy im się trochę rozrywki – odparł ojciec swobodnie, ale ze zmarszczonymi brwiami.

– Wolałabym, dużo bardziej bym wolała – oznajmiła Honey wyraźnie – zobaczyć mojego syna w trumnie, niż żeby się kręcił po torach wyścigowych.

Następne chwile były czymś okropnym, ale mieli to już przynajmniej za sobą, schodzili ze schodów, szli przez patio, wuj Gabriel odprowadzał

ich do dorożki. Twarz mu obwisła, rysy rozmazały się, jak gdyby ciało pod skórą odpadło od kości, powieki miał spuchnięte i sine. – Do widzenia, Harry – powiedział bardzo poważnie. – Jak długo tu zostajesz?

– Wyjeżdżam jutro – odparł Harry. – Wpadłem załatwić jedną drobną sprawę i zobaczyć, co z małymi.

– No cóż – rzekł wuj Gabriel – może któregoś dnia będę w twoich stronach. Do widzenia, dziewczynki – powiedział ujmując kolejno ich dłonie w swoje duże, ciepłe łapska. – Harry, to naprawdę bardzo miłe dzieci. Cieszę się, że wygrałyście na Miss Lucy – powiedział serdecznie. – Tylko postarajcie się wydać rozsądnie te pieniądze. No więc, do zobaczenia, Harry! – Gdy dorożka odjeżdżała podskakując, stał gruby i obwisły i machał do nich ręką.

– Nie, doprawdy – powiedziała Maria swoim najbardziej dorosłym tonem, zdejmując kapelusz i wieszając go na kolanie – cieszę się, że mamy to już za sobą.

– Ale ja chcę wiedzieć – oznajmiła Miranda – czy wuj Gabriel jest, czy nie jest pijakiem?

– Och, przestań – rzucił ostro ojciec. – Mam zgagę.

Zapadło pełne szacunku milczenie, jak u stóp pomnika. Kiedy ojciec miał zgagę, należało położyć uszy po sobie. Dorożka toczyła się z turkotem, wracała na czyste, wesołe ulice, gdzie we wczesnym lutowym zmierzchu zapalały się już latarnie, mijała rozmigotane światłem wystawy sklepów, toczyła się dalej i dalej, wzdłuż gładkich chodników, wzdłuż pięknych starych domów w rozległych ogrodach, dalej i dalej ku ciemnym murom, nad którymi zwisały konary ogromnych drzew. Miranda zatopiona w medytacjach zapomniała i znowu przemówiła na głos w swój bezmyślny sposób:

– Postanowiłam, że mimo wszystko nie zostanę dżokejem. – Jak zawsze miała ochotę ugryźć się w język, ale jak zawsze było już za późno.

Ojciec rozchmurzył się i mrugnął do niej porozumiewawczo, jak gdyby jej słowa zupełnie go nie zdziwiły. – Patrzcie państwo – powiedział – więc jednak nie chcesz zostać dzokejem! Bardzo to rozsądnie z twojej strony. Uważam, że powinnaś zostać pogromczynią lwów. Jak myślisz, Maria? To bardzo odpowiednie, bardzo kobiece zajęcie.

Widząc, że Maria na ,wyżynach swoich czterestu lat przechodzi nagle na stronę ojca, żeby się z niej śmiać, Miranda powzięła błyskawiczną decyzję i śmiała się z siebie wraz z nimi. Tak było lepiej. Śmieli się wszyscy razem – co za ulga! – Gdzie jest moje sto dolarów? – spytała niespokojnie Maria.

– Pójdą do banku – odparł ojciec. – Twoje też – zwrócił się do Mirandy. – To będzie załówek waszej fortuny.

– Żeby mi tylko nie kupowali z tych pieniędzy pończoch – powiedziała Miranda, bo już od dawna miała pretensje do babki, że robi taki właśnie użytek z pieniędzy, które dostawały na gwiazdkę.

– Chętnie bym kupiła konia wyścigowego – oznajmiła Maria – ale wiem, że to nie wystarczy. – Przygnębiła ją świadomość granic bogactwa. – Co właściwie można kupić za sto dolarów? – spytała z rozdrażnieniem.

– Nic, absolutnie nic – odparł ojciec. – Sto dolarów to suma, którą się wpłaca do banku.

Maria i Miranda straciły zainteresowanie. Wygrały kiedyś na wyścigach sto dolarów. Ten fakt należał już do dalekiej przeszłości. Zaczęły paplać o czymś innym.

Siostra furtianka otworzyła drzwi pociągając spoza kraty za długi sznur. Milcząc Maria i Miranda wkroczyły w znajomy świat błyszczących, nie przykrytych dywanem podłóg i pozbawionego smaku, zdrowego jedzenia, mycia się w zimnej wodzie i regularnych modlitw; w świat ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, świat „kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”, świat drobiazgowych, surowych reguł i drobnych ploteczek.

Rezygnacja malowała się na ich dziecięcych twarzach, gdy nadstawiały policzki do pocałunku.

– Bądźcie grzeczne – powiedział ojciec dziwnie poważnym, jakby bezradnym tonem, jakim zwracał się do nich zawsze na pożegnanie. – Piszcie do tatusia miłe, długie listy – dodał tuląc je do siebie mocno, zanim je ostatecznie puścił. Potem zniknął, a siostra zamknęła za nim drzwi.

Maria i Miranda poszły na górę do sypialni, żeby umyć przed kolacją ręce i twarze i przyczesać włosy.

Miranda była głodna. – No i nie dali nam nic do jedzenia – zrzędziła. – Nawet kawałka czekolady z orzechami. Uważam, że to podłość. Nie dostałyśmy nawet dwudziestu pięciu centów na wydatki – dodała.

– Ani kęsa strawy – powiedziała Maria. – Ani złamanego centa. – Naląła zimnej wody do miednicy i zawinęła rękawy.

Dziewczynka mniej więcej w ich wieku weszła od sypialni i zbliżyła się do miednicy obok swojego łóżka. – Gdzieście były? – spytała. – Dobrzeście się bawili?

– Byłyśmy z ojcem na wyścigach – odparła Maria mydląc ręce.

– Koń naszego wuja przyszedł pierwszy do mety – dodała Miranda.

– Ach, to musiało być wspaniałe – powiedziała dziewczynka obojętnie. Maria spojrzała na Mirandę, która też zawijała teraz rękawy. Chciała koniecznie czuć się jak męczennica, ale nic z tego nie wychodziło. – Zamknięte w murach klasztoru na następny tydzień – oznajmiła. Jej oczy nad brzegiem ręcznika iskrzyły się wesoło.

CZĘŚĆ TRZECIA – 1912

Miranda szła za tragarzem przez duszny korytarz wagonu sypialnego do swojego miejsca niemal na końcu; prawie wszystkie pośłania były opuszczone, a szare od kurzu, zielone zasłony umocowane. – Mogę pani zaraz zrobić pośłanie – zaproponował tragarz.

– Kiedy chciałabym chwilę posiedzieć – odparła Miranda. Bardzo chuda stara pani podniosła czarne, gniewne oczy i skierowała na nią spojrzenie pełne szczerzej dezaprobaty. Miała na przedzie dwa ogromne zęby i cofnięty podbródek, ale nie brak jej było charakteru. Obstawiała się walizkami budując coś w rodzaju barykady i teraz łypnęła groźnie na tragarza, gdy ten usunął część bagażu, żeby zrobić miejsce dla nowej pasażerki. Miranda usiadła pytając mechanicznie: – Pani pozwoli?

– Czy pozwolę, ha! – rzuciła stara pani, bo wydawała się stara mimo pewnej szorstkiej, kostycznej energii. Jej taftowe halki trzeszczały przy każdym ruchu jak zawiasy. Odczekawszy może sekundą dodała z morderczym sarkazmem: – Czy nie zechciałyby pani łaskawie podnieść się z mojego kapelusza,!

Miranda zerwała się przerażona i podała starej pani oklapniętą konstrukcję z czarnej plecionki z końskiego włosia i pokruszonych białych maków. – Strasznie mi przykro – wyjąkała, bo jeszcze w dzieciństwie nauczono ją okazywać szacunek groźnym starym paniom, a ta wydawała się zdolna ukarać ją klapssem, zaraz tu na miejscu. – Nie miałam pojęcia, że to pani kapelusza.

– A niby czyj by miał ,być? – spytała stara pani.

– W ogóle nie przypuszczałam, że to jest kapelusza – odparła Miranda z nutą hysterii w głosie.

– Och, nie przypuszczała pani, że to jest kapelusza? Gdzie ty masz oczy,

dziecko? – I zaraz dowiodła natury i funkcji przedmiotu umieszczając go na głowie pod trochę zwariowanym kątem, chociaż nadal nie przypominał kapelusza. – Teraz widzi już pani, co to jest?

– Tak, ależ tak – zapewniła ją Miranda z rozbijającą, miała nadzieję, pokorą. Przeprowadziwszy staranną inspekcję wąskiego miejsca, które jej przypadło w udziale, odważyła się usiąść. – A teraz – powiedziała stara pani – niech tragarz usunie niektóre z tych rzeczy. – Nacisnęła dzwonek chudym, spiczastym palcem wskazującym. Podczas gorączkowego przesuwania pakunków stały na korytarzu: stara pani zarzucała Murzyna niemożliwymi do spełnienia wskazówkami, on zaś znosił to filozoficznie i układał bagaże dokładnie tak, jak miał zamiar to zrobić. Gdy znowu usiadły, stara pani spytała dobrotliwym, władczym tonem: – Jak się nazywasz, dziecko?

Usłyszawszy odpowiedź Mirandy zamrugła, wyjęła okulary, wsadziła je wprawny ruchem na orli nos i długo, uważnie, przyglądała się młodej twarzy.

:— W okularach chyba bym cię poznała – powiedziała zdumiewająco zmienionym tonem. – Jestem kuzynka Ewa Parrington. Córka Molly Parrington, pamiętasz? Znałam cię, jak byłaś malutka. Byłaś bardzo żywą dziewczynką – dodała jakby na pociechę – i bardzo upartą. Kiedy ostatni raz o tobie słyszałam, chciałaś zostać tancerką na linie. Miałaś grać na skrzypcach i chodzić po linie.

– Pewnie widziałam to w jakimś wodewilu – powiedziała Miranda. – Nie mogłam tego wymyślić. Teraz chcę zostać pilotem!

– Chodziłam na bale w towarzystwie twojego ojca – ciągnęła kuzynka Ewa, pochłonięta własnymi myślami – i bywałam na wielkich przyjęciach świątecznych w domu twojej babki, na wiele lat przed twoim urodzeniem. Och, tak, na wiele lat...

Miranda przypomniała sobie jednocześnie kilka rzeczy. Ciotka Amy

groziła, że zostanie starą panną jak Ewa. „Och, Ewa, cały kłopot z tą dziewczyną, to że ma cofnięty podbródek.” „Ewa spasowała i uczy łaciny w żeńskim seminarium.” „Ewa walczy o prawa wyborcze dla kobiet.” „Niech Bóg ją ma w Swej opiece.” „Korzyść z brzydkiej córki, to że nie zrobi mnie babką...” Nie na wiele ci się te bale przydały, droga kuzynko Ewo, pomyślała Miranda.

– Nie na wiele mi się te bale przydały – oznajmiła kuzynka Ewa na głos, jak gdyby umiała czytać cudze myśli i Mirandzie zrobiło się ciemno przed oczami ze strachu, że może to ona wypowiedziała je na głos. – A w każdym razie nie osiągnęły właściwego celu, bo nie wyszłam za mąż. Mimo to lubiłam na nie chodzić. Dobrze się bawiłam, chociaż nie byłam ładna. No więc jesteś córką Harry’ego, a ja się tu z tobą kłóciłam. Pamiętasz mnie, prawda?

– Tak, pamiętam – odparła Miranda myśląc, że nawet jeśli kuzynka Ewa naprawdę była dziesięć lat temu starą panną, nie może mieć wiele ponad pięćdziesiątkę, a taka jest zwiedła i zmęczona, taka jakaś wygłodzona, z zapadniętymi policzkami, taka jakaś stara. Miranda spojrzała z bolesnym przeczuciem na drugą stronę przepaści dzielącej jej własną młodość od kuzynki Ewy. Och, czy ja muszę być kiedyś taka? – Tak – powiedziała na głos – czytała mi pani łacińskie teksty i mówiła pani, żebym się nie przejmowała sensem, żebym zapamiętała brzmienie, a wtedy będzie mi łatwiej zrozumieć sens.

– To prawda – przyznała kuzynka Ewa, rozpromieniona. – To prawda. Może pamiętasz, że miałam kiedyś piękną szafirową suknię z aksamitu, z trenem?

– Nie, nie pamiętam tej sukni – odparła Miranda.

– Była to stara suknia mojej matki, przerobiona na mnie – wyjaśniła Ewa – i tak naprawdę nie było mi w niej dobrze, ale była to jedyna ładna suknia, jaką miałam w życiu, więc pamiętam ją dokładnie. Niebieski to

nie mój kolor. – Westchnęła z komiczną goryczą. Komizm wydawał się przelotny, ale gorycz była trwałym stanem ducha.

Pragnąc Okazać współczucie jako osoba znająca podobne cierpienia Miranda powiedziała: – Wiem. Nosiłam suknie przerabiane z Marii i nigdy na mnie nie pasowały. To było okropne.

– Och... – rzuciła kuzynka Ewa tonem osoby, która nie chce dzielić z nikim swoich wyjątkowych rozczarowań. – Jak się miewa twój ojciec? Bardzo go lubiłam. Był jednym z najprzystojniejszych młodych mężczyzn, jakich znałam w życiu. No i próżny, jak cała rodzina. Dosiadał tylko najlepszych wierzchowców, jakie mógł kupić, a ja mówiłam, że zmusza konia do tańczenia i obserwuje własny cień. Mówiłam mu to przy stole, na przyjęciach, i Harry patrzył na mnie z nienawiścią. Tak, jestem prawie pewna, że mnie za to nienawidził. – Akcent samozadowolenia w głosie kuzynki Ewy wyjaśnił lepiej, niżby to uczyniły słowa, że ma ona własną metodę zwracania na siebie uwagi i wzbudzania emocji. – No więc, pytałam cię, kochanie, jak się ma twój ojciec?

– Nie widziałam go prawie rok – rzuciła Miranda prędko, zanim kuzynka Ewa zdążyła zadać dalsze pytania. – Jadę teraz na pogrzeb wuja Gabriela. Umarł w Lexington, ale przywieźli trumnę i mają go pochować obok ciotki Amy.

– A więc dlatego spotkałyśmy się – powiedziała kuzynka Ewa. – Tak, Gabriel zapił się w końcu na śmierć. Ja też jadę na jego pogrzeb. Nie byłam w domu od pogrzebu matki, a to jest już... zaraz... tak, w lipcu będzie dziewięć lat. Wybrałam się jednak na pogrzeb Gabriela. Za nic nie przepuściłabym takiej okazji. Biedaczysko, co za życie. Niedługo wszyscy pójdą w jego ślady.

Miranda powiedziała: – Jeszcze my zostaniemy, kuzynko Ewo – mając na myśli swoje pokolenie, młodych, a kuzynka Ewa oznajmiła: – Och, wy będziecie żyli wiecznie i nie będzie się wam chciało przychodzić na nasze

pogrzeby. – Nie wydawało jej się to chyba wielkim nieszczęściem; rzuciła tę uwagę jak osoba przyzwyczajona do mówienia tego, co myśli.

Miranda mówiła sobie w duchu: „Przypuszczam jednak, że byłoby miło, gdybym mogła powiedzieć coś, co by jej kazało uwierzyć, że my będziemy ich opłakiwali, ale... ale...” Z uśmiechem, który był – tak się łudziła – jej przeczącą odpowiedzią na cyniczną uwagę kuzynki Ewy o młodszym pokoleniu, powiedziała: – Kuzynko Ewo, miałas rację z tą łaciną, twoje czytanie bardzo mi pomogło, kiedy się zabrałam do nauki. Dalej się uczę – dodała. – Łaciny też.

– A niby dlaczego miałabyś się nie uczyć? – spytała Ewa ostro i zaraz dorzuciła łagodniejszym tonem: – Cieszę się, dziecko, że masz zamiar ćwiczyć trochę umysł. Nie pozwól, żeby ci zardzewiał. Twój umysł będzie żył dłużej niż wiele rzeczy, których możesz pragnąć. Będzie ci dostarczał przyjemności, kiedy wszystko inne przeminie. – Mirandę zmroziła jej melancholia. – W czasach mojej młodości – ciągnęła kuzynka Ewa – byliśmy w naszych stronach tak prowincjonalni..., kobieta nie miała odwagi działać czy myśleć samodzielnie. Właściwie cały świat był taki, ale my byliśmy chyba najgorsi. Wiesz pewnie, jak walczyłam o prawa wyborcze dla kobiet i jak stałam się dlatego niemal pariasem... wyrzucono mnie ze szkoły, w której uczyłam, ale jestem rada, że to robiłam, i zrobiłabym to drugi raz. Wy, młodzi, nie zdajecie sobie z tego sprawy. Będziecie żyli na lepszym świecie, ponieważ myśmy go wywalczyli.

Miranda wiedziała coś niecoś o karierze kuzynki Ewy. – Uważam, że byłaś bardzo odważna, kuzynko Ewo – powiedziała szczerze – i ja też się cieszę, że to zrobiłaś, Uwielbiam twoją odwagę.

– Tylko nie wyobrażaj sobie, że ja się popisywałam – przestrzegła ją kuzynka Ewa, odrzucając z irytacją pochwałę. – Każdy głupiec potrafi być odważny. Walczyłyśmy z pełnym przekonaniem o słuszną sprawę i okazało się, że ta walka wymaga odwagi. To wszystko. Nie spodziewałam

się, że mnie aresztują, ale poszłam do więzienia trzy razy i gdyby to było potrzebne, dałabym się aresztować jeszcze dziesięć razy. Nie mamy dotąd praw wyborczych – dodała – ale niedługo zostaną nam przyznane.

Miranda nie zaryzykowała odpowiedzi, była jednak przekonana, że jeśli tylko kuzynce Ewie nie przydarzy się jakiś fatalny wypadek, kobiety będą niedługo głosowały. Było coś w jej sposobie bycia, co mówiło wyraźnie, że w takich sprawach można na niej polegać. Miranda sama przejmowała się niejasno tą walką; wydawała się jej heroiczna i warta ponoszenia ofiar, ale jednocześnie zniechęcająca dla tych, którzy przyszli później – kuzynka Ewa zmiotła przecież wszystkie okazje wyróżnienia się na tym polu.

Milczały przez chwilę, kuzynka Ewa przetrząsała tymczasem wnętrze torebki wyjmując z niej rozmaite rupiecie: drosy miętowe, krople do oczu, paczuszkę igieł, trzy chusteczki, flakonik perfum fiołkowych, notesik z adresami, dwa guziki, czarny i biały, i w końcu pudełeczko z proszkami od bólu głowy.

– Bądź taka dobra i przynieś mi szklanek wody – zwróciła się do Mirandy. Wysypała proszek na język, popiła wodą i włożyła do ust dwa drosy miętowe.

– No i teraz mają pochować Gabriela obok Amy – odezwała się po chwili, jakby samo pozbycie się bólu głowy skierowało jej myśli na nowy tor. – Gdyby Honey, biedactwo, mogła o tym wiedzieć, nie byłaby szczęśliwa. Po dwudziestu pięciu latach wysłuchiwania opowieści o Amy musi teraz leżeć sama w swoim grobie w Lexington, gdy tymczasem Gabriel wymyka się chyłkiem do Teksasu, żeby znowu położyć się z Amy do łóżka. Było to, moja Mirando, coś w rodzaju trwającej całe życie zdrady małżeńskiej, a teraz jeszcze dochodzi do tego wiekuista zdrada małżeńska. Gabriel powinien się wstydić.

Przecież on kochał ciotkę Amy – powiedziała Miranda zastanawiając

się, jaka mogła być Honey, zanim zaczęły się jej wieloletnie kłopoty z wujem Gabrielem. – W każdym razie była pierwszą kobietą, którą kochał.

– Och, ta Amy – rzuciła kuzynka Ewa z błyskiem w oku. – Twoja ciotka Amy była diabolicą i intrygantką, ale bardzo ją kochałam. Ujmowałam się za nią, kiedy jej reputacja była nie do obronienia. – Strzeliła palcami, jakby to były kastaniety. – Mówiła do mnie często tym swoim miękkim, wesołym głosem: „Ewa, nie mów o prawach wyborczych dla kobiet, kiedy chłopcy proszą cię do tańca. Nie recytuj im wierszy łacińskich, łacina brzudnie im już w szkole. Tańcz, Ewa, i nie odzywaj się – mówią z diabelskim błyskiem w oczach – i wysuwaj podbródek”. Podbródek, rozumiesz, był moją słabą stroną. „Nie złapiesz nigdy męża, jeżeli go sobie nie poszukasz” – mówiła. Potem wybuchała śmiechem i odtruwała, a czym skończyło się wreszcie to jej ustawiczne fruwanie? – spytała kuzynka Ewa. Srogie oczy zmusiły Mirandę do wysłuchania przykrego podsumowania sprawy. – Skandalem i śmiercią.

– Przecież ona tylko żartowała, kuzynko Ewo – powiedziała Miranda naiwnie. – I wszyscy ją kochali.

– Nie, wcale nie wszyscy – rzuciła kuzynka Ewa tryumfująco. – Amy miała wrogów. Jeśli o tym wiedziała, udawała, że nie wie. Jeśli ją to bolało, nigdy się z tym nie zdradziła. Nie można było sprowokować jej do kłótni. Była dla wszystkich słodka jak miód. Dla wszystkich – powtórzyła kuzynka Ewa – i na tym polegało nieszczęście. Szła przez życie jak rozpieszczone dziecko i robiła, co chciała, niech inni za to cierpią, niech po niej sprzątają. Nigdy przez chwilę nie wierzyłam – oznajmiła kuzynka Ewa przysuwając usta do ucha Mirandy i wdmuchując w nie gorący zapach mięty – że Amy była kobietą rozpustną. Nigdy! Ale trzeba ci wiedzieć, że mnóstwo osób w to wierzyło. Mnóstwo osób współczuło Gabrielowi, że jest tak zaślepiiony. Cała masa ludzi wcale się nie zdziwiła na wieść, że Gabriel był nieszczęśliwy w czasie całej podróży poślubnej do Nowego

Orleanu. Zazdrość. Czemu nie? Ale ja zapewniałam takie osoby, że wbrew wszelkim pozorom ufam w cnotę Amy. Szalona, mówiłam, nieroztropna, mówiłam, bez serca, mówiłam – ale cnotliwa, jestem tego pewna! No cóż, trudno było mieć do ludzi pretensje, że są zaintrygowani. Sam fakt, że niemal na progu, śmierci zdecydowała się nagle wyjść za Gabriela Breaux, chociaż przez całe lata odmawiała mu ręki i traktowała go jak psa, wydawał się, mówiąc oględnie, dziwny. Mówiąc bardzo oględnie – dodała po chwili namysłu. – Dziwny to blade słowo. I okoliczności jej śmierci były bardzo tajemnicze, zaledwie w sześć tygodni po ślubie...

Miranda ożywiła się. Znała tę część zdarzeń i mogła wyprowadzić kuzynkę Ewę z błędu co do jednej sprawy. – Ciotka Amy umarła na krwotok płuc – powiedziała Miranda. – Chorowała pięć lat, nie pamiętasz?

Kuzynka Ewa była na to przygotowana. – Ha, tak się rzeczywiście mówiło. Była to, można powiedzieć, oficjalna wersja. Tak, dość często obijało mi się to o uszy. Ale czy mówiono ci kiedykolwiek o tym Raymondzie jakimś tam, z okolic Calcasieu, człowieku niemal obcym, który namówił Amy, żeby z nim uciekła z balu... i ona pognąła w ciemną noc, bez płaszcza, a twój biedny, kochany i taki miły ojciec, Harry, musiał go odszukać i zastrzelić. Nie byłaś jeszcze wtedy nawet w projekcie.

Miranda odsunęła się od tego napierającego na nią zalewu słów. – Kuzynko Ewo, mój ojciec strzelał do niego, nie pamiętasz? Ale go nie trafił...

– Och, wielka szkoda.

– ...a oni wyszli tylko, żeby odetchnąć powietrzem między tańcami. To była zazdrość wuja Gabriela. A mój ojciec strzelał do tego człowieka, bo uważał, że tak będzie lepiej, niż gdyby wuj Gabriel miał pojedynkować się o ciotkę Amy. W tej całej sprawie nie było nic, prócz zazdrości wuja Gabriela.

– Moje ty biedne niemowlę – powiedziała kuzynka Ewa i litość

rozświetliła jej oczy blaskiem ostrym jak sztylety – moje ty naiwne kochanie... naprawdę w to wierzysz? Właściwie ile ty masz lat?

– Skończyłam osiemnaście.

– Jeżeli nie rozumiesz tego, co ci teraz mówię – oznajmiła kuzynka Ewa złowieszczo – zrozumiesz później. Wiedza nie może wyjść ci na złe. Nie powinnaś żyć w romantycznym otumanieniu. W każdym razie zrozumiesz, jak wyjdiesz za mąż.

– Wysłałam za mąż, kuzynko Ewo – wyjaśniła Miranda uświadamiając sobie chyba po raz pierwszy, że może to mieć swoje dodatnie strony – prawie przed rokiem. Uciekłam ze szkoły. – Nawet gdy już wypowiedziała te słowa, wydało jej się to zupełnie nierealne i nie mające nic wspólnego z przyszłością; a jednak był to fakt ważny, należało go rozgłaszać, była to sytuacja życiowa, co do której ludzie wydawali się zawsze szalenie wymagający, ale Miranda zdołała rozbudzić w sobie w związku z tym jedynie uczucie bezdennego zmęczenia, jakby to była choroba, z której miała nadzieję kiedyś się wyleczyć.

– Skandal, skandal! – zawołała kuzynka Ewa z nieudawaną odrazą.
– Gdybyś była moim dzieckiem, sprowadziłabym cię siłą do domu i dałabym ci w skórę.

Miranda roześmiała się głośno. Kuzynka Ewa chyba naprawdę wierzy w możliwość takiego rozwiązywania problemów. Była tak pełna namaszczenia i groźna, tak komiczna i tak zbita z tropu.

– A ja bym wtedy uciekła drugi raz, przez najbliższe okno – powiedziała prowokująco. – Jeżeli zrobiłam to raz, dlaczego nie miałabym zrobić po raz drugi?

– Tak, chyba tak – przyznała kuzynka Ewa. – Mam nadzieję, że wyszłaś za mąż bogato?

– Niespecjalnie – odparła Miranda. – Ale dostatecznie. – Jak gdyby ktoś chciał tracić czas na myślenie o takich rzeczach!

Kuzynka Ewa poprawiła okulary i obrzuciła szacującym spojrzeniem suknię Mirandy, jej bagaż, przyjrzała się pierścionkowi zaręczynowemu i obrączce; nozdrza drgały jej przy tym leciutko, jak gdyby usiłowała wywęszyć zapach bogactwa.

– Hm, lepsze to niż nic – powiedziała kuzynka Ewa. – Co dzień dziękuję Bogu, że mam mój własny kapitalik. Pieniądze to podpora starości. Co by ze mną było, gdybym ich nie miała? No cóż, moja droga, będziesz teraz mogła pomóc rodzinie.

Miranda przypomniała sobie, co mówiono zawsze o Parringtonach. Byli łaśi na pieniądze, nie kochali nic prócz pieniędzy i gdy wpadła im jakaś sumka, trzymali ją mocno w garści, W sprawach finansowych nie liczyły się względy rodzinne.

– Jesteśmy dość biedni – powiedziała, uparcie sprzymierzając się z rodziną ojca zamiast męża – ale bogate małżeństwo nie rozwiązuje niczego – dorzuciła ze snobizmem ubóstwa. W duchu mówiła sobie: „Jeżeli sądzisz inaczej, droga kuzynko Ewo, nie znasz mojej gałęzi rodziny”.

– Twoja gałąź rodziny – podjęła kuzynka Ewa, w swój przerażający sposób wyskubując zdania z myśli rozmówcy – ma tyle zmysłu praktycznego, co kilkuletnie dziecko. Tylko miłość jest ważna – dodała z biernym obrzydzeniem – taką mieli zasadę. Gabriel byłby bogaty, gdyby go dziadek nie wydziedziczył. Ale czy Amy okazała rozsądek i wyszła za niego za mąż, żeby się ustatkował, co zjednałoby dziadka? Nie. A co mógł Gabriel zrobić bez pieniędzy? Szkoda, że nie widziałaś, jakie życie miała z nim Honey... Jednego dnia kupował jej paryskie toalety, a nazajutrz zastawiał w lombardzie jej kolczyki. Wszystko zależało od tego, jak się sprawowały konie na torach, a sprawowały się coraz gorzej i Gabriel pił coraz więcej.

Miranda nie powiedziała: „Właśnie, że trochę widziałam”. Powiedziała

natomiast: – Przecież wuj Gabriel tak szalał za ciotką Amy, że w końcu nie mogła nie wyjść za niego za mąż, czy miał, czy nie miał pieniędzy.

Kuzynka Ewa obciągnęła mocno zęby wargami, wysunęła je znowu i pochyliwszy się do Mirandy schwyliła ją za rękę. – Zadaję sobie pytanie, wciąż od nowa zadaję sobie pytanie – wyszczała – co wspólnego miał ten Raymond z Calcasieu z nagłą decyzją Amy, że wyjdzie za Gabriela, i w jaki sposób niedługo po tym Amy odebrała sobie życie? Bo wierz mi, dziecko, że Amy nie była tak bardzo chora. Lekarze orzekli, że ma słabe płuca, ale ona fruwała sobie wesoło jeszcze przez wiele lat. Amy popełniła samobójstwo, żeby uniknąć jakiegoś skandalu... jakiegoś nieuniknionego zdemaskowania.

Czarne oczy połyskiwały jak paciorki; twarz kuzynki Ewy była naprawdę przerażająca, tak blisko Mirandy, taka zawzięta. Miranda chciała powiedzieć; „Dość. Niech spoczywa w spokoju. Jaką krzywdę ci wyrządziła?” Była jednak onieśmielona i wyprowadzona z równowagi, i w głębi duszy w przerażający sposób zafascynowana grozą i tajemniczością, które wyczarowała kuzynka Ewa. Jakie jest zakończenie tej historii?

– Niedobra, szalona dziewczyna, ale kochałam ją do ostatka – ciągnęła kuzynka Ewa. – Wpadła w jakieś tarapaty i nie umiała się z nich wyplątać, a według mnie istnieją wszelkie podstawy do przypuszczeń, że odebrała sobie życie tymi proszkami, które dawali jej na wstrzymanie krwotoku. Jeśli nie... co się stało, co się stało?

– Nie Wiem – powiedziała Miranda. – Skąd ja mogę wiedzieć? Była bardzo piękna – dodała, jak gdyby to tłumaczyło wszystko. – Ludzie uważali, że była bardzo piękna.

– Nie wszyscy – oznajmiła energicznie kuzynka Ewa, potrząsając głową. – Na przykład ja wcale tak nie myślałam. Robili koło niej stanowczo za dużo szumu. Owszem, była dość przystojna, ale dlaczego oni twierdzili, że jest piękna? Nie mogę tego zrozumieć. We wczesnej

młodości była za chuda, później zawsze uważałam, że jest za gruba, a znów ostatni rok przed śmiercią była chuda jak patyk. Stroiła się zawsze, żeby ludzie na nią patrzyli, więc naturalnie patrzyli. Jeździła konno za ostro, tańczyła za swobodnie, mówiła za dużo, więc trzeba było być głuchym, ślepym i niemym, żeby jej nie zauważyć. Nie twierdzę, że była wulgarna czy hałaśliwa, ale stanowczo zbyt swobodna. – Kuzynka Ewa umilkła, żeby zaczerpnąć tchu, i wsunęła do ust cukierek miętowy. Miranda wyobraziła ją sobie, jak przemawia na podium, jak milknie na chwilę, żeby włożyć do ust miętówkę. Ale dlaczego tak nienawidzi ciotki Amy, skoro ciotka Amy umarła, a ona żyje? Czy sam fakt, że się żyje, nie wystarcza?

– A jej choroba też nie była romantyczna – podjęła kuzynka Ewa – chociaż z tego, co oni mówią, można by sądzić, że Amy zwiędła jak lilia. Płuła krwią. Czy to jest romantyczne? Gdyby ją zmusili, żeby dbała o siebie jak należy, gdyby ją pielęgowali w rozsądny sposób, żyłaby do dziś. Ale gdzie tam. Leżała na kanapie owinięta w piękne szale, obstawiona kwiatami, jadła, jeśli miała ochotę, albo nie jadła wcale, wstawiała po krwotoku i dosiadała konie albo szła na tańce, spała w pokoju przy zamkniętych oknach. Tłum gości wchodził i wychodził o wszystkich możliwych porach dnia i nocy, głośne śmiechy, rozmowy, a Amy siedziała podparta poduszkami, żeby jej się loczki na głowie nie potargały. Czy takie życie nie zabiłoby po jakimś czasie nawet zdrowej osoby? Dwa razy w życiu o mało nie umarłam, ale za każdym razem odsyłano mnie do szpitala, gdzie było moje miejsce, i zostawiano mnie tam, dopóki nie wyszłam. A jak wychodziłam – dodała, przy czym jej głos brzmiał jak trąbka wygrywająca pobudkę – wracałam do pracy.

„Uroda przemija, cnota zostaje” – wyszeptał Mirandzie do ucha cichutki głos aksjomatycznej moralności. Ponura perspektywa; dlaczego silny charakter jest tak deformujący? Miranda naprawdę chciała być silna,

ale jak może tego pragnąć, skoro widzi, co to robi z człowiekiem?

– Miała śliczną cerę – ciągnęła kuzynka Ewa – cudownie przezroczystą, z rumieńcem. Ale to była gruźlica, a czy choroba jest piękna? Nabawiła się jej pijąc cytrynę z solą, żeby nie dostać periodu, kiedy chciała pójść na tańce. Wśród dziewcząt panował wtedy taki przesąd. Wyobrażały sobie, że młody człowiek potrafi odgadnąć dotykając ich ręki, czy nawet tylko patrząc na nie, co im dolega. Jak gdyby to miało jakieś znaczenie? Ale strasznie łatwo się peszyły i był w nich bezgraniczny szacunek dla życiowej mądrości mężczyzny. W moim najgłębszym przekonaniu mężczyzna nie mógł... tak czy inaczej była to zwykła głupota.

– Uważam, że jeśli nie znały lepszych sposobów, powinny były po prostu siedzieć w domu – zawyrokowała Miranda czując się strasznie mądra i nowoczesna.

– Na to nie starczyło im odwagi – powiedziała kuzynka Ewa. – Te przyjęcia i tańce były ich targowiskiem i dziewczyna nie mogła opuścić tego rodzaju okazji, zawsze miała jakieś rywalki, które tylko czyhały, żeby ją utracić. Ta rywalizacja... – ciągnęła podnosząc głowę i prężąc grzbiet, jak koń kawaleryjski, gdy poczuje w nozdrzach zapach bitwy – ... nie wyobrażasz sobie, jak wyglądała ta rywalizacja. Jak się te dziewczyny do siebie odnosiły... ta podłość, obłuda...

Załamala ręce. – Wszystko to był popęd płciowy – powiedziała z rozpaczą. – Nie umiały myśleć o niczym innym. Nie używały tego określenia, było ono zamaskowane pięknymi słówkami, ale cała rzecz sprowadzała się do tego jednego. Popęd płciowy. – Wyrzała przez okno w ciemność, jej zapadnięty policzek był tuż obok płonącego policzka Mirandy. Obróciła się znów do niej. – Kiedy mnie wezwano, zaczęłam przemawiać z trybuny z zaimprovizowanej mównicy ulicznej – ciągnęła z dumą – i w razie potrzeby szłam do więzienia, i nie liczyło się moje samopoczucie. Wygwizdywano mnie i obrzucano szyderstwami, i

poszturchiwano, jak gdybym była najzdrowsza w świecie. Ale taką wyznawałyśmy filozofię... nie pozwolić, żeby upośledzenie fizyczne odbijało się na naszej pracy. Wiesz, co mam na myśli – dodała, jak gdyby dotąd było to tajemnicą. – No cóż, Amy miała więcej odwagi niż inne dziewczyny i nie wydawało się, że walczy o cokolwiek, ale była opętana seksem, jak one wszystkie. Zachowywała się tak, jak gdyby nie miała ani jednej rywalki, i udawała, że nie wie, o co chodzi w małżeństwie, ale mnie nikt nie nabierze. Żadna z nich nie myślała o niczym innym, a tak naprawdę nie zdawały sobie z tego sprawy, więc tylko gniły od środka... gniły...

Miranda zorientowała się nagle, że obserwuje z uwagą długi pochód żywych trupów, gnijących kobiet, które szły wesoło do kostnicy ukrywając swój rozkład pod koronkami i kwiatami, wznosząc uśmiechnięte nieżywe twarze, i pomyślała zupełnie chłodno: „Oczywiście woale tak nie było. Ta historia wcale nie jest prawdziwsza niż tamto wszystko, co mi mówiono dawniej, i jest dokładnie tak samo romantyczna”. Zrozumiała nagle, że ma dość swojej uczuciowej kuzynki Ewy, chciała spać, chciała być już w domu, chciała, żeby było już jutro, żeby mogła zobaczyć ojca i siostrę, którzy tak byli żywi i autentyczni, którzy na pewno wspomną o jej piegach i pytają, czy nie chciałaby czegoś zjeść.

– Moja matka nie była taka – powiedziała dziecinnie. – Moja matka była najzupełniej zwykłą kobietą, która lubiła gotować. Widziałam rzeczy, które szyła. Czytałam jej pamiętnik.

– Twoja matka była osobą świętą – powiedziała automatycznie kuzynka Ewa.

Miranda milczała wstrząśnięta. „Nic podobnego” – chciała rzucić kuzynce Ewie prosto w te jej wystające zęby. Ale kuzynka Ewa gromadziła rozgoryczenie, dopóki nie wytrysnęło z niej nowymi słowami.

– Amy powtarzała mi ciągle: „Ewa, wysuń podbródek”. Całe życie

moja rodzina zadreęczała mnie tym podbródkiem. – Zacisnęła obie dłonie w pięść i potrząsała nimi leciutko. – Zepsuli mi tym całą młodość. Czy możesz sobie wyobrazić – spytała z gwałtownością, która wydawała się nieproporcjonalna do tak błahej przyczyny – ludzi kulturalnych, bo za takich się uważali, którzy psują dziewczynie całą młodość z powodu tego jedynego defektu urody? Naturalnie doskonale rozumiesz, że wszystko to było robione w najzyczliwszym nastroju, wszyscy byli tacy dowcipni, intencje mieli najlepsze... nikt nie chciał mi dokuczyć, ale skąd! I to było najpotworniejsze. Tego nie mogę im darować! – zawołała wykręcając dłonie, jak gdyby były szmatami. – Ach, rodzina – ciągnęła wypuszczając ustami powietrze i rozsiadając się wygodnie – cała ta obmierzła instytucja powinna być starta z powierzchni ziemi, jest źródłem wszystkich ludzkich krzywd – oznajmiła na zakończenie rozprężając się, z twarzą już teraz spokojną. Drżała. Miranda ujęła jej dłoń i trzymała w swojej. Dłoń poruszyła się nerwowo, znieruchomiła. – Nie wyobrażasz sobie, przez co niektóre z nas przechodziły, ale chciałam, żebyś poznała tę historię od drugiej strony. No i trzymam cię tu przy sobie, kiedy powinnaś spać – dodała groźnie, ruszając się z głośnym szelestem halek.

W nagłym osłabieniu Miranda zebrała siły i wstała. Kuzynka Ewa znowu podniosła rękę i przyciągnęła ją do siebie. – Dobranoc, dziecioco – powiedziała. – I pomyśleć, że jesteś dorosła! – Miranda zawahała się i niespodziewanie pocałowała kuzynkę Ewę w policzek. Czarne oczy zabłyśły jakby poprzez wodę i kuzynka Ewa powiedziała z ciepłą nutą w ostrym, czystym głosie oratora: – Jutro będziemy w domu. Cieszę się, a ty? Dobranoc.

Miranda zasnęła rozbierając się. Natychmiast był znowu ranek. Mocowała się wciąż z walizką, gdy pociąg stanął na małej stacji, i zobaczyła na peronie ojca, z miną zmęczoną i pełną napięcia, w kapeluszu zsuniętym nisko na oczy. Zastukała w szybę, żeby ją zobaczył, a potem

wybiegła i przypadła do niego. Powiedział: – No proszę, przyjechała moja panna – jak gdyby była siedmioletnią dziewczynką, ale dłonie obejmujące jej ramiona odsunęły ją, a w tonie brzmiał przymus. Nie czekało jej serdeczne przywitanie, nie witano jej tu serdecznie, odkąd uciekła z domu. Nie umiała zmusić się do pamiętania, jak to będzie; między jednym a drugim powrotem do domu jej mózg nie przyjmował do wiadomości tego, o czym wiedział. Ojciec spojrzał nad jej głową i powiedział bez zdziwienia: – Witaj, Ewa, cieszę się, że ktoś ci wysłał telegram. – Miranda, znowu odepchnięta, znowu opuściła bezwładnie ramiona, z tym samym szarpiącym, tępych bólem w sercu.

– Jak długo żyję – oznajmiła kuzynka Ewa podnosząc twarz okoloną cienkim czarnym welonem, który przeznaczala na rodzinne pogrzeby – nikt w rodzinie nie przysłał mi telegramu. Dowiedziałam się od młodej Keziah, którą zawiadomił młody Gabriel. Mam nadzieję, że przyjechał?

– Wygląda na to, że przyjechali wszyscy – odparł ojciec. – W domu zaczyna się robić ciasno.

– Jak chcesz, zatrzymam się w hotelu – powiedziała kuzynka Ewa.

– Bzdura! – zawołał ojciec. – Nie to miałem na myśli. Jedziesz z nami do domu, bo tam jest twoje miejsce.

Skid, chłopak do wszystkiego, wziął walizki i ruszył brukowaną wiejską uliczką. – Mamy samochód – oznajmił ojciec. Wziął Mirandę za rękę, natychmiast ją puścił i sięgnął do łokcia kuzynki Ewy.

– Dam sobie doskonale radę sama, dziękuję – rzuciła odsuwając się od niego.

– Jeżeli już teraz jesteś taka samodzielna – zaśmiał się ojciec – strach pomyśleć, co będzie, jak otrzymasz te swoje prawa wyborcze.

Kuzynka Ewa zsunęła welon z twarzy. Uśmiechała się wesoło. Lubiła Harry'ego, zawsze go lubiła, może się z nią przekomarzać, ile chce. Wsunęła mu rękę pod ramię. – A więc biedny Gabriel ma już to za sobą. –

Tak – przyznał ojciec – ma już to za sobą. Wykruszamy się ostatnio dość regularnie. Jak myślisz, Ewa, czy teraz będzie nasza kolej?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi – powiedziała Ewa z brawurą.
– Dobrze jest móc wrócić od czasu do czasu, choćby na pogrzeb. Jest mi nieprzyzwoicie wesoło.

– Och, Gabriel nie miałby nic przeciwko temu – zapewnił ją ojciec. – Podobałaby mu się twoja wesoła mina. Kiedy byliśmy młodzi, nie znałem weselszego człowieka. Życie było dla niego jednym wielkim piknikiem.

– Biedaczysko – westchnęła kuzynka Ewa.

– Biedny stary Gabriel – dorzucił ojciec posepnie.

Miranda szła obok ojca, czuła się bezdomna, ale nie sprawiało jej to przykrości. Nie wybaczył jej, wiedziała. Kiedy jej wybaczy? Nie umiała odgadnąć, ale przeczuwała, że to przyjdzie samo, bez słów i bez deklaracji po obu stronach, bo kiedy w końcu przyjdzie, żadne z nich nie będzie musiało pamiętać przyczyny tej niezgody ani dlaczego wydawała im się wtedy tak ważna. Przecież starzy ludzie nie mogą wiecznie hodować swoich uraz tylko dlatego, że młodzi też chcą żyć, myślała w swojej arogancji, swojej pysze. Ja jestem odpowiedzialna za moje myśli, nie ty; mogę być od ciebie zależna tylko do pewnego punktu, więc dlaczego mam w ogóle być zależna? Poza tym punktem jest coś więcej, ale to był pierwszy krok i ona zrobiła ten pierwszy krok idąc w milczeniu obok tych starych ludzi, którzy zapomniawszy o jej obecności nie byli już kuzynką Ewą i ojcem, tylko Ewą i Harry’em, którzy znali się dobrze i czuli ze sobą swobodnie, ponieważ byli rówieśnikami na równych warunkach, zajmującymi należne im miejsce w świecie – w punkcie życia, do którego doszli ścieżkami dobrze im obojgu znanymi. Nie musieli odgrywać swoich ról córki czy syna wobec starszych osób, które ich nie rozumieją, ani roli ojca czy starszej kuzynki wobec młodej osoby, która ich nie rozumie. Byli dokładnie sobą; oczy im pojaśniały, głos stał się swobodny i naturalny, nie

musieli ważyć każdego słowa czy oceniać skutków swojego zachowania. To ja nie mam własnego miejsca – pomyślała Miranda. – Gdzie są moi ludzie i moje czasy? Powoli, coraz głębiej, w zupełnym milczeniu, gruntowała się w niej uraza do tych dwojga sprzymierzeńców, którzy pouczali ją i łajali, którzy kochali ją uczuciem zaprawionym goryczą i odmawiali jej prawa do patrzenia na świat własnymi oczami, którzy żądali, żeby przyjęła ich wersję życia, mimo to nie umieli jej powiedzieć prawdy, nawet w najdrobniejszych sprawach. Nienawidzą ich obojga – powiedziało wyraźnie jej najgłębsze, utajone Ja. – Uwolnię się od nich, nawet nie będę o nich pamiętała.

Usiadła na przedzie, obok Skida, murzyńskiego służącego.

– Siądź tu z nami, Miranda – rozkazała kuzynka Ewa z ostrą, władczą nutą w starczym głosie. – Zmieścimy się wszyscy.

– Nie, dziękuję – odparła Miranda zimnym, stanowczym tonem. – Jest mi tu wygodnie. Nie kłopotcie się o mnie.

Nie zwrócili uwagi ani na jej ton, ani na zachowanie. Rozsiedli się wygodnie i głosem przyjaznym, poufnie rodzinnym prowadzili dalej swoją rozmowę, mówili o swoich zmarłych i żywych, o swoich sprawach, perspektywach, wspólnych wspomnieniach – przerywali sobie, przyłapywali się na drobnych pomyłkach z wesołością i żywością, o jaką ich Miranda nie posądzała, roztrząsali dawne wspomnienia i doszukiwali się w nich nowych, ciekawych stron.

Głośny warkot motoru zagłuszał ich opowieści, ale Miranda czuła, że zna je dobrze, albo opowieści podobne. Znała ich zbyt wiele, pragnęła czegoś nowego, własnego. Porozumiewali się językiem, który był dla nich znajomy, ale dla niej nie był, już nie. Ojciec powiedział, że dom jest pełen. Będzie pewnie pełen kuzynów i kuzynek, z których wielu nie znała. Czy są jacyś młodzi krewni, z którymi mogłaby porozmawiać o sprawach sobie i im znajomych? Niejasno poczuła niechęć do kontaktu z krewnymi. Było

ich zbyt wielu, krew buntowała się w niej przeciwko więzom krwi. Krewni raz na zawsze jej obrzydli. Nie chciała żadnych więcej związków z tym domem, opuści go na zawsze, a do rodziny męża też nie wróci. Już nigdy nie zgodzi się na więzy, które dławią miłością i nienawiścią. Wiedziała już teraz, dlaczego uciekła w małżeństwo, i wiedziała, że nie zatrzyma się w żadnym miejscu, nie zostanie z nikim, kto mógłby jej zabronić dokonywania własnych odkryć, kto by jej mówił „Nie”. Miała nadzieję, że nikt nie zajął jej dawnego pokoju, chciałaby spędzić tam jeszcze jedną noc, pożegnać się z tym pokojem, w którym tak lubiła kiedyś spać – gdzie spała i budziła się, i czekała, aż dorośnie, zacznie żyć. Och, czym jest życie, zadała sobie pytanie z rozpaczliwą powagą, dziecinnymi słowami, na które nie ma odpowiedzi, i jak je mam rozegrać? Jest czymś moim własnym, pomyślała z furią zazdrosnej zaborczości, i co z nim zrobię? Nie wiedziała, że zadaje sobie to pytanie, ponieważ wszystko, czego ją uczono od najwcześniejszego dzieciństwa, dowodziło, że życie jest substancją, jest materiałem, który należy przetworzyć, materiałem nabierającym kształtu, kierunku i sensu tylko w miarę, jak nim kieruje i jak go formuje ten, kto go posiada; życie składa się z ciągłych i różnorodnych aktów woli dokonywanych z myślą o pewnym określonym celu. Zapewniano ją, że istnieją cele dobre i złe, trzeba tylko dokonać wyboru. Ale co jest dobrem, a co jest złem? Nienawidzę miłości, pomyślała, jak gdyby mogło to być odpowiedzią, nie chcę kochać i być kochaną, nienawidzę tego. I to nagłe zawalenie się starej, bolesnej struktury zniekształconych wyobrażeń i błędnych pojęć stało się pociechą dla jej skłopotanego, podnieconego umysłu. Nic o tym nie wiesz, powiedziała do siebie Miranda z niezwykłą wyrazistością, jak gdyby była kimś starszym, kto strofuje jakieś młode nierozważne stworzenie. Sama musisz to zgłębić. Ale nie odezwał się żaden głos, który przynaglałby ją do podjęcia decyzji; Teraz zrobię to a to, będę tym a tym, pojadę tam a tam, obiorę taką a taką drogę do takiego a

takiego celu. Najpierw muszę pytać, pomyślała, ale kto odpowie na moje pytania? Nikt, albo będzie za dużo odpowiedzi i ani jednej prawdziwej. Jaka jest prawda, zadała sobie pytanie z takim przejęciem, jak gdyby nikt dotąd o to nie pytał, prawda choćby o najdrobniejszych, najmniej ważnych rzeczach, którą muszę poznać? I gdzie mam tej prawdy szukać? Jej umysł buntował się przeciwko wspomnianiu – nie przeszłości, tylko legendy przeszłości, przeciwko cudzym wspomnieniom o przeszłości, na które patrzyła zachwycona przez całe życie, jak dziecko patrzące na obrazki latarni magicznej. Ale przecież mam jeszcze przed sobą moje własne życie, pomyślała, moje życie tu i po śmierci. Nie chcę żadnych obietnic, żadnych fałszywych nadziei, nie będę romantyczna. Nie mogę żyć dłużej w ich świecie, pomyślała przysłuchując się głosom za plecami. Niech opowiadają sobie nawzajem swoje historyjki. Niech sobie dalej tłumaczą przebieg zdarzeń. Mnie to nic nie obchodzi. Przynajmniej mogę znać prawdę o tym, co się mnie przydarza, zapewniła się bez słów, składając sobie obietnicę w całej swojej ufności, całej ignorancji.

BIAŁY KON, BIAŁY JEŹDZIEC

Wiedziała we śnie, że leży na łóżku, ale nie na tym łóżku, na którym położyła się przed kilku godzinami, i pokój nie był ten sam, chociaż był to pokój skądś jej znany. Serce jak kamień leżało na jej piersi, na zewnątrz; tętno opóźniało się, milkło i wiedziała, że zdarzy się coś dziwnego, kiedy wczesny poranny wiatr powieje chłodem przez drewniane kratki w oknie, kiedy smugi światła zrobią się granatowe i cały dom będzie chrapał pogrążony we śnie.

Teraz muszę wstać i wyjść, póki oni leżą cicho. Gdzie są moje rzeczy? Przedmioty w tym domu rządzą się własną wolą i chowają się, gdzie chcą. Światło dzienne runie nagle na dach i zerwie ich wszystkich na nogi; rozpromienią się twarze, głosy będą pytały: Dokąd idziesz? Co robisz? O czym myślisz? Jak się czujesz? Dlaczego mówisz takie rzeczy? O co ci chodzi? Dość spania. Gdzie moje buty i jakiego konia dosiądę? Grajka czy Siwka, czy Miss Lucy o długim pysku i przewrotnym oku? Jak ja kochałam ten dom rankiem, zanim wstaliśmy wszyscy i zanim splątaliśmy się jak źle zarzucone wędki. Za wielu ludzi urodziło się tutaj, ludzi, którzy za dużo tu płakali, i śmiali się za dużo, i za bardzo się na siebie złościли i oburzali. Zbyt wiele osób zmarło już w tym łóżku, za wiele, stanowczo za wiele zjaw przodków stoi na półce nad kominkiem, za dużo, niech to diabli, jest pokrowców na meble w tym domu, powiedziała na głos, i och, co za nagromadzenie kurzu, któremu nigdy, nawet na sekundę, nie pozwolono osiąść w spokoju.

A ten obcy? Gdzie jest ten wychudzony, zielonkawy obcy, który – pamiętam – kręcił się po domu, tak gościnnie przyjęty przez mojego

dziadka, moją cioteczną babkę, mojego kuzyna w piątym stopniu pokrewieństwa, mojego zniedołężniałego psa i srebrzystego kotka? Ciekawa jestem, dlaczego oni go tak polubili? I gdzie oni są teraz? A przecież widziałam go, jak wieczorem przechodził za oknem... Co poza nimi miałam na tym święcie? Nic. Nic nie jest moje, nie mam nic, ale to mi wystarcza, to jest piękne i całe należy do mnie. Czy ja chodzę w mojej własnej skórce, czy też jest to coś, co pożyczyłam, żeby nie ranić własnej skromności? Więc jakiego konia wybiorę na tę podróż, której nie zamierzam odbyć, Siwka czy Miss Lucy, czy Grajka, który bierze rowy po ciemku i wie, jak wziąć wędzidło na kiel? Wczesny ranek jest dla mnie najlepszy, ponieważ drzewa są drzewami pod jeden strychulec, kamienie są kamieniami oprawionymi w cienie, o których wiadomo, że są trawą, nie ma zdradliwych kształtów czy domysłów, droga jest ciągle jeszcze pograżona we śnie pod nie spełaną pokrywą rosy. Dosiądę Siwka, bo nie boi się mostów.

Dalej, Siwek, powiedziała biorąc do ręki uzdę, musimy prześcignąć Śmierć i Diabła. Wy się do tego nie nadajecie, wyjaśniła tamtym koniom, które osiodłane stały przed wrotami stajni; stał wśród nich wierzchowiec nieznanego, też szary, o pociemniałych nozdrzach i uszach. Nieznajomy wskoczył na konia tuż obok niej, wychylił się daleko z siodła i wbił w nią spojrzenie pozbawione treści, puste, nieruchome spojrzenie obojętnej zjadliwości, która nie rzuca pogroźek i czeka sposobnej pory. Skręciła ostro i zmusiła Siwka do galopu. Przeskoczył niski żywopłot różany i wąski rów za żywopłotem, kurz na ścieżce wzbijał się w gęstych kłębach spod jego kopyt. Nieznajomy jechał obok swobodnie, lekko, trzymał uzdę w półotwartej dłoni, prosty i wytworny w ciemnym, podniszczonym ubraniu, które trzepotało na jego kościach. Jego blada twarz uśmiechała się w zjadliwej ekstazie, nie patrzył na Mirandę. Ach, widziałam już kiedyś tego człowieka, wiedziałabym, kim jest, gdybym go mogła umiejscowić.

Nie jest dla mnie obcy.

Osadziła Siwka w miejscu, podniosła się w strzemionach i zawołała: – Nie pojedę z tobą tym razem, jedź sam! – Nie zatrzymując się i nie obracając głowy nieznajomy pędził dalej. Siwek robił ciężko bokami, jej żebra także zapadały się i podnosiły. Och, czemu jestem taka zmęczona, muszę się obudzić. – Ale najpierw niech sobie ziewnę – powiedziała na głos otwierając oczy i przeciągając się – i spryskam twarz zimną wodą, bo znowu mówiłam przez sen, słyszałam swój głos, ale co ja takiego mówiłam?

Powoli, niechętnie, Miranda wyciągnęła się cal za całem z otchłani snu, oszołomiona czekała, aż znowu zacznie się życie. Pojedyncze słowo odezwało się w jej mózgu, ostrzegawczy gong przypominający jej na cały dzień o tym, o czym szczęśliwie zapomniała we śnie, i tylko we śnie. Wojna, zabrzmiał gong, i Miranda potrząsnęła głową. Siedząc ze zwieszonymi leniwie nogami, w pantoflach rannych na pół zsuniętych, Miranda przypomniała sobie, jak najrozmaitsi ludzie siadają na jej biurku w redakcji. Co dzień znajdowała kogoś, kto siedział na biurku zamiast na przeznaczonym do tego krześle – wymachując zwisającymi nogami, wodząc dokoła wzrokiem czekał zaafierowany jakąś swoją ważną sprawą, – żeby coś powiedzieć na ten czy inny temat. Dlaczego oni nie siadają na krześle? Czy powinnam przypiąć do krzesła kartkę: „Na miłość boską, siadajcie tutaj”?

Nie tylko nie przypięła kartki, ale nawet nie marszczyła brwi na widok swoich gości. Przeważnie ich nie zauważała, dopóki postanowienie tych ludzi, że pochwyć jej wzrok, nie stało się silniejsze od jej postanowienia, że ich nie spostrzeże. W sobotę, myślała leżąc wygodnie w wannie z gorącą wodą, będzie wypłata, jak zawsze. Przynajmniej mam nadzieję, że jak zawsze. Jej myśli krążyły mgliście w nieustającym wysiłku, żeby w trwały sposób pogodzić niepokojące przeciwieństwa w codziennej

egzystencji, w której przetrwanie, widziała to wyraźnie, stało się teraz serią wyczynów żonglerskich. Jestem winna... niech się zastanowię, szkoda, że nie mam papieru i ołówka... więc powiedzmy, że płaciłabym te pięć dolarów na pożyczkę wojenną... nie, w żaden sposób nie dałabym rady. A może bym dała. Osiemnaście dolarów tygodniowo. Tyle na komorne, tyle na jedzenie, a poza tym chcę kupić kilka drobiazgów. Za jakieś pięć dolarów. Zostanie mi dwadzieścia siedem centów. Chyba mogłabym jakoś wybrnąć. Chyba powinnam się martwić. Martwię się. No więc doskonale, martwię się i co dalej? Dwadzieścia siedem centów. Nie tak źle. Czysty dochód, naprawdę. Gdyby mi tak podnieśli nagle do dwudziestu dolarów tygodniowo, zostawałyby mi dwa dolary i dwadzieścia siedem centów. Ale mi nie podniosą do dwudziestu dolarów. Jeżeli nie kupią obligacji pożyczki wojennej, po prostu mnie wyrzucą. Nie mogę w to uwierzyć, Spytam Billa. (Bill był kierownikiem działu miejskiego.) Kto wie, czy taka pogrożka nie jest czymś w rodzaju szantażu. Wątpię, żeby nawet członkowi Komisji Luska^[1] mogło to ująć bezkarnie.

Wczoraj zwiślały dwie pary nóg po obu stronach jej maszyny do pisania, obie grube i wepchnięte w rury ciemnego, drogiego materiału. Spozrzęła z daleka, że jeden z mężczyzn jest dość młody, drugi starszawy i że obu otacza zatęchła atmosfera wypożyczonej ważności, pochodzącej najwyraźniej z tego samego źródła. Obaj byli za dobrze odżywieni, a młodszy miał małe, kwadratowe wąsiki. A ponieważ byli tacy, jacy byli, przyszli na pewno z jakąś nieprzyjemną sprawą. Miranda kiwnęła do nich głową, odsunęła swoje krzesło i nie zdejmując czapki ani rękawiczek

[1] Komisja Luska (The Lusk Committee) – powstała w USA w 1919 r., jej przewodniczącym był senator Clayton R. Lusk. Raport złożony przez Komisję składał się z 4 450 stron i zawierał dane o wywrotowej działalności radykałów

sięgnęła do pliku listów i papierów na biurku Billa, jakby nie miała sekundy do stracenia. Nie ruszyli się ani nie zdjęli kapeluszy. W końcu powiedziała: – Dzień dobry – i spytała, czy może czekają na nią.

Obaj zsunęli się z biurka gniotąc przy tym część jej papierów i starszy spytał, czemu nie kupiła obligacji pożyczki wojennej. Przyjrzała mu się teraz – zrobił na niej nieszczerólnie wrażenie. Miał nalaną twarz, grube wargi, małe, pozbawione blasku oczka i Miranda pomyślała ze zdziwieniem, że prawie wszyscy ci, których wyznaczono do pracy na rzecz wojny w kraju, są tacy jak on. Mógł być wszystkim, pomyślała; agentem reklamowym teatru objazdowego, założycielem pokątnej spółki naftowej, eks-właścicielem knajpy zawiadamiającym o otwarciu nowego kabaretu, sprzedawcą samochodów – przedstawicielem któregośkolwiek z tych wymagających chytrłości ryzykownych zawodów. Ale teraz był patriotą w każdym calu, działającym z ramienia rządu. – Czy pani wie – zwrócił się do niej – że jest wojna, czy może pani nie wie?

Czy się spodziewał, że mu na to odpowie? Spokojnie, powiedziała sobie Miranda, to się musiało zdarzyć. Prędzej czy później. Nie trać głowy. Mężczyzna pokiwał do niej palcem. – No jak, wie pani? – powiedział nagle, jak do upartego dziecka. – Och, wojna – rzuciła Miranda podnosząc głos i prawie się do niego uśmiechnęła. Kiedy się wypowiadało te słowa albo je słyszało, ten uroczysty, mistycznie wzniosły uśmiezek był czymś normalnym, automatycznym. *C'est la guerre* (czy ktoś to umiał wymówić, czy nie) było lepsze. I zawsze, zawsze wzruszało się przy tym ramionami.

– Właśnie – rzucił młodszy mężczyzna zjadliwie – wojna. – Miranda, zaskoczona tym tonem, pochwyciła jego wzrok. Spojrzenie miał naprawdę kamienne, naprawdę zjadliwie zimne, takie, jakiego można oczekiwać raczej za lufą pistoletu na rogu opustoszałej ulicy. Ten wyraz oczu użyczył chwilowego znaczenia rysom poza tym nieokreślonym, twarzy człowieka

bez własnych zainteresowań. – Mamy wojnę i niektórzy ludzie kupują obligację pożyczki wojennej, a inni jakoś nie mogą się na to zdobyć – powiedział. – O to nam chodzi.

Miranda zmarszczyła brwi ze zdenerwowania, które było dojmującym początkiem strachu. – Panowie je sprzedajecie? – spytała zdejmując przykrywą ze swojej maszyny i kładąc z powrotem.

– Nie, my ich nie sprzedajemy – odparł starszy. – Pytamy tylko, dlaczego pani dotąd nie kupiła obligacji? – Głos brzmiał przekonująco, złowieszczo.

Miranda zaczęła tłumaczyć, że nie ma pieniędzy i nie ma skąd ich wziąć, ale starszy mężczyzna jej przerwał: – To nie jest żadne usprawiedliwienie, oo pani doskonale rozumie... żadne usprawiedliwienie, kiedy Hunowie pustoszą umęczoną Belgię.

– Kiedy nasi chłopcy walczą i umierają w Lesie Belleau – dodał młodszy – każdy może zdobyć pięćdziesiąt dolarów, żeby się przyczynić do zwycięstwa nad szwabami.

Miranda rzuciła w pośpiechu: – Mam osiemnaście dolarów na tydzień i poza tym ani centa. Po prostu nie mogę niczego kupować.

– Może pani spłacać tę sumę po pięć dolarów tygodniowo – oznajmił starszy mężczyzna (stali kracząc nad jej głową na dwa głosy) – jak to robi mnóstwo osób w tym biurze i w wielu innych biurach.

Doprowadzona do rozpaczki Miranda myślała: Gdybym tak nie była tchórzem i powiedziała im, co naprawdę myślę? Gdybym tak spytała tego małego zbira: A z panem właściwie co, dlaczego pan nie gnije w Lesie Belleau? Szkoda, że tak nie jest...

Zaczęła układać listy i notatki, ale jej palce jakoś nie chciały się poruszać. Starszy mężczyzna wygłaszał swoją małą, wyuczoną mowę. Jest ciężko, naturalnie. Wszyscy cierpią, to jasne. Każdy musi się jakoś przyczynić. Ale jeśli idzie o obligacje pożyczki wojennej, jest

to najbezpieczniejsza lokata. Zupełnie tak, jakby się miało pieniądze w banku. Jasne. Rząd za tym stoi, więc czy można lepiej ulokować pieniądze?

– Zgadzam się z panem – przyznała Miranda – tylko że nie mam pieniędzy, więc ich nie mogę lokować.

Naturalnie mówił dalej: idzie nie tyle o jej pięćdziesiąt dolarów, to nie jest znowu takie ważne. Po prostu byłaby to z jej strony rękojmia dobrej wiary. Rękojmia dobrej wiary, że jest Amerykanką spełniającą swój obowiązek. Zresztą pożyczka jest bezpieczna. Ach, gdyby miał milion dolarów, z radością ulokowałby wszystko co do centa w tych obligacjach... – Na obligacjach nie może pani stracić – powiedział niemal dobrotliwie – ale jak ich pani nie kupi, może pani stracić dużo. Radzę, niech się pani nad tym zastanowi. Jest pani jedyną osobą w redakcji tego dziennika, która się nie zgłosiła. A wszystkie firmy w tym mieście zgłosiły się co do jednej. W „Daily Clarion” nie trzeba było prosić nikogo dwa razy.

– Oni tam lepiej płacą – wtrąciła Miranda. – Ale jeśli można, w przyszłym tygodniu. Teraz nie, w przyszłym tygodniu.

Oddalili się niedbałym krokiem, przeszli obok biurka redaktora działu towarzyskiego, obok biurka Billa, kierownika działu miejskiego, obok długiego biurka sekretarza redakcji, gdzie stary Gibbons siedział całą noc wrzeszcząc w pewnych odstępach czasu: – Geoorge! Geoorge! – po czym przybiegał do niego goniec redakcyjny. – Nigdy nie mów ludzi, kiedy masz na myśli osoby – pouczał Gibbons Mirandę. – I nigdy nie mów faktycznie, mów rzeczywiście... i na miłość boską, dopóki ja siedzę przy tym biurku, nigdy pod żadnym pozorem nie używaj barbaryzmu „o ile mi wiadomo”. Teraz jesteś już wykształcona, możesz odejść. – Przy schodach jej inkwizytorzy zatrzymali się w całej swojej ceremonialnej dumie i próżności, zapalili cygara i głębiej wcisnęli kapelusze na oczy.

Obracając się w kojącej wodzie Miranda pomyślała, że chciałyby tu zasnąć i obudzić się dopiero wtedy, kiedy będzie znów czas na spanie. Miała ćmiący, piekący ból głowy, zauważyła to teraz i przypomniała sobie, że się z nim obudziła i że właściwie ból zaczął się już poprzedniego wieczoru. Ubierając się usiłowała odtworzyć zdradziecką drogę życiową swojego bólu głowy i rozsądne wydało jej się przypuszczenie, że zaczął się wraz z wojną. „To był ból głowy, owszem, ale niezupełnie taki”. Wczoraj, po odejściu panów z Komitetu, Miranda poszła do garderoby damskiej, gdzie zastała Mary Townsend, redaktorkę kolumny towarzyskiej, w stanie hysterii. Mary przysiadła na brzegu sfatygowanej wyplatanej kozetki, z biegnącymi przez środek pręgami, i robiła na drutach coś różowego. Od czasu do czasu odkładała robotę, obejmowała głowę obiema rękami i kołyszając się mówiła zdziwionym, pytającym tonem: – Mój Boże... – Jej kolumna nazywała się „Ploteczki z miasta”, ją samą cała redakcja nazywała „Towney”. Miranda i Towney miały dużo wspólnego i lubiły się. Kiedyś obie były prawdziwymi reporterkami; posłano je, żeby opisały skandaliczną ucieczkę dwojga kochanków, ucieczkę, która mimo wszystko nie skończyła się małżeństwem; zawrócona z drogi młoda dziewczyna, opuchnięta od płaczu, siedziała z matką, która pojękiwała monotonna pod stosem pleców. Obie płakały rozpaczliwie zaklinając młode reporterki, żeby nie ujawniały najgorszych szczegółów. Miranda i Towney nie ujawniły szczegółów i nazajutrz konkurencyjne pismo wydrukowało wszystko. Miranda i Towney wspólnie poniosły karę; zostały publicznie zdegradowane do typowo kobiecych zajęć – jedna objęła dział towarzyski, druga dział teatralny. I właśnie to je łączyło: żadna z nich nie wyobrażała sobie, że mogłyby postąpić inaczej, a poza tym wiedziały, że reszta personelu redakcyjnego uważa je za idiotki, miłe dziewczyny, ale idiotki. Na widok Mirandy Towney wybuchnęła wściekle:

– Nie mogą tego zrobić, w żaden sposób nie zdobędą pieniędzy,

powiedziałam im, że nie mogę, nie mogę, a oni nie chcieli słuchać.

– Przypuszczałam, że nie jestem jedyną osobą w redakcji, która nie ma pięciu dolarów do wydania. Ja też im powiedziałam, że nie mogę, i nie mogę – oznajmiła Miranda.

Towney rzuciła tym samym tonem: – Mój Boże, grozili mi, że stracę pracę...

– Spytam Billa – powiedziała Miranda. – Nie wierzę, żeby Bill to zrobił.

– To nie od niego zależy – zapewniła ją Towney. – Będzie musiał, jak mu zależą za skórę. Myślisz, że oni mogliby nas wsadzić do więzienia?

– Nie wiem – powiedziała Miranda. – Jeżeli nas wsadzą, nie będziemy osamotnione. – Usiadła obok Towney i też objęła głowę rękami. – Dla jakiego żołnierza to robisz? Żywy kolorek, chyba go podniesie na duchu.

– Jak wszyscy diabli. – Towney znów poruszała drutami. – Robię to dla siebie. Ot, co.

– Tak, nie będziemy tam osamotnione – ciągnęła Miranda – i nadrobimy zaległości w spaniu. – Umyła twarz, umalowała się, upudrowała. Wyjąwszy z kieszeni czyste szare rękawiczki poszła, żeby przyłączyć się do grupy młodych kobiet z potańcówek w ekskluzywnych klubach, z porannych partii brydżowych, went dobroczynnych, pracowni Czerwonego Krzyża – kobiet, które płały się w dobrych uczynkach. Wydawały herbatki tańczące i zbierały pieniądze, i za te pieniądze kupowały słodycze, owoce, papierosy, pisma dla chłopców w wojskowych szpitalach. Wyruszały teraz z tym łupem, wesoła kawalkada potężnych samochodów i jaskrawo umalowanych twarzących – jechały rozweselić dzielnych chłopców, którzy już teraz, aby tak rzec, padli w obronie ojczyzny. To musi być straszne dla tych biedaków, że są tak unieruchomieni, kiedy aż się rwą, żeby pojechać czym prędzej za morze i wrócić do okopów. Tak, a niektórzy z nich są jak z obrazka, powiedziałam,

nie miałam pojęcia, że w tym kraju jest tylu przystojnych mężczyzn, słowo daję, powiedziałam, skąd oni się biorą? Och, moja droga, samej sobie zadawaj to pytanie, kto może wiedzieć, skąd oni się biorą? Masz rację, mój stosunek do tego jest taki: powinniśmy robić wszystko, żeby im było przyjemnie, ale nie posunę się do tego, żeby z nimi rozmawiać. Powiedziałam paniom z Komitetu na tym wieczorku dla żołnierzy, że będę z nimi tańczyła, zatańczę z każdym parobkiem, który mnie poprosi, ale za nic nie będę z nimi rozmawiać, powiedziałam... mimo że jest wojna. Więc przetańczyłam setki mil nie otwierając ust, chyba że mówiłam: „Proszę, niech pan cofnie kolana”. Bardzo dobrze, że zrezygnowaliśmy z tych potańcówek. Zresztą żołnierze i tak przestali przychodzić. Ale słuchaj, podobno wielu z tych prostych żołnierzy to chłopcy z bardzo dobrych rodzin. Wiesz, ja nie bardzo dobrze podchwytuję nazwiska, ale te, które podchwyciłam, brzmiały zupełnie obco, więc naprawdę nie wiem... ale myślę, że gdyby byli z dobrych rodzin, zaraz byśmy to poznały, prawda? Chcę przez to powiedzieć, że jak mężczyzna jest dobrze wychowany, nie depcze kobiecie po nogach, mam rację? Przynajmniej tego nie robi. Po każdej takiej potańcówce musiałam kupować nową parę sandałów. Och, w ogóle uważam, że życie towarzyskie jest teraz nie na miejscu, uważam, że powinnyśmy włożyć nasze czepki sióstr Czerwonego Krzyża i nosić je do końca wojny...

Dźwigając swój koszyk i kwiaty Miranda wmaszała się w tłum młodych kobiet, które wbiegły na salę wśród wybuchów dziewczęcego śmiechu; miał to być śmiech pokrzepiająco wesoły, ale dźwięczał w nim posępny, stanowczy ton, obliczony na zmrożenie krwi w żyłach. Bolesnie speszona idiotyzmem swojego zadania Miranda szła prędko pomiędzy długimi rzędami wysokich łóżek, zestawionych jedno obok drugiego, z wąskim przejściem pośrodku. Żołnierze, wybrana, dobrze prezentująca się grupa, z derkami podciągniętymi pod brodę, nie bardzo

chorzy, byli znudzeni i zniecierpliwieni, przeważnie skłonni cieszyć się ze wszystkiego. Większość miała malowniczo obandażowane głowy i ręce, ci zaś, którzy nie mieli widocznych opatrunków, odpowiadali niezmiennie: – Reumatyzm – jeśli jakaś nietaktowna dziewczyna, którą ostrzegano surowo, żeby nie zadawała tego rodzaju pytań, mimo to zapomniała i pytała któregoś z żołnierzy, co mu dolega. Wokół tych, którzy byli dobroduszni i pełni dobrych chęci, i śmieli się, i wołali ze swych wąskich, twardych łóżek, zbierały się natychmiast gromadki dziewcząt. Rozglądając się dokoła Miranda, ze swoim wędnącym bukietem i koszykiem pełnym słodyczy i papierosów, pochwyciła nieprzyjazne, zgorzkniałe spojrzenie młodego mężczyzny leżącego na plecach, z prawą nogą na wyciągu. Zatrzymała się tuż obok jego łóżka nie spuszczać z niego wzroku, a on patrzył na nią z niezmiennie wrogim wyrazem. Nie trzeba, dziękuję i niech diabli wezmą ten cały interes, mówiły wyraźnie jego oczy, i czy zechce pani uprzejmie zdjąć te śmieci z mojego łóżka? Bo Miranda przechyliła się i postawiła koszyk w taki sposób, żeby mógł, jeśli zechce, do niego sięgnąć. Postawiwszy koszyk nie mogła się zmusić do zabrania go, więc odeszła śpiesznie długim przejściem między łózkami, z twarzą rozpaloną wyszła na chłodne październikowe słońce, gdzie posępne, nie pomalowane baraki roily się i tętniły bezcelowym życiem biegających tu i tam ciemnobrązowych owadów; okrążyła barak i zajrzała przez okno, w pobliżu miejsca, gdzie leżał żołnierz, zaczęła go podglądać. Oczy miał zamknięte, brwi zmarszczone w smutnym, gorzkim wyrazie. Nie potrafiła go umiejscowić, nie umiała odgadnąć, skąd pochodzi ani jakiego rodzaju człowiekiem jest „w cywilu”. Twarz miał młodą, rysy ostre i zwyczajne, ręce nie były rękami robotnika, ale nie były też wypielęgowane. Były to dobre, pożyteczne ręce, kształtne, leżały spokojnie na kocu. Pomyślała, że takie już ma szczęście – natknęła się na niego zamiast na jakiegoś wesołego, wygłodniałego szczeniaka, który byłby rad, że sobie podje

i chwilę pogawędzi. Zupełnie tak, jakby ktoś pochłonięty bolesnymi myślami skręcał za róg i spotkał się twarzą w twarz z własnym stanem ducha obleczonym w ciało, powiedziała sobie. Moje uczucia w związku z tą całą sprawą przybrały kształt cielesny. Nigdy już tu nie przyjdę, tego nie wolno robić. To jest obrzydliwe, powiedziała sobie wyraźnie. Naturalnie musiałam go wybrać, pomyślała siadając na tylnym siedzeniu samochodu, który ją tu przywiózł, dobrze mi tak, powinnam mieć więcej rozumu w głowie.

Jakaś dziewczyna wyszła z miną bardzo zmęczoną i usiadła obok Mirandy. Milczały chwilę, potem dziewczyna powiedziała zdziwionym tonem: – Naprawdę nie wiem, jaki to ma sens. Niektórzy nic nie chcą wziąć. Nie lubię tu przychodzić, a pani?

– Nienawidzę – odparła Miranda.

– Myślę, że to jednak ma sens – dodała dziewczyna ostrożnie.

– Może. – Miranda też się zrobiła ostrożna.

Tyle jeśli idzie o wczoraj. W tym momencie Miranda uznała, że nie warto myśleć o dniu wczorajszym, chyba tylko o tej godzinie po północy, którą przetańczyła z Adamem. Tak całkowicie wypełniał jej myśli, że nie bardzo wiedziała, kiedy myśli o nim świadomie. Po prostu jego obraz był zawsze obecny, w mniejszym czy większym nasileniu, czasem był tuż pod powierzchnią jej myśli, najmiłsza, jedyna naprawdę miła myśl. Przyjrzała się swojej twarzy w lustrze między oknami i doszła do wniosku, że niepokój, jaki odczuwa, nie jest zupełnie nieuzasadniony. Co najmniej przez trzy ostatnie dni czuła się dziwnie, a jej twarz miała obcy wyraz. Chyba będzie musiała zdobyć jakoś te pięćdziesiąt dolarów, bo inaczej kto wie, co się zdarzy? Była uodporniona na opowieści o tragediach ludzkich, o skandalicznych oskarżeniach i nieprawdopodobnie surowych karach, które w monstrualny sposób wyrosły z przypadków niewiele większej wagi niż jej zaniedbanie – jej odmowa – kupna

obligacji pożyczki wojennej. Nie, uznała, że jej twarz nie jest widokiem miłym dla oka, zaczerwieniona i błyszcząca, a włosy wyglądają tak, jakby nagle postanowiły rosnąć w odwrotnym kierunku. Muszę coś z tym zrobić, nie mogę się tak Adamowi pokazać, pomyślała wiedząc, że teraz, w tym momencie, Adam nasłuchuje, czy nie porusza się klamka w jej drzwiach, i że jak ona wyjdzie, będzie w sieni albo na ganku, niby zupełnie przypadkiem. Południowe słońce rzucało zimne, ukośne cienie na pokój, w którym, powiedziała sobie, chyba mieszkam, a ten dzień zaczyna się źle, ale z takich czy innych powodów wszystkie dni zaczynają się teraz źle. W pół oszołomieniu spryskała włosy perfumami, włożyła czapkę i żakiet z kretów – nosiła je drugą zimę, ale wciąż były ładne, wciąż miłe w noszeniu, jak to dobrze, jak to dobrze, że zapłaciła za nie tę potworną sumę. Przez cały ten czas sprawiały jej przyjemność i wcale nie chciałyby mieć z powrotem pieniędzy, które na nie wydała. Może sobie jakoś poradzi z tymi obligacjami pożyczki. Nie mogła znaleźć dziurki od klucza, musiała się schylić, żeby ją odszukać, a potem stała chwilę niezdecydowana, z uczuciem, że zapomniała czegoś, co później będzie jej bardzo potrzebne.

Adam był w sieni, krok od swoich drzwi; obrócił się szybko, jak gdyby zdziwiony, że ją widzi, i powiedział: – Dzień dobry. Więc jednak nie muszę dzisiaj wracać do obozu... Nie uważasz, że mam szczęście?

Miranda uśmiechnęła się do niego wesoło, ponieważ jego widok zawsze sprawiał jej przyjemność. Miał na sobie nowy mundur i był cały oliwkowy, opalony, ogorzały, od stóp do głów koloru siana i koloru piasku. Znowu półświadomie zauważyła, że w pierwszej chwili zawsze się do niej uśmiecha; że powoli jego uśmiech znika; że oczy robią mu się nieruchome i zamyślane, jak gdyby czytał w kiepskim świetle.

Wyszli razem w piękny dzień jesienny, szli roztrzając stopami jaskrawe, poszarpane liście, podnosząc twarze do szczodrego nieba, które

było naprawdę niebieskie i bezchmurne. Na pierwszym rogu czekali, aż przejdzie kondukt pogrzebowy; żałobnicy siedzieli sztywno i prosto, jakby dumni ze swojego smutku.

– Chyba się znów spóźniłam – powiedziała Miranda – jak zawsze. Która godzina?

– Prawie wpół do drugiej – odparł, przesądnym wyrzuceniem ręki do góry ściągnając rękaw. Młodzi żołnierze wciąż jeszcze wstydzili się swoich zegarków na rękę. Ci, których Miranda знаła, byli chłopcami z miast Południa i Południowego Zachodu, położonych z dala od wybrzeża atlantyckiego, i uważali, że tylko niewieściuchy noszą takie zegarki. „Dam ci klapsa po zegarku”, uśmiechał się głupawo jeden komik wodewilowy do drugiego i był to zawsze dobry kawał, nigdy się nie starzał.

– Uważam, że to bardzo praktyczny sposób noszenia zegarka – powiedziała Miranda. – Nie musisz się rumienić.

– Prawie już do niego przywykłem – zapewnił ją Adam, który pochodził z Teksasu. – Powtarzano nam w nieskończoność, że wszyscy oficerowie zawodowi, naprawdę męskie typy, noszą zegarki na rękę. To jeszcze jedna z tych okropności wojny – dodał. – Czy jesteśmy tym strapieni? Myślę, że tak.

To był ich żargon, odbijali sobie słowa jak piłeczkę. – Wyglądasz na to – powiedziała Miranda.

Adam był wysoki i barczysty, wąski w pasie i biodrach, pozapinany na niezliczone ilości guzików, sprzączek, wtłoczony jak w uprzęż w swój nowy mundur, w kroju tak sztywny i opięty jak kaftan bezpieczeństwa, chociaż uszyty z doskonałego, miękkiego materiału. Szył wszystko na miarę u najlepszych krawców, wyznał Mirandzie, kiedy mu powiedziała, jak sztywnie wygląda w nowym oficerskim mundurze. – Nie jest łatwo zrobić z tego coś, co by wyglądało przyzwoicie – wyjaśnił. – Przynajmniej tyle należy się ode ranie mojej ukochanej ojczyźnie... żeby nie wyglądał

jak włóczęga.

Miał dwadzieścia cztery lata, był podporucznikiem w kompanii saperów, chwilowo na urlopie, ponieważ jego jednostka miała być wkrótce wysłana do Europy. – Przyjechałem, żeby zrobić testament – powiedział Mirandzie – i kupić zapas szczoteczek do zębów i żyłek. Jak myślisz, co za szczęśliwy traf sprawił – spytał ją – że wynajęłem pokój w domu, w którym mieszkasz? Skąd wiedziałem, że tam jesteś?

Idąc wolno, krok w krok (jego mocne, wybłyszczone, ładne buty stąpały pewnie obok jej czarnych zamszowych pantofli na cieniutkich podszewkach), odsuwali jak mogli najdalej koniec tych wspólnych chwil, podtrzymywali jak mogli najlepiej błahą rozmowę, rozmowę płynącą tam i z powrotem po małych rowkach wyżłobionych w cienkiej zewnętrznej warstewce mózgu, mówili rzeczy, które można powiedzieć i jednocześnie usłyszeć ich uspokajające brzmienie nie niszcząc blasku, co igrał i mienił się wokół prostego i zachwycającego cudu: oto są dwojgiem ludzi imieniem Adam i Miranda, oboje mają po dwadzieścia cztery lata i żyją na ziemi w tym samym czasie. – Miałabyś ochotę zatańczyć, Miranda? – i: – Zawsze mam ochotę tańczyć, Adam! – ale były jeszcze przeszkody na drodze, dzień, który miał się zakończyć tańcem, był bardzo długi.

On dzisiejszego ranka naprawdę wygląda jak piękne, zdrowe jabłko, pomyślała Miranda. Przy takiej czy innej okazji w jednej z rozmów powiedział jej z dumą, że nie pamięta, żeby go kiedykolwiek w życiu coś bolało. Zamiast spojrzeć ze zgrozą na tego potwora, Miranda zaaprobowała jego monstrualną wyjątkowość. Jeśli idzie o nią, miała zbyt wiele rozmaitych dolegliwości, żeby o nich wspominać, więc nie wspomniała. Po trzech latach pracy w redakcji dziennika miała złudzenie, że jest dojrzała i doświadczona; było to jednak, doszła do wniosku, zwykłe zmęczenie wywołane kładzeniem się spać o nieludzkich (bo w takim duchu ją wychowano) porach, nieregularnymi posiłkami w

brudnych restauracjach, pić niesmacznej kawy przez całą noc i wypalaniem ogromnej ilości papierosów. Kiedy wspomniała Adamowi o swoim trybie życia, przyglądał się jej twarzy przez kilka sekund, jakby ją zobaczył po raz pierwszy, i powiedział po prostu: – Och, to ci wcale nie zaszkodziło, uważam, że jesteś piękna – i tak ją zostawił zawieszoną w próżni, zastanawiając się, czy Adam przypadkowo nie pomyślał, że ona chce komplementów. Chciała komplementów, ale nie w tym momencie. Adam też się kładł o nieprawdopodobnych porach, przynajmniej w ciągu tych dziesięciu dni ich znajomości, czuwał do pierwszej, żeby ją wziąć na kolację, jak ona palił jednego papierosa za drugim, chociaż jeśli mu nie przerwała, lubił jej tłumaczyć bardzo dokładnie, jak papierosy niszczą płuca. – Czy to zresztą ma takie znaczenie – powiedział kiedyś – jeśli się idzie na wojnę?

– Nie ma żadnego – odparła Miranda – a ma jeszcze mniejsze, jeśli się zostaje w domu i robi skarpetki na drutach. Mogę cię prosić o papierosa?

Przystanęli na następnym rogu, pod na pół odartym z liści klonem, i zaledwie spojrzeli na zbliżający się drugi kondukt pogrzebowy. Oczy miał jasnobrażowe, z pomarańczowymi cętkami, a włosy koloru siana, gdy odwrócić wyblakły czub stogu czystym sianem na wierzch. Wyjął z kieszeni papierosnicę i przytknął srebrną zapalniczką do Mirandy, przytknął kilkakrotnie tuż przy swojej twarzy, po czym ruszyli dalej paląc.

– Już cię widzę, jak robisz pończochy na drutach – powiedział. – Wyobrażam sobie to tempo. Wiesz doskonale, że nie umiesz robić na drutach.

– Robię gorsze rzeczy – oznajmiła rzeczowo. – Piszę rozmaite kawałki, w których namawiam młode kobiety, żeby robiły na drutach, związały bandaż i obywały się bez cukru, bo w ten sposób pomogą wygrać wojnę.

– Och, wiesz – powiedział Adam z typowo męską bez troską w takich

sprawach – wykonujesz tylko swoją pracę, to się nie liczy.

– Nie jestem tego taka pewna – powiedziała Miranda. – W jaki sposób udało ci się przedłużyć urlop? — Och, sami mi przedłużyli, bez żadnego powodu – odparł Adam. – Zresztą żołnierze mrą jak muchy. To ta dziwna nowa choroba. Po prostu zwała człowieka z nóg.

– Robi wrażenie plagi – powiedziała Miranda – czegoś, co przyszło ze średniowiecza. Widziałeś kiedy tyle pogrzebów?

– Nigdy. Ale cóż, okażmy silną wolę i dajmy spokój tym sprawom. Spadły mi z nieba dodatkowe cztery dni urlopu i nie pozwolimy, żeby się zmarnowała chociaż jedna sekunda. Jak z dzisiejszym wieczorem?

– To co zawsze – odparła – ale umówmy się koło wpół do drugiej. Mam dodatkową robotę poza codziennym kieratem.

– Ale ty masz pracę – powiedział Adam. – Nic tylko biegasz z jednej zachwycającej rozrywki na drugą, a potem to opisujesz. – Słusznie, jest tak zachwycająca, że aż brak słów. – Stanęli, żeby przepuścić pogrzeb, i tym razem przyglądali się w milczeniu. Miranda przesunęła czapkę futrzaną bardziej na bakier, zamruwała w słońcu. Kręciło jej się w głowie. – Kręci mi się w głowie – powiedziała Adamowi – jak na karuzeli. Prawie śpię. Muszę się napić kawy.

Siedzieli z łokciami na ladzie drug-store'u. – Nie ma już śmietanki dla tych, co zostali w domu – oznajmiła – i tylko jedna kostka cukru. Muszę mieć dwie albo wcale, taka ze mnie męczennica. Mam zamiar żywić się gotowaną kapustą i zupełnie zmarnieć, a potem odzyskać kondycję do następnej rundy. Już nigdy żadna wojna nie dopadnie mnie zniecka.

– Och, nie będzie więcej wojen... nie czytujesz gazet? – spytał Adam. – Pobijemy ich tym razem na głowę i zostaną już pobici, to wszystko.

– Tak słyszałam – przyznała Miranda biorąc do ust gorzki, letni płyn i wykrzywiając się ponuro. Wyrazili sobie uśmiechami wzajemną aprobatę, tak, trafili we właściwy ton i odnoszą się do wojny w należyty sposób.

Przede wszystkim, pomyślała Miranda, żadnego zgrzytania zębami, żadnego wrywania sobie włosów z głowy, to jest hałaśliwe i bardzo nie na miejscu, i do niczego nie prowadzi. – Pomyje – powiedział Adam niezbyt grzecznie, odsuwając filiżankę. – Czy to całe twoje śniadanie?

– Jak na mnie i tak za dużo – odparła Miranda.

– Dali mi na śniadanie naleśniki gryczane z kielbasą ,i syropem klonowym, a poza tym dwa banany i dwie filiżanki kawy, wszystko o ósmej, a teraz jestem głodny jak sierota podrzucona na progu. Dojrzałem do befsztyka z rusztu – dodał – z frytkami...

– Przestań – rzuciła Miranda – to dla mnie brzmi jak bredzenie w malignie. Zjesz to wszystko, kiedy sobie pójde. – Zsunęła się z wysokiego stołka, spojrzała na swoją twarz w okrągłym lusterku, przejechała szminką po wargach i doszła do wniosku, że nawet modlitwy już jej nie pomogą.

– Dzieje się ze mną coś strasznie złego – powiedziała. – Czuję się okropnie. To nie może być tylko pogoda i wojna.

– Pogoda jest znakomita – zapewnił ją Adam – a wojna po prostu zbyt piękna, żeby była prawdziwa. Ale od kiedy? Wczoraj nic ci nie dolegało.

– Sama nie wiem. – Mówiła powoli, głosem cichym i cienkim. Zatrzymali się jak zwykle przed otwartymi drzwiami, za którymi zaśmiecone schody prowadziły na poddasze, gdzie była redakcja dziennika. Miranda wsłuchiwała się chwilą w terkot maszyn do pisania na górze, w jednostajne dudnienie pras drukarskich na dole. – Wolałabym, żebyśmy mogli spędzić to całe popołudnie na ławce w parku albo żebyśmy pojechali w góry.

– Ja też bym wolał. Zrobimy to jutro.

– Tak, jutro, chyba że znowu coś wypadnie. Chciałabym uciec – dodała. – Ucieknijmy oboje, pobiegnijmy dokądś.

– Ja? – powiedział Adam. – Tam, gdzie się wybieram, nie ma specjalnie dużo okazji do biegania. Przeważnie trzeba się czołgać na brzuchu, czasem

pośród gruzów. Wiesz, druty kolczaste i tak dalej. Będzie to przygoda z rodzaju tych, jakie się przytrafiają jeden jedyny raz w życiu. – Dodał po namyśle: – Tak naprawdę nic o tej przeklętej rzeczy nie wiem, ale z tego, co mówią, wygląda to dość obrzydliwie. Tyle o tym słyszałem, że mam uczucie, jakbym tam już był i wrócił z powrotem. Doznam rozczarowania – ciągnął – jak z tą miejscowością, której zdjęcia oglądasz tak często, że po przyjeździe na miejsce w ogóle jej nie widzisz. Wydaje mi się, że jestem w wojsku przez całe życie.

Miał na myśli sześć miesięcy. Wieczność. Wyglądał tak czysto i świeżo, i nigdy w życiu nic go nie bolało. Widziała ich po powrocie stamtąd; nigdy już tak nie wyglądali.

– Jeszcze nie pojechał, a już wrócił jako bohater – powiedziała. – Wiesz, że niczego bardziej nie pragnę.

– Kiedy w pierwszym obozie ćwiczebnym uczono mnie, jak się posługiwać bagnietem – ciągnął Adam – wyprułem wnętrznosci z tyłu worków z piaskiem i sianem, że w końcu straciłem rachubę. Wrzeszczeli na nas: „Zrób z nim porządek, z tym szwabem, dźgnij go, zanim on dźgnie ciebie”... więc rzucaliśmy się na te worki z piaskiem jak szaleni i przysięgam ci, czasem na widok tego wysypującego się piasku robiło mi się okropnie głupio, że wpadłem w taką furję. Budziłem się w nocy i czułem się jak głupiec.

– Wyobrażam sobie – powiedziała Miranda. – To jest zupełnie idiotyczne. – Zwlekali, nie mieli ochoty się rozstać. Po krótkiej pauzie Adam spytał, jak gdyby dla podtrzymania rozmowy:

– Czy wiesz, jaka jest średnia długość życia oddziału saperskiego, kiedy się już weźmie do roboty?

– Pewnie bardzo niedługa – odparła Miranda.

– Dokładnie dziewięć minut – powiedział Adam. – Wyczytałem to tydzień temu w twojej gazecie.

– Przedłuż do dziesięciu, to się z tobą wybiorę.

– Nie dodam ani sekundy – zapewnił ją Adam. – Dokładnie dziewięć minut, czy ci się to podoba, czy nie.

– Skończ z tymi przechwałkami – powiedziała Miranda. – Kto to obliczył?

– Cywil – odparł Adam. – Facet chory na krzywicę.

Wydało im się to szalenie komiczne, roześmiali się i pochylili do siebie. Miranda usłyszała piskliwą nutę w swoim śmiechu, wytarła oczy. – Zabawna ta wojna, co? – spytała. – Śmieję się, ile razy o niej pomyślę.

Wziął jej dłoń w obie ręce, pociągnął lekko za palce rękawiczek, powąchał. – Jakie śliczne perfumy – powiedział – i jak dużo. Lubię dużo perfum na rękawiczkach i włosach.

– Pewnie chlusnęłam za dużo – odparła. – Ale nic dzisiaj nie czuję, nie widzę i nie słyszę. Jestem chyba strasznie zaziębiona.

– Tylko się nie rozchoruj – powiedział. – Urlop prawie mi się kończy i jest to ostatni, naprawdę ostatni urlop. – Poruszyła palcami w rękawiczkach, które on ciągnął, i obróciła dłonie, jak gdyby były czymś nowym, interesującym i bardzo cennym, nagle onieśmielona i bardzo cicha. Lubiła go, lubiła go, a nawet więcej, ale nie warto sobie niczego nawet wyobrażać, bo on jest nie dla niej ani nie dla żadnej innej kobiety, jest poza doświadczeniem, oddany śmierci bez wiedzy czy świadomego aktu ze swej strony. Cofnęła ręce. – Do widzenia – powiedziała w końcu – do wieczora.

Wbiegła na schody i obejrzała się. Stał i spoglądał za nią, podniósł rękę, ale bez uśmiechu. Miranda rzadko widywała, żeby się ktoś przy pożegnaniu oglądał. Sama czasem nie mogła sobie odmówić jeszcze jednego spojrzenia na osobę, z którą rozmawiała, jak gdyby mogło to zapobiec zbyt brutalnemu i zbyt nagłemu zerwaniu choćby najlżejszej więzi, Ale na ogół ludzie oddalali się szybko, z twarzami już zmienionymi,

steżalymi, dążyli do następnego miejsca postoju, już obmyślali przebieg następnego działania czy spotkania. Adam stał, jak gdyby oczekując, że ona się obejrzy, a jego oczy pod brwiami ściągniętymi w nieruchomej zmarszczce były bardzo czarne.

Usiadła przy biurku nie zdejmując żakietu i czapki, rozcinała koperty i udawała, że czyta. Tylko Chuck Rouncivale, reporter sportowy, i Towney siedzieli dzisiaj na jej biurku, a to nawet lubiła. Siadywała na ich biurkach, jeśli miała ochotę. Towney i Chuck prowadzili rozmowę, której na jej widok nie przerwali.

– Podobno – mówiła Towney – epidemia jest spowodowana zarazkami przywiezionymi do Bostonu przez niemiecki statek, zakamuflowany naturalnie... wszedł do portu pod obcą banderą. Śmieszne, co?

– Może to była łódź podwodna – wtrącił Chuck. – Oderwała się od dna morza i podpłynęła chyłkiem w środku nocy. To brzmi lepiej.

– Znacznie – przyznała Towney. – Zawsze się potykają na jakimś szczególe... No i bakterie zostały rozpylone nad miastem... pamiętasz, że epidemia zaczęła się od Bostonu. Ktoś doniósł, że widział dziwną, gęstą, jakby tłustą chmurę wypływającą z portu i rozchodzącą się powoli nad tą częścią miasta. Zdaje się, że to widziała jakaś stara kobieta.

– A, z całą pewnością – zauważył Chuck.

– Czytałam o tym w nowojorskiej gazecie – oznajmiła Towney – więc to musi być prawda.

Chuck i Miranda roześmieli się tak głośno, że Bill wstał i rzucił im wściekle spojrzenie. – Towney ciągle jeszcze czyta gazety – wyjaśnił Chuck.

– I co w tym takiego śmiesznego? – spytał Bill, siadając i patrząc ze zmarszczonymi brwiami na piętrzące się przed nim śmietnisko.

– To na pewno jakiś cywil zobaczył tę chmurę – powiedziała Miranda.

– Naturalnie – zgodziła się Towney. – Może członek Komisji Łuska – dorzuciła Miranda.

– Anioł z Mons^[2] – oznajmił Chuck – albo działacze jednodolarowi^[3].

Miranda pragnęła przestać słuchać i przestać mówić, chciała przez pięć minut pomyśleć o Adamie, naprawdę o nim pomyśleć, ale nie było czasu. Zobaczyła go po raz pierwszy dziesięć dni temu i odtąd przechodzili razem przez jezdnie, przemykali się między ciężarówkami, limuzynami, ręcznymi wózkami i wozami; czekał na nią w bramach i małych restauracyjkach, które pachniały zjełczałą fryturą; jedli i tańczyli przy natrętnym skowycie i ryku jazzowych orkiestr, siedzieli na nudnych sztukach, ponieważ Miranda musiała pisać z nich recenzje. Raz pojechali w góry i wysiadłszy z samochodu pięli się kamienistą ścieżką aż na półkę skalną pod płaskim szczytem, gdzie siedzieli i patrzyli, jak zmienia się światło w dolinie, która była, powiedziała Miranda, bez wątpienia apokryficzna... – Nie musimy w to wierzyć, ale to jest bardzo piękna poezja – zapewniła go. Pochyleni, dotykając się ramionami, siedzieli prawie bez ruchu i patrzyli. W niedzielę zwiedzali Muzeum Geologiczne, zafascynowani pochylali się nad odłamkami meteorytów, formacji skalnych, skamieniałych kłów i drzew, nad indiańskimi strzałami, bryłami srebrnych i złotych żył. – Pomyśl, ci dawni kopacze zdobywali swoje fortuny płuczac piasek w małych panwiach obok strumieni – powiedział

[2] „*The Angels of Mons, the Bowmen, and other Legends of the War*” 1915 – to zbiór opowiadań angielskiego pisarza Artura Machena, w których autor, wstrząśnięty śmiercią pięciu tysięcy żołnierzy angielskich w bitwie pod Mons w sierpniu 1914 r., przedstawia oddział aniołów, osłaniających odwrót przed nacierającymi Niemcami

[3] Cywilni eksperci powoływani lub zgłaszający się samorzutnie do pracy w wojennych agendach rządowych za symbolicznym wynagrodzeniem jednego dolara rocznie

Adam – kiedy cały czas w ziemi było to...

I powiedział jej, że woli te rzeczy, których proces tworzenia jest długi; przepadał też za samolotami, wszelkiego rodzaju maszyną, za rzeczami wyrzeźbionymi w drzewie czy kamieniu. Niewiele o nich wie, ale potrafi rozpoznać ich piękno. Wyznał, że po prostu nie może dobrać do końca żadnej książki, chyba że są to podręczniki z zakresu inżynierii; czytanie śmiertelnie go nudzi; żałuje teraz, że nie przywiózł swojego kabrioletu, ale nie przypuszczał, że będzie mu potrzebny samochód; uwielbia prowadzić, nie sądzi, żeby ona mu uwierzyła, ile setek mil może zrobić w ciągu jednego dnia... pokazał jej swoje zdjęcia za kierownicą, swoje zdjęcia na żaglówce, wydawał się na nich jakiś wolny i przewiany wiatrem, ruchy miał kanciaste, ciągnął liny; wstąpiłby do lotnictwa, ale za każdym razem, jak o tym wspominał, jego matka dostawała hysterii. Widocznie nie orientowała się, że walki myśliwskie w powietrzu są bezpieczniejsze od nocnych akcji oddziałów saperskich. Ale nie próbował jej przekonać, bo naturalnie nie orientowała się, czym są akcje oddziałów saperskich. No i utknął tu, na płaskowyżu położonym o milę nad poziomem morza, gdzie nie ma wody i żaglówek, a jego samochód jest w domu; inaczej naprawdę by się dobrze bawili. Usiłował jej wytłumaczyć, Miranda doskonale to rozumiała, jaki jest naprawdę, kiedy ma przy sobie swoją maszynę. Czowała, że wie, jakiego rodzaju jest człowiekiem, i miała ochotę mu powiedzieć, że się bardzo myli, jeśli przypuszcza, że zostawił siebie w domu – w samochodzie czy łodzi żaglowej.

Telefony dzwoniły. Bill wrzeszczał na kogoś, kto powtarzał w kółko: – Tak, ale niech pan posłucha, tak, ale niech pan posłucha... – tylko że naturalnie nikt nie miał zamiaru go słuchać, nikt. Stary Gibbons wykrzykiwał zrozpaczony: – Geoorge, Geoorge...

– Ale mimo to... – mówiła Towney swoim najbardziej błogim, patriotycznym głosem. – To jest doskonały pomysł, taka Służba

Przyfrontowa, i powinnyśmy wszystkie zgłosić się ochotniczo, nawet jeżeli nas nie chcą. – Towney doskonale to robi, pomyślała Miranda, aż miło spojrzeć; bo przypominał jej się różowy sweter i napięta, zbuntowana twarz w damskiej szatni. Towney była teraz uosobieniem szczerości i dobroci, gotowa poświęcić się dla ojczyzny. – Ostatecznie umiem tańczyć na poziomie Teatru Małego – powiedziała Towney – i mogłabym im pisać listy do domu, a w razie potrzeby mogłabym prowadzić ambulans. Prowadzę mojego Forda od lat.

Miranda wmieszała się do rozmowy: – Och, ja też umiem tańczyć i śpiewać, ale kto będzie słał łóżka i szorował podłogi? Nie jest łatwo utrzymać taki barak, więc robota byłaby brudna i byłybyśmy absolutnie nieszczęśliwe. A ponieważ mam już ciężką, brudną robotę i jestem absolutnie nieszczęśliwa, zostanę tutaj.

– Uważam, że kobiety powinny trzymać się od tego z daleka – oznajmił Chuck Rouncivale. – Dodają tylko swoją kobiecość do innych okropności wojny. – Chuck miał słabe płuca i gryzł się, że przepuszcza taką okazję. – Do tego czasu zdążyłbym już pojechać i wrócić z obciętą nogą. Stary miałby wtedy za swoje. Musiałby albo sam kupować sobie alkohol, albo wytrzeźwieć.

Miranda widziała, jak w dniu wypłaty Chuck daje ojcu pieniądze na picie. Zresztą był sympatycznym, ujmującym starym szelmą i to było w nim najgorsze. Klepał syna po plecach i uśmiechał się do niego łzawo, z ojcowską czułością, a jednocześnie zabierał mu ostatnią pięciocentówkę.

– To Florence Nightingale zepsuła wojnę – ciągnął Chuck. – Co za sens rozczulać się nad żołnierzami, opatrywać im rany i kłaść kompresy na ich rozgorączkowane czoła? To nie jest wojna. Niech giną na miejscu, tam, gdzie padną. Przecież po to są na froncie.

– Gadać to ty potrafisz – powiedziała Towney patrząc na niego z ukosa.

– Co masz na myśli? – spytał Chuck rumieniąc się i garbiąc plecy. – Wiesz, że mam to płuco... albo raczej już tylko połowę.

– Jesteś przewrażliwiony – odparła Towney. – Nie miałam nic na myśli.

Bill od jakiegoś czasu wściekał się i szalał ssąc swoje na pół wypalone cygaro; włosy sterczały mu na głowie jak szczotka, w dobrych, łagodnych oczach jak oczy sarny był obłąd. Bill nigdy nie będzie miał więcej niż czternaście lat, pomyślała Miranda, nawet jeśli dożyje setki, a w tym tempie naturalnie nie dożyje. Zachowywał się dokładnie tak, jak zachowywali się redaktorzy naczelni w filmach, nie wyłączając sterczącego w ustach cygara. Czy stworzył swój styl według wzoru filmowego, czy też autorzy scenariuszy przywłaszczyli sobie raz na zawsze ów „typ Billa” w jego najtypowszej postaci? Bill wrzeszczał do Chucka; – A jak tu wróci, wyprowadź go na ciemną uliczkę i własnoręcznie odrąb mu głowę!

– Wróci, bądź spokojny – zapewnił go Chuck. Bill dodał łagodnie, myśląc już o czym innym: – No, w każdym razie odrąb.

Towney odeszła do swojego biurka, ale Chuck siedział i czekał grzecznie, aż go Miranda ,zaprosi na nowy wodewil. Dostawała dwa bilety i w poniedziałki brała zawsze ze sobą jednego z reporterów. Chuck był w swoich reportażach sportowych szalenie twardy i fachowy, ale powiedział kiedyś Mirandzie, że go sport nic a nic nie obchodzi; dzięki tej pracy przebywał dużo na powietrzu i mógł płacić za picie starego. Woli teatr i nie może pojąć, dlaczego zawsze daje się tę pracę kobietom.

– Komu Bill chce dzisiaj odrąbać głowę? – spytała Miranda.

– Temu tancerzowi, którego objechałaś w dzisiejszym wydaniu – odparł Chuck. – Był tu dziś o bladym świetle i pytał o gościa piszącego recenzje z widowisk. Oznajmił, że wyprowadzi półgłówka, który napisał ten kawałek, na ciemną uliczkę i rozkwasi mu nos. Poza tym...

– Mam nadzieję, że wyjechał – powiedziała Miranda. – Mam w Bogu

nadzieję, że się śpieszył na pociąg.

Chuck wstał i obciągnął na sobie rdzawobrazowy golf, zerknął w dół na tweedowe pumpy w kolorze grochówki i na brązowe, podkute gwoździami buty, który to strój, jak się Chuck łudził, pomagał mu ukryć fakt, że ma chore płuca i nie lubi sportu. – Nie ma już po nim nawet śladu, nie martw się – powiedział. – Chodźmy, jak zwykle się spóźnisz.

Obróciwszy się Miranda o mało nie nadepnęła na małego, bezbarwnego człowieczka w meloniku. Mógł być kiedyś ładnym chłopcem, ale teraz bezzębne usta mu obwisły, a smutne oczy, obwiedzione czerwonymi obwódkami, zrezygnowały z zalotności. Cienki kosmyk brązowych, natłuszczonych brylantyną włosów wywijał mu się na rondo melonika. Człowieczek nie ruszył się, stał jak wrośnięty w ziemię z pewnego rodzaju biernym sprzeciwem. – Czy pani jest tak zwanym krytykiem teatralnym tej szmatławej gazety? – spytał.

– Przykro mi, ale nie mogę zaprzeczyć – odparła Miranda.

– W takim razie – ciągnął człowieczek – chciałbym prosić, żeby mi pani darowała minutę swego bezcennego czasu. – Wysunął dolną wargę i drżącymi rękami zaczął grzebać w kieszonce kamizelki. – Po prostu nie pozwolę, żeby to pani uszło na sucho. – Zaczął kartkować plik wyświechtanych wycinków z gazety. – Niech pani na to spojrzy, dobrze? Czy pani sobie wyobraża, że pozwolę, żeby mi ubliżał krytyk z takiej zakazanej dziury? – spytał bezdźwięcznym głosem. – Niech pani patrzy... Buffalo, Chicago, St. Louis, Filadelfia, Frisco, nie mówiąc już o Nowym Jorku. To są najlepsze fachowe pisma, „Variety”, „Billboard”... wszystkie musiały w końcu przyznać, że Danny Dickerson zna swoją robotę. A pani uważa inaczej, co? Tylko o to chciałem spytać.

– Tak, uważam inaczej – odparła Miranda bez ogródek, zdobyła się na to – i nie mam czasu z panem rozmawiać.

Człowieczek pochylił się do niej, mówił drżącym głosem, jak gdyby

zdenerwowanie narastało w nim od dawna. – Zaraz, co się pani właściwie we mnie nie podobało? Niech mi pani powie!

Miranda odparła: – Nie warto się tym przejmować. Jakie ma znaczenie, co ja myślę?

– Może sobie pani myśleć, co się pani podoba, nie o to idzie – powiedział człowieczek. – Ale takie rzeczy się rozchodzą i agencje teatralne we wschodnich stanach nie mają pojęcia, jak to tu właściwie jest. Ktoś nas objedzie w jakiejś zakichanej dziurze, a im się zdaje, że to tyle samo, co zła recenzja w Chicago. Rozumie pani? Nie wiedzą, że im wartościowszy numer, tym bardziej zjeżdżają go tacy krytycy od siedmiu boleści. Ale najlepsi fachowcy nazywali mnie najlepszym fachowcem i chciałbym wiedzieć, co się pani we mnie nie podoba.

Chuck powiedział: – Chodź, Miranda, już podnoszą kurtynę. – Miranda oddała człowieczkowi wycinki, większość była sprzed dziesięciu lat, i usiłowała prześliznąć się obok niego. Zaszedł jej drogę i powiedział bez przekonania: – Jakby pani była mężczyzną, rozwaliłbym pani łeb. – Słyszac to Chuck wstał i wyjmując ręce z kieszeni zbliżył się leniwym krokiem.

– Odegrałeś już pan swój taneczno-wokalny numer i teraz zjeżdżaj. No, prędko, bo inaczej zrzucę pana ze schodów.

Człowieczek szarpnął swój krawat, wąski, niebieski krawat w czerwone kropki, trochę postrzępiony w miejscu wiązania. Wyprostował krawat i powtórzył, jakby to była wyuczona rola: – Niech pani zejdzie ze mną na ulicę. – Łzy zebrały mu się pod opuchniętymi, czerwonymi powiekami. Chuck rzucił: – Milczże pan! – i poszedł za Mirandą, która pomknęła już na schody. Dogonił ją na chodniku. – Jak wychodziłem, chlpał i wertował swoje reklamówki, szukając jakiejś dobrej karty – powiedział Chuck. – Biedny stary łajdaczyzna.

Miranda oznajmiła: – Trochę już jest za dużo tego wszystkiego na

tym świecie. Chciałabym, Chuck, usiąść tu na krawężniku i umrzeć, i nie patrzeć więcej na... chciałabym stracić pamięć i nie wiedzieć, jak się nazywam... chciałabym...

– Weź się w garść. Miranda – powiedział Chuck. – To nie jest odpowiedni moment na załamania nerwowe. Zapomnij o tym gościu. Na każde sto osób w przemyśle rozrywkowym jest dziewięćdziesiąt dziewięć takich jak on. Ale swoją drogą nie postępujesz mądrze. Sama ściągasz na siebie takie rzeczy. Wystarczy, żebyś podbijała bębinka głównym aktorom, a o ogonach możesz w ogóle nie wspominać. Staraj się pamiętać, że Rypinsky zmonopolizował w tym mieście cały przemysł rozrywkowy. Dogadaj Rypinsky’emu, a dogodzisz działowi ogłoszeń, dostaniesz podwyżkę. Ręka rękę myje, moja biedna, głupia dziecino, czy ty się tego nigdy nie nauczysz?

– Uczę się ciągle nie tego, co trzeba – przyznała Miranda bezradnie.

– Święta prawda – oznajmił Chuck pogodnie. – Pod tym względem nikt ci nie dorówna. No jak, trochę ci przeszło?

– Zaprosiłaś mnie na koszmarnie przedstawienie – powiedział Chuck. – Co masz zamiar z tym zrobić? Gdybym ja pisał recenzje...

– Napisz. Tym razem ty napisz. Zresztą i tak mam zamiar odejść, tylko nic jeszcze nikomu nie mów.

– Mówisz serio? – spytał Chuck. – Całe życie marzyłem, żeby być tak zwanym krytykiem teatralnym w prowincjonalnej szmacie i to jest niewątpliwie moja pierwsza szansa.

– Lepiej z niej skorzystaj – poradziła Miranda – bo może być ostatnia. – Myślała: To jest początek końca czegoś. Coś strasznego stanie się ze mną. Tam, gdzie idę, nie będzie mi potrzebny chleb z masłem. Zapisuję tę pracę Chuckowi, ma sędziwego ojca i musi płacić za jego picie. Żeby mu

ją tylko po mnie dali. Och, Adam, mam nadzieję, że cię jeszcze zobaczę, zanim mnie wykończy to coś, co się ze mną dzieje.

– Chciałabym, żeby się wojna skończyła – powiedziała Miranda. – Chciałabym, żeby się skończyła i żeby się nigdy nie zaczynała.

Chuck wyjął ołówek i notes i pisał już swoją recenzję. Słowa, które wypowiedziała, zdawały się dość bezpieczne, ale jak on je przyjmie? – Nic mnie nie obchodzi, jak się zaczęła i kiedy się skończy – rzucił nie przerywając pisania. – Mnie tam nie będzie.

Wszyscy mężczyźni nie przyjęci do wojska tak mówią, pomyślała Miranda. Wojna to ich jedyne marzenie, ponieważ jest dla nich nieosiągalna. Może naprawdę chcieli iść się bić, a przynajmniej niektórzy z nich. Wszyscy zerkają z ukosa na kobiety, z którymi o tym mówią, mają do nich tłumioną urazę. „Nie traktuj mnie jak tchórza, ty krwiozercza babo. Ofiarowałem moje mięso krukom, ale one go nie chcą.” Najgorsza rzecz związana z wojną dla tych, co zostali w kraju, to że nie ma już z kim rozmawiać. Kto nie uważa, do tego dobierze się Komisja Łuska. Chleb wygra wojnę. Praca wygra wojnę, cukier wygra wojnę, pestki brzoskwiniowe wygrają wojnę. Bzdura. Wcale nie bzdura, mówię ci, że w pestkach brzoskwini jest jakiś cenny materiał wybuchowy. Przeto w okresie robienia kompotów na zimę wszystkie uszczęśliwione panie domu śpieszą, by złożyć na ołtarzu ojczyzny swój koszyk z pestkami brzoskwiniowymi. Mają dzięki temu zajęcie i żyją w poczuciu, że się na coś przydają, bo te wszystkie kobiety biegające samopas, kiedy mężczyźni odjechali, są niebezpieczne, trzeba im dać coś, co zajmie ich małe mózdzki i powstrzyma od robienia głupstw. Wobec tego zastępy młodych dziewczyn, owych nie tkniętych kolebek przyszłości, o czystych, poważnych twarzyczkach obramowanych ślicznie czepkami Czerwonego Krzyża, zwijają bandaże, które nigdy nie dotrą do szpitala frontowego, i robią na drutach swetry, które nigdy nie ogrzeją męskiej

piersi, a jednocześnie rozmyślają czule o całym tym błocie i krwi, i o następnej zabawie tanecznej w Klubie Acanthus, wydawanej dla oficerów lotnictwa. Bądźmy ciche i spokojne, a wygramy wojnę.

– Po prostu mnie tam nie będzie – powtórzył Chuck pochłonięty pisaniem recenzji. Nie, za to Adam tam będzie, pomyślała Miranda. Zsunęła się niżej na fotelu, oparła głowę o zakurzony plusz, zamknęła oczy i przez sekundę, która była całym życiem, stała oko w oko z druzgocącą, pewną i straszną świadomością, że dla Adama i dla niej nie ma przyszłości. Otworzyła oczy, złożyła ręce dłońmi do góry i wpatrując się w nie usiłowała zrozumieć, czym jest niepamięć.

– A teraz spójrz na to – powiedział Chuck, bo zapalono światła i na sali rozległy się znowu szmery i rozmowy. – Mam wszystko gotowe, jeszcze zanim gwiazda pokazała się na scenie. To Stella Mayhew, a ona jest zawsze dobra, jest dobra od czterdziestu lat i zaśpiewa piosenkę „Och, bluesy to taka niefrasobliwa choroba serca”. Tylko tyle musisz o niej wiedzieć. Teraz przeczytaj. Podpisałaś to?

Miranda wzięła zapisane kartki i wpatrywała się w nie pilnie, miała nadzieję, że przewraca je w odpowiednich momentach, a potem oddała wszystkie Chuckowi. – Tak, Chuck, naturalnie podpisała bym to. Ale nie podpiszę. Musimy powiedzieć Billowi, że to ty napisałeś recenzję, bo to może jest twój start.

– Nie doceniłaś mnie – powiedział Chuck. – Przeczytałaś za szybko. Posłuchaj... – i zaczął mamrotać z przejęciem. Gdy czytał, obserwowała jego twarz. Sympatyczna twarz, z jakąś iskrą życia i szlachetną surowością w ukształtowaniu czoła nad nosem. Po raz pierwszy, odkąd się znali, Miranda zaczęła się zastanawiać, co Chuck naprawdę myśli. Sprawiał wrażenie człowieka zatroskanego i nie bardzo szczęśliwego, nie był taki jowialny, jak się wydawał. Ludzie tłoczyli się w przejściu, wyjmowali papierosnice i byli gotowi zapalić zapałkę natychmiast po

wejściu do westybulu; kobiety o włosach ułożonych w fale zaciskały ręce na brzegach płaszczy, mężczyźni wysuwali brody, chcąc się wyswobodzić ze sztywnych kołnierzyków. Chuck powiedział: – Możemy już wyjść. – Zapinając żakiet Miranda wmieszała się w tłum, myślała: Co ja o tych ludziach wiem? Na pewno wielu myśli tak jak ja, ale nie mamy odwagi powiedzieć sobie o naszej rozpacz, jesteśmy niemymi zwierzętami, które pozwalają się niszczyć... dlaczego? Czy ktoś tutaj wierzy w to, co sobie mówimy?

Leżąc niewygodnie na wybrzuszeniu wiklinowej kanapki w damskiej szatni Miranda czekała, aż czas odpłynie i zostawi ją z Adamem. Czas posuwał się jeszcze dziwniej niż zwykle, pozostawiał w jej umyśle półgodzinne, mroczne luki, które wydawały się sekundą, a potem rzucał snopy jaskrawego światła, które oświetlało wyraźnie tarczę jej zegarka dowodząc, że trzy minuty czekania jest czymś ponad siły, jak gdyby wisiała rozpięta na krzyżu. W końcu miała już prawo sobie wyobrazić, że Adam wychodzi z domu pośród wczesnego mroku i zagłębia się w błękitną mgłę, która niedługo może stać się deszczem, jest pewnie w drodze, więc nie ma już miejsca na myśli o nim, mimo wszystko. Było tylko pragnienie, żeby go zobaczyć, i strach, ta wciąż obecna groźba, że nie zobaczy go więcej; bo każdy krok, który robili idąc do siebie, zdawał się niebezpieczny, zdawał się oddalać ich od siebie, zamiast przybliżać, jak bywa z pływakiem, gdy mimo najzacieklejszych wysiłków fala szarpie go do tyłu. Nie chcę kochać, mówiła sobie, nie Adama, nie starczy na to czasu i nie jesteśmy do tego gotowi, a przecież to jest wszystko, co mamy...

No i stał przed wejściem, z nogą na pierwszym stopniu, i Miranda prawie do niego zbiegła. Trzymając obie jej ręce Adam spytał:

– Dobrze się teraz czujesz? Jesteś głodna? Jesteś zmęczona? Miałabyś ochotę potańczyć, jak się skończy przedstawienie?

– Na wszystkie pytania tak – odparła Miranda. – Tak, tak... – Głowę miała lekką jak piórko, musiała się oprzeć na jego ramieniu.. Mgła była wciąż mgłą, która mogła później zmienić się w deszcz, a powietrze, chociaż ostre i czyste w smaku, nie ułatwiało oddychania. – Mam nadzieję, że przedstawienie jest dobre albo chociaż zabawne – powiedziała – ale niczego nie przyrzekam.

Sztuka była długa i ponura, lecz Adam i Miranda siedzieli bardzo cicho i czekali bardzo cierpliwie na koniec. Adam ostrożnie i z powagą zdjął Mirandzie rękawiczkę i trzymał ją za rękę, jak gdyby przywykł do trzymania jej za rękę w teatrach. Raz obrócili się do siebie i ich oczy się spotkały, ale tylko raz, i obie pary oczu patrzyły z jednakowym spokojem i jednakową rezerwą. Głębokie drżenie przebiegło Mirandę i natychmiast, metodycznie, zaczęła się mu przeciwstawiać – jak gdyby zamykała drzwi i okna, i umocowywała okiennice przed nadciągającą burzą.

Kiedy podniesiono kurtynę przed trzecim aktem, trzeci akt nie od razu się zaczął. Zamiast tego ukazała się wewnętrzna kotara, prawie zupełnie przysłonięta flagą amerykańską, eksponowaną w sposób niewłaściwy i z brakiem szacunku; była przybita gwoździami w dwóch górnych rogach, zebrana pośrodku i znowu przybita u dołu, zakurzona i sflaczała. Przed nią stał upozowany miejscowy urzędnik administracji, teraz „wnoszący swój wkład” jako sprzedawca pożyczki wojennej. Przeciętny, starszawy człowiek z okrągłym brzuszkiem jak melon, w opiętych spodniach i kamizelce, o zaciśniętych, upartych wargach – twarz i postać, z których nie można było wyczytać nic prócz niedorzecznej, czysto zmysłowej kroniki pięćdziesięciu lat. Ale przynajmniej raz w życiu był ważnym facetem w podniosłej sytuacji, więc delektował się nią recytując słowa aktorskim tonem.

– Wygląda jak pingwin – powiedział Adam. Poruszyli się, uśmiechnęli do siebie, Miranda cofnęła dłoń. Adam splótł ręce, wiedzieli, że muszą wytrwać do końca tego samego co zawsze starego, zatęchłego przemówienia na tle tej samej co zawsze starej, zakurzonej kotary. Miranda usiłowała nie słuchać, ale słyszała. Ci nikczemni Hunnowie... chwałą okryty Las Belleau... naszym hasłem jest Wyrzeczenie... Umęczona Belgia... daj, ile możesz... nasi bohaterscy chłopcy po tamtej stronie Atlantyku... grube Berty... śmierć cywilizacji... Hunnowie...

– Głowa mnie boli – wyszeptała Miranda. – Och, czy on by nie mógł umilknąć?

– Nie umilknie – powiedział Adam. – Postaram ci się o aspirynę.

Na Polach Flandrii rosną maki. Między długimi rzędami krzyży... – Wychodzi na ostatnią prostą – wyszeptał Adam. Okrucieństwa... niewinne dzieci nadziewane na szwabskie bagnety... wasze dzieci i moje dzieci... jeżeli oszczędzimy tego naszym dzieciom, będziemy mogli powiedzieć z całym szacunkiem, że ci, którzy oddali życie, nie zginęli na darmo... wojna, wojna, wojna, żeby położyć kres wojnom; wojna w obronie demokracji, wojna w obronie ludzkości, po wsze czasy bezpieczny świat, a jeśli chcemy dowieść sobie samym, że wierzymy w demokrację, jeśli chcemy dowieść tego światu, wytężmy siły i kupujmy obligacje pożyczki wojennej, obywajmy się bez cukru i wełnianych skarpetek... Co takiego? – zadała sobie Miranda pytanie. Powtórz to jeszcze raz, nie zrozumiałam ostatnich słów. Czy mówiłeś coś o Adamie? Jeśli nie mówiłeś, nie jestem ciekawa. Co z Adamem, ty mały bydlaku? I co zaśpiewamy tym razem... „Tipperary” czy „Wije się przed nami długa, długa ścieżka”? Och, proszę cię, skończ już i niech zaczynają trzeci akt. Zanim pójdę tańczyć z Adamem, muszę napisać recenzję, więc nie mamy czasu. Węgiel, nafta, żelazo, złoto, międzynarodowy kapitał... dlaczego nie mówisz nam o tym, ty nędzny łgarzu?

Publiczność wstała i odśpiewała „Wije się przed nami długa, długa ścieżka”. Usta śpiewających były czarne, a twarze blade w odbitym świetle reflektorów. Niektóre twarze wykrzywiały się w płaczu, były na nich błyszczące smugi jak ślady drogi ślimaka. Adam i Miranda przyłączyli się do chóru, śpiewali pełnymi głosami uśmiechając się do siebie wstydliwie od czasu do czasu.

Na ulicy zapalili papierosy i jak zwykle szli wolno. – Jeszcze jeden odrażający staruch, który chciałby patrzeć na śmierć młodych – powiedziała Miranda cichym głosem. – Stare kocury usiłują zjadać młode kocięta. Ale właściwie nie udaje im się nikogo nabrać, prawda, Adam?

Młodzi ludzie tak już wtedy mówili o tej sprawie. Wydawało im się, że widzą dość jasno, na czym polega gra. – Nienawidzę tych brzuchatych łysej pał – ciągnęła Miranda. – Za starzy, za grubi, za tchórzliwi, żeby pójść na front, wiedzą, że są bezpieczni. Zamiast tego wysyłają ciebie...

Adam spojrzał na nią z nieudawanym zdumieniem. – Ach, on... – powiedział. – Co ten biedny głupiec mógłby robić, gdyby go wzięli? To nie jego wina – tłumaczył. – Nadaje się tylko do tego, żeby mówić. – Duma z własnej młodości, tolerancja, wyrozumiałość i pogarda dla tej nieszczęśliwej istoty była z niego, gdy tak szedł wyprostowany i świadomy swojej siły. – Czego mogłabyś się po nim spodziewać, Miranda?

Ona wymawiała jego imię często, on bardzo rzadko. Przyjemność, jaką jej sprawił dźwięk własnego imienia w jego ustach, powstrzymała ją od odpowiedzi. Wahała się chwilę, potem zaatakowała z innej strony. – Adam – powiedziała – najgorsze w tej wojnie to strach i podejrzliwość, i ten okropny wyraz w oczach ludzi... jak gdyby spuścili żaluzje na swoje umysły i serca i tylko zerkali spoza nich, gotowi rzucić się na ciebie, jeżeli zrobisz jeden gest czy powiesz jedno słowo, którego nie zrozumieją natychmiast. To mnie przeraża. Ja też żyję w strachu, a nikt nie powinien żyć w strachu. Chodzi mi o całe to czajenie się, kłamstwa. O to, co wojna

robi z umysłami i sercami ludzkimi, a tych rzeczy nie można oddzielić... to, co robi z umysłami i sercami, jest gorsze od tego, co może zrobić z ciałem.

– Naturalnie, ale załóżmy, że człowiek wróci cały – odpowiedział Adam trzeźwo. – Serce i umysł mogą mieć jeszcze jakąś szansę, ale jeśli się coś stanie z biednym ludzkim ciałem... no cóż, pech i to wszystko.

– Ależ tak, pech i to wszystko – przedrzeźniła go Miranda.

– Gdybym nie poszedł – powiedział Adam rzeczowym tonem – nie mógłbym sobie spojrzeć w oczy.

A więc ta sprawa jest już załatwiona. Trzymając palce płasko na jego ramieniu Miranda milczała, myślała o Adamie. Nie ma w nim ani żalu, ani buntu. Czysty, myślała, aż od samej głębi, bez skazy, jednolity, takie powinno być jagnią ofiarne. A jagnię ofiarne kroczyło obok niej niedbale, przystosowywało swój długi krok do jej kroku, zgodnie z dobrą amerykańską tradycją szło od strony chodnika, przeprowadzało ją na drugą stronę ulic, jak gdyby była kaleką... (Żeby tylko nie było kałuży, bo mnie będzie chciał przenieść)... wydzielalo smugi dymu tytoniowego, męski zapach zwykłego mydła, świeżo wyczyszczonej skóry i świeżo umytego ciała, oddychało przez nos i swobodnie poruszało piersią. Zadał głowę i uśmiechnął się do nieba, które nadal było zamglone, zapowiadało deszcz. – Och, co za noc – powiedział. – Nie mogłabyś się pośpieszyć z tą swoją recenzją, żebyśmy już wreszcie zaczęli?

Czekał na nią przy filiżance kawy w restauracyjce tuż obok drukarni, restauracyjce przewanej Tłusta Łyżka. Kiedy w końcu przyszła, świeżo umyta, uczesana i upudrowana, zobaczyła go pierwsza, siedział przy dużym, brudnym oknie twarzą zwrócony do ulicy, ale spoglądał w dół. Była to niezwykła twarz, gładka i kształtna, i złocista mimo mętnego światła, ale teraz stężała w ślepej melancholii, w wyrazie bolesnego oczekiwania i rozczarowania. Przez ułamek sekundy Miranda widziała

Adama, jakim byłby, kiedy mu przybędzie lat, jego twarz w wieku, którego nie dożyje. Nagle ją zobaczył, wstał i wróciła promienna jasność.

Adam zestawiał ich krzesła, usiedli obok siebie przy stoliku; pili gorącą herbatkę i przysłuchiwali się orkiestrze jazzowej grającej „Zapakuj swoje troski”.

„Do starego tornistra i śmiesz, śmiesz, śmiesz” – ryczało kilku chłopców w wieku przedpoborowym, którzy obsiedli stolik niedaleko orkiestry. Wrzeszczeli bezładnie, śmieli się i zanosili od potężnych wybuchów czegoś, co wyglądało na rozbawienie, i podawali sobie z rąk do rąk pod stolikiem płaskie butelki zawierające przezroczysty płyn – bo w tym mieście założonym i zbudowanym przez tęgo pijących górników nikomu nie wolno było pić alkoholu jawnie – dolewali go do szklanek z piwem imbirowym i śpiewali „Daleka jest droga do Tipperary”. Kiedy orkiestra zagrała „Madelon”, Adam powiedział: – Zatańczmy.

Był to obskurny mały lokalik, gorący, zatłoczony i pełen dymu, ale w mieście nie znaleźliby lepszego. Orkiestra gra wesoło, a życie i tak jest zupełnie zwariowane, pomyślała Miranda, więc jakie to ma znaczenie? To jest wszystko, co Adam i ja wiemy, wszystko, co będziemy mieli, tak już jest z nami. Miała ochotę powiedzieć: „Adam, ocknij się z marzeń i posłuchaj mnie. Czuję ból w piersiach i w głowie, i w sercu, prawdziwy ból. Boli mnie całe ciało, a ty jesteś w tak strasznym niebezpieczeństwie, że nie mam siły o tym myśleć, i czy nie możemy siebie nawzajem uratować?” Kiedy jej dłoń zacisnęła się na jego ramieniu, jego ręka natychmiast mocniej objęła ją w talii, i została tak. Nie mówili, tylko uśmiechali się do siebie nieustannie, dziwacznymi, zmieniającymi się uśmiechami, jak gdyby znaleźli nowy język. Miranda, z twarzą tuż przy ramieniu Adama, spostrzegła młodą, ciemnowłosą parę przy stoliku w

rogu, siedzieli objęci w pół, głowa tuż przy głowie, wpatrzeni w to samo – nie wiadomo właściwie w co – majaczące w powietrzu przed nimi. Prawa dłoń dziewczyny leżała na stoliku przykryta jego dłonią, jej twarz była zamazana od łez. Od czasu do czasu podnosił jej dłoń do ust i całował, a potem kładł z powrotem na stolik i przykrywał swoją, a oczy dziewczyny znowu napełniały się łzami. Ich zachowanie nie było bezwstydnym, po prostu zapomnieli, gdzie są, albo może nie mieli dokąd pójść. Nie mówili do siebie ani słowa i mała pantomima powtarzała się, jak melancholijny króciutki film wyświetlany wciąż i wciąż od nowa. Miranda zazdrościła im, zazdrościła dziewczynie. Przynajmniej może płakać, jeśli to pomaga, a on nawet nie musi pytać: Co się stało? Powiedz mi. Na stoliku przed nimi stały filiżanki z kawą i po długim czasie – Miranda i Adam zatańczyli dwa razy i znowu usiedli – kiedy kawa była już zupełnie zimna, wypili ją nagle, a potem znowu się objęli, bez słowa i prawie na siebie nie patrząc.

Tak, przynajmniej coś się dopełniło i zostało między nimi rozstrzygnięte; to było godne pozazdroszczenia, że mogą siedzieć spokojnie obok siebie, z tym samym wyrazem twarzy, i patrzeć we wspólne piekło, obojętne, jakie to było piekło, ale było ich wspólnym piekłem, byli razem.

Przy stoliku tuż obok Adama i Mirandy młoda kobieta oparła się na łokciu i opowiadała swojemu chłopcu jakąś historię. – A on mi się nie podoba, bo jest beczelny. Nic tylko mnie namawiał, żebym sobie wypila, ale wciąż mówiłam, że nie piję, a on na to: Słuchaj, cholernie mi się chce pić i to świństwo, że nie chcesz sobie ze mną golnąć, nie mogę tu siedzieć sam i pić. To mu wtedy wygarnęłam: Po pierwsze nie jesteś tu sam, dobry sobie, tak mu wyrębałam. Zresztą, jak masz ochotę na kielicha, nie krępuj się i pij, ale po co mnie w to wciągac? Wtedy zawołał kelnera i zamówił piwo imbirowe i dwie szklanki, i ja się napiłam piwa imbirowego, jak zawsze, ale on doprawił swoje gorzałką. A jaki był dumny z tej gorzałki,

chwalił się, że ją sam zrobił z kartofli. Dobry domowy bimber, jeszcze ciepły, powiedział, dodasz trzy krople i smakuje jak MUM Extra. Ale powiedziałam: Nie, a jak ja mówię nie, to nie, wbij to sobie do tego twojego zakutego łba. To gołnął sobie jeszcze jednego i powiada: No dalej, kochanie, napij się, to będziesz lepiej tańczyła shimmy. Miałam już dosyć tego gadania, więc mu powiedziałam: Nie muszę pić gorzałki, żeby tańczyć shimmy, wystarczy mi do tego herbata. To dlaczego nie pijesz, spytał, a ja mu na to...

Wiedziała, że śpi już bardzo długo, gdy nagle, bez ostrzegawczego odgłosu kroków czy skrzypienia zawiasów w drzwiach, Adam był w pokoju, zapalał światło, a ona wiedziała, że to on, chociaż w pierwszej chwili światło ją oślepiło i odwróciła głowę. Natychmiast się zbliżył, usiadł na brzegu łóżka i zaczął mówić w taki sposób, jak gdyby prowadził dalej rozmowę, którą przerwali:

– Nie dostałaś mojej kartki? – powiedział. – Wsunąłem ją pod drzwi. Wezwano mnie niespodziewanie do obozu, robili mi całą masę zastrzyków. Zatrzymali mnie dłużej, niż przypuszczałem, i zrobiło się późno, Zadzwoń do redakcji, powiedzieli, że cię dzisiaj nie będzie. Zatelefonowałem do panny Hobbe i dowiedziałem się, że leżysz i nie możesz podejść do telefonu. Powtórzyła ci, że dzwoniłem?

– Nie – odparła Miranda sennie – ale spałam chyba cały dzień. Och, teraz sobie przypominam. Był tu doktor, Bill go przysłał. Poszłam raz do telefonu, bo mi Bill powiedział, że przyśle karetkę i każe mnie zabrać do szpitala. Doktor mnie opukał, zostawił receptę i powiedział, że wróci. Ale nie przyszedł. – Gdzie jest ta recepta? spytał Adam.

– Nie wiem. Ale ją zostawił, widziałam.

Adam zaczął przeszukiwać stoliki, półkę nad kominkiem.

– Jest – powiedział. – Wrócę za kilka minut. Muszę poszukać dyżurnej apteki. Już po pierwszej. Do widzenia.

Do widzenia, do widzenia. Miranda dość długo wpatrywała się w drzwi, za którymi zniknął, a potem zamknęła oczy i myślała: Kiedy stąd wychodzę, zupełnie nie pamiętam tego pokoju, w którym mieszkam już blisko rok... tyle tylko, że zasłony są za cienkie i że w żaden sposób nie można rano zasłonić światła. Panna Hobbe obiecała jej grubsze zasłony, ale skończyło się na obietnicy. Kiedy rano Miranda, w szlafroku, stała przy telefonie, panna Hobbe przechodziła niosąc tackę. Była drobnym, rudowłosym, nerwowo-przyjacielskim stworzeniem, a jej zachowanie mówiło aż nadto wyraźnie, że pensjonat nie daje dochodów, a ona sama znajduje się o krok od ruiny.

– Drogie dziecko – powiedziała ostro, rzucając szybkie spojrzenie na strój Mirandy – co się stało?

Trzymając słuchawkę przy uchu Miranda powiedziała: – Chyba influenza.

– Zgroza – wyszeptła panna Hobbe i tacka zakołysała się jej w rękach. – Wracaj do łóżka natychmiast... natychmiast!

– Muszę najpierw porozmawiać z Billem – wyjaśniła Miranda. Panna Hobbe odeszła śpiesznie i nie wróciła. Bill wykrzykiwał przez telefon polecenia, obiecywał wszystko – lekarza, pielęgniarkę, ambulans, szpital, co tydzień wypłatę, jak zwykle – wszystko, byle natychmiast wróciła do łóżka i nie wstawała. Osunęła się na łóżko myśląc, że Bill jest jedynym znanym jej człowiekiem, który w zdenerwowaniu naprawdę wrywa sobie włosy z głowy... Powinnam chyba poprosić, żeby mnie odesłali do domu, myślała, obciążanie własną śmiercią rodziny – jeśli się tylko uda – jest chwalebny, starodawnym zwyczajem. Nie, zostanę tutaj, to moja sprawa, ale mam nadzieję, że nie w tym pokoju... chciałabym być w mroźnych górach, na śniegu, tego bym najbardziej chciała, i wzniosły się

dokoła niej rytmiczne grzbiety Gór Skalistych przystrojonych wiecznym śniegiem, majestatycznymi, błękitnymi wieńcami laurowymi chmur, i od ich ostrego oddechu przeszedł ją mróz. Nie, potrzebne mi ciepło... Jej pamięć odwróciła się i popłynęła ku innemu miejscu, które znała dawniej i najbardziej kochała, a które teraz widywała tylko w ulotnych fragmentach palm i cedrów, głębokich cieni i nieba, które grzało nie oślepiając, jak to obce niebo oślepiało nie dając ciepła; było tu długie, powolne migotanie szarego mchu w sennym cieniu dębów, szerokie kręgi unoszących się w gorze sępów, woń ziół nad brzegiem wody, i bez żadnych zapowiedzi szeroka, spokojna rzeka, do której wpływały wszystkie znane jej rzeki. Ściany po bokach rozsunęły się jednym nieśpiesznym, bezszelestnym ruchem i oto zobaczyła przycumowany tuż obok wysoki żaglowiec z poczeriałym od wody pomostem dotykającym nóg jej łóżka. Dalej za statkiem ciągnęła się dżungla i zobaczywszy ją Miranda wiedziała, że jest dokładnie taka jak wszystko, co czytała albo co jej mówiono, albo co odczuwała, albo co myślała o dżunglach; skłębione, przerażająco ruchliwe, tajemnicze miejsce śmierci, rojące się od splotów pocętkowanych węży, tęczowych ptaków o złośliwych oczach, lampartów o ludzkich, mądrych twarzach i lwów o bujnych grzywach; 'rozwrzeszczane, długorekie małpy miały się pośród szerokich, mięsistych liści rozżarzonych siarkowożółtym światłem i wydzielających posokę śmierci, a gnijące pnie nieznanych drzew wały się w pelzającym szlamie. Bez zdziwienia, obserwując wszystko z poduszki, zobaczyła siebie, jak wbiega kładką na pochyły pokład, jak stanąwszy, tam opiera się o poręcz i macha wesoło do siebie w łóżku; a wtedy smukły statek rozpostarł skrzydła i popłynął w głąb dżungli. Powietrze dygotało od ogłuszającego wrzasku i ochryplego ryku zmieszanych głosów, przetaczających się i zderzających w gorze nad nią jak strzępiaste chmury burzowe, a słowa stały się tylko dwoma słowami falującymi wokół jej głowy. Niebezpieczeństwo,

niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo, wołały głosy. Wojna, wojna, wojna. Drzwi były uchylone, Adam stał z ręką na klamce, a panna Hobbe, z twarzą wykrzywioną strachem, wołała piskliwie: – Mówię panu, muszę po nią przyjść zaraz, bo inaczej każę ją wynieść na chodnik... Mówię panu, to jest zaraza, mój Boże... zaraza, a ja mam dom pełen ludzi!

– Wiem o tym. Zabiorą ją jutro rano.

– Jutro rano, mój Boże... niech przyjadą zaraz!

– Nie ma karetki pogotowia – odparł Adam – iw szpitalu nie ma łóżek. A ja nie mogłem znaleźć ani lekarza, ani pielęgniarki. Wszyscy są zajęci. I nic więcej nie mam do powiedzenia na ten temat. Pani niech nie wchodzi do pokoju, ja się nią zajmę.

– Tak, pan się nią zajmie, widzę to – zawołała panna Hobbe szczególnie niemiłym tonem.

– Jak powiedziałem – odparł Adam oziębło – a pani niech tu nie wchodzi.

Zamknął ostrożnie drzwi. Niósł naręcze bezkształtnych paczuszek, Mirandę zdumiał kamienny wyraz jego twarzy.

– Słyszałaś? – spytał pochylając się nad nią, mówiąc bardzo spokojnie. – Prawie wszystko – odparła. – Ładna perspektywa, nie uważasz.

– Przyniosłem ci lekarstwa – wyjaśnił – masz je natychmiast zacząć brać. Ona nie może cię wyrzucić.

– Jest aż tak źle – powiedziała Miranda.

– Nie mogłoby być gorzej – przyznał Adam. – Wszystkie kina i teatry i prawie wszystkie sklepy i restauracje są zamknięte, a na ulicach w dzień jest pełno pogrzebów, a w nocy karetok pogotowia...

– Ale ani jednej dla mnie – rzuciła Miranda z uczuciem beztroskiej wesołości. Usiadła, poprawiła poduszkę i sięgnęła po szlafrok. – Cieszę się, że przyszedłeś, śnił mi się jakiś koszmar. Możesz mi dać papierosa? Sam też zapal, otwórz wszystkie okna i siądź przy samym parapacie.

Narażasz się – powiedziała – nie rozumiesz tego? Dlaczego to robisz?

– Mniejsza z tym – odparł. – Teraz weźmiesz lekarstwo – i podał jej dwie duże pigułki wiśniowego koloru. Połknęła je prędko i natychmiast wymiotowała. – Och, tak mi przykro – szepnęła i zaczęła się śmiać. Adam bez słowa i z bardzo zaniepokojoną miną wytarł jej twarz mokrym ręcznikiem, otworzył jedno z przyniesionych pudełek i włożył jej do ust odrobinę kruszonego lodu, a potem bardzo stanowczo podał dwie następne pigułki. – Zawsze dawali mi lód w domu – wyjaśnił – i pomagało. – Upokorzona zakryła twarz rękami i znowu roześmiała się boleśnie.

– Są jeszcze dwa rodzaje lekarstw – powiedział Adam odrywając jej ręce od twarzy i podnosząc brodę. – To dopiero początek.

A poza tym przyniosłem inne rzeczy... sok pomarańczowy i lody, powiedzieli mi, żeby cię karmić lodami... i termos z kawą, i termometr. Musisz się kolejno uporać ze wszystkim, więc lepiej się nie denerwuj.

– Wczoraj o tej porze tańczyliśmy – powiedziała Miranda i wypila coś, co jej Adam podał na łyżce. Wodziła za nim wzrokiem, gdy krzątając się po pokoju wykonywał rozmaite czynności z miną roztargnioną, jak to mężczyzna pozostawiony sam sobie; od czasu do czasu wracał, wsuwał jej rękę pod głowę i przytykał do warg filiżankę albo kieliszek, a ona piła, a potem znowu wodziła za nim wzrokiem nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje.

– Adam – powiedziała – właśnie przyszło mi coś do głowy. Może oni zapomnieli o szpitalu Świętego Łukasza. Zadzwoń do siostr i powiedz, żeby nie były takie egoistki z tymi swoimi niemądrymi pokojami. Powiedz, że chcę tylko małą, ciemną, brzydką klitkę na trzy dni albo na mniej. Spróbuj, Adam.

Wyobrażał sobie chyba, że ona jest wciąż mniej lub więcej przytomna, bo usłyszała, jak mówi przez telefon swoim spokojnym głosem. Wrócił prawie natychmiast i powiedział: – Zdaje się, że to jest

mój dzień nieporozumień z poirytowanymi starymi pannami. Siostra mi wytłumaczyła, że nawet gdyby miały pokój, nie dostałabyś go bez skierowania lekarza. Ale i tak nie mają. Była dość skwaszona.

– Uważam, że to jest strasznie podle z ich strony – powiedziała Miranda stłumionym głosem. – Nie myślisz? – Usiadła wymachując dziko ramionami i znowu dostała gwałtownych torsji.

– Zaczekaj, jeśli możesz! – zawołał Adam chwytając miednicę. Trzymał ją za skronie, umył jej twarz i ręce lodowatą wodą, położył głowę równo na poduszce i zbliżywszy się do okna wyjrzał na ulicę.

– No cóż – powiedział w końcu, siadając znów na brzegu łóżka – nie mają pokoju. Nie mają łóżka. Sądząc z tego, co mówiła, nie mają nawet kołyski dziecięcej. Więc sytuacja jest prosta i możemy spokojnie się położyć.

– Nie przyślą karetki?

– Może jutro.

Zdjął kurtkę, powiesił ją na oparciu krzesła. Ukłąkł przed kominkiem i zaczął ostrożnie układać cienkie drewnienka na podpałkę, ustawiał je w kształcie indiańskiego namiotu z kulką papieru wsuniętą do środka, na której drewnienka się opierały. Podpałił ten stos, położył na wierzchu kilka dodatkowych patyków i większe kawałki drzewa. Kiedy drzewo się zajęło, dorzucał cięższe drwa i węgiel, po kilka kawałków naraz, aż w końcu buchnęły wysokie płomienie i na kominku palił się ogień, oświetlał go od tyłu i włosy mu błyszczwały.

– Adam – powiedziała Miranda – uważam, że jesteś piękny.

Roześmiał się i potrząsnął głową. – Jak możesz mnie określać takim strasznym słowem?

– To było pierwsze, co mi przyszło na myśl. – Miranda podparła się na łokciu, żeby złowić ciepło bijące od płomieni. – Wspaniale rozpaliliś ten ogień.

Usiadł znów na łóżku, przysunął krzesło i postawił stopy na poprzeczce. Uśmiechnęli się do siebie po raz pierwszy, odkąd przyszedł tego wieczora. – Jak się czujesz? – spytał.

– Lepiej, znacznie lepiej – odparła. – Porozmawiajmy. Powiedzmy sobie, co mieliśmy zamiar zrobić w życiu.

– Ty powiedz pierwsza – poprosił. – Chcę wiedzieć o tobie.

– Mógłbyś pomyśleć, że moje życie było bardzo smutne – zaczęła Miranda – i może było smutne, ale chciałabym mieć je teraz z powrotem. Gdybym mogła mieć je teraz z powrotem, byłoby mi łatwo cieszyć się prawie wszystkim. To wcale nie jest prawda, ale tak to odczuwam. – Po krótkiej pauzie dodała: – Jeżeli skończy się teraz, nie mam właściwie nic do powiedzenia, bo cały ten czas przygotowywałam się do czegoś, co miało się zdarzyć później, jak przyjdzie na to pora. Więc teraz właściwie nie ma o czym mówić.

– Ale przecież było ci warto żyć do teraz, prawda? – spytał poważnie, jak gdyby się chciał dowiedzieć czegoś bardzo ważnego.

– Nie, jeśli się ma skończyć teraz – odparła z uporem.

– Nie byłaś nigdy... szczęśliwa? – spytał Adam; wyraźnie bał się tego słowa, onieśmiało go, jak onieśmiało go słowo „kocham”, którego nigdy dotąd nie wymówił, nie był pewien jego dźwięku i znaczenia.

– Nie wiem – odparła – po prostu żyłam i nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Pamiętam za to rzeczy, które lubiłam i o których marzyłam.

– Miałem zostać inżynierem elektrykiem – powiedział Adam. Umilkł raptownie. – Jak wrócę, skończę studia – dodał po chwili.

– Nie kochasz samego faktu, że żyjesz? – spytała Miranda. – Nie kochasz pogody i barw o różnych porach dnia, i rozmaitych dźwięków i odgłosów, jak krzyki dzieci w sąsiednim ogródku, jak klaksony samochodów, jak małe orkiestry grające na ulicy, jak zapach gotującego się jedzenia?

– Poza tym strasznie lubię pływać – powiedział Adam. – Ja też. Nigdy nie pływaliśmy razem – stwierdziła Miranda. – Czy pamiętasz jakieś modlitwy? – spytała nagle. – Nauczyli cię czegoś w szkółce niedzielnej?

– Niewiele – wyznał Adam bez skruchy. – No więc, Ojczy nasz...

– Tak, jest jeszcze „Zdrowaś Mario” – dodała – i ta naprawdę bardzo pożyteczna modlitwa, która zaczyna się od słów: „Spowiadam się Panu Bogu Wszchemogącemu i Najświętszej Pannie Marii, i świętym apostołom Piotrowi i Pawłowi...”

– Katolicka – mruknął Adam.

– Ale modlitwa, ty zagorzały metodysto. Zakład, że jesteś metodystą.

– Nie, prezbiterianinem.

– Jakie jeszcze pamiętasz?

– „Aniele Boży, stróżu mój”... – zaczął Adam.

– Tak, pamiętam... i jeszcze: „Jezu cichy i pokornego serca”... Jak widzisz, dopilnowano również mojej religijnej edukacji. Znam nawet modlitwę zaczynającą się od słów: „O Apollinie”,.. Chcesz usłyszeć?

– Nie – powiedział Adam. – Kpisz sobie.

– Nic podobnego – zapewniła go Miranda – po prostu staram się nie zasnąć. Boję się zasnąć, mogę się już nigdy nie obudzić. Adam, nie pozwól mi zasnąć. Czy znasz...

Marku, Łukaszu, Mateuszu, Janie,

Pobłogosławcie to moje posłanie,

A jeśli umrzeć przed świtaniem muszę,

Niech Bóg do siebie zabierze mą duszę!

– O to ci chodzi? – zapytał Adam. – Ale to jakoś nie brzmi najlepiej.

– Zapal mi papierosa i odejdz, i siądź przy oknie. Ciągle zapominamy o świeżym powietrzu. Musisz mieć świeże powietrze.

Zapalił jej papierosa i przytknął do warg.

Wzięła go między palce i natychmiast upuściła, spadł pod poduszkę. Adam znalazł go i zgasił na spodku szklanki, w której była woda. Zakręciło jej się w głowie, ciemność była zupełna, po sekundzie zawrót minął, usiadła na łóżku przerażona, odrzuciła kołdrę, uderzyły na nią poty. Adam zerwał się z niepokojem na twarzy i prawie natychmiast przytknął jej do ust filiżankę gorącej kawy.

– Ty też się musisz napić – powiedziała, znowu spokojna, i siedzieli przytuleni na brzegu łóżka, w milczeniu pili kawę.

– Zaśpiewajmy – powiedziała Miranda. – Znam stary spiritual, pamiętam trochę słów. – Mówiła bardzo naturalnie. – Czuję się teraz doskonale. – Zaczęła ochryplym szeptem: – „Biały koniu, biały jeździec, nie zabieraj mi kochanka”... znasz tę pieśń?

– Tak – odparł Adam – słyszałem, jak ją Murzyni śpiewali na polu naftowym w Teksasie.

– A ja słyszałam, jak ją śpiewali na plantacji bawełny – powiedziała. – To piękna pieśń.

Zaśpiewali razem. – Nie pamiętam, co jest potem – powiedział Adam.

– „Biały koniu, biały jeździec” – powtórzyła Miranda – ...przydałoby nam się dobre banjo... „nie zabieraj mi kochanka”... – Głos miała teraz czysty, powiedziała: – Ale śpiewajmy dalej. Jaka jest następna linijka?

– Jest mnóstwo – odparł Adam. – Ze czterdzieści linijek, biały jeździec zabrał mamusię, tatusia, braciszków, siostrzyczki, zabrał oprócz kochanka całą rodzinę...

– Ale nie zabrał dziewczyny, która śpiewała, jeszcze jej nie zabrał – wtrąciła Miranda. – Śmierć zawsze zostawia jedną osobę śpiewającą, żeby mogła opłakiwać zmarłych.

O śmierci – zaśpiewała – zostaw jedną osobę śpiewającą, żeby mogła opłakiwać...

– „Biały koniu, biały jeźdźcze – zaintonował Adam wpadając w rytm – nie zabieraj mi kochanka!” Uważam, że nam to doskonale wychodzi. Uważam, że powinniśmy występować na scenie.

– Wstąp do Służby Przyfrontowej – powiedziała Miranda – i zabawiaj naszych biednych, bezbronnych bohaterów po tamtej stronie Atlantyku.

– Będziemy grali na banjo – dorzucił Adam. – Zawsze o tym marzyłem.

Miranda westchnęła, osunęła się na poduszkę i pomyślała: Muszę się poddać, nie wytrzymam dłużej. Był tylko ten ból, tylko ten pokój i tylko Adam. Nie było już wielorakich płaszczyzn życia, nie było mocnych włókien pamięci i nadziei, naprężonych i szarpiących w przód i do tyłu, i utrzymujących ją w pozycji pionowej. Była tylko ta jedna chwila, która była snem czasu, a twarz Adama, tuż obok jej twarzy – oczy spokojne i uważne – wydawała się tylko cieniem, i nie miało już być nic więcej...

– Adam – powiedziała z głębi ocieężałej, łagodnej ciemności, która ściągała ją w dół, w dół – kocham cię i miałam nadzieję, że ty mi też to powiesz.

Położył się koło niej, wsunął jej rękę pod plecy i przycisnął gładką twarz do jej twarzy, przybliżył wargi do jej warg. – Czy mnie słyszysz?... Jak ci się zdaje, co ja ci usiłowałem powiedzieć przez ten cały czas?

Obróciła się do niego, mgły się rozsnuły i widziała przez sekundę jego twarz. Otulił ją kołdrą i trzymając w ramionach powiedział: – Zaśnij teraz, kochanie, kochanie... jeżeli zaśniesz, obudzę cię za godzinę i przyniosę gorącej kawy, a jutro znajdziemy kogoś, kto nam pomoże. Kocham cię, zaśnij...

Prawie bez ostrzeżenia pogrążyła się w ciemności, trzymając go za rękę zapadła w sen, który nie był snem, tylko przejrzystym światłem wieczora w niewielkim lesie złym, niebezpiecznym lesie pełnym nieludzkich, ukrytych głosów śpiewających ostro, jak świst strzał, i zobaczyła, jak grad tych pędzących strzał przeszywa Adama, przebija jego

serce i z ostrym piskiem toruje sobie drogę między liśćmi. Adam runął na plecy i zaraz się podniósł żywy i nie zraniony; następny grad strzał wypuszczonych z niewidocznego łuku przeszył mu serce i Adam runął, a jednak znowu stał przed nią żywy, w powtarzającym się wciąż akcie śmierci i zmartwychwstania. Podbiegła do niego, gniewnie i samolubnie stanęła między nim a torem strzał wołając: Nie, nie! jak dziecko oszukane w zabawie. Teraz moja kolej, dlaczego ty masz zawsze umierać? I strzały przeszły przez jej serce i przez jego ciało, i teraz on był nieżywy, a ona żyła, a las gwizdał i śpiewał, i krzyczał, każda gałąź, liść, źdźbło trawy miało swój własny oskarżycielski głos. Wtedy uciekła i Adam pochwyił ją na środku pokoju. – Kochanie – powiedział – widocznie też zasnąłem. Co się stało, tak strasznie krzyczałaś?

Pomógł jej wrócić do łóżka, usiadła z kolanami pod brodą, z głową na splecionych ramionach, i zaczęła ostrożnie dobierać słowa, bo było rzeczą ważną, żeby mu jasno wytłumaczyć. – To był bardzo dziwny sen i naprawdę nie wiem, dlaczego się tak przestraszyłam. Coś o takiej staroświeckiej kartce z życzeniami. Dwa serca wycięte w pniu drzewa, przebite jedną strzałą... wiesz, Adam...

– Wiem, kochanie, wiem – powiedział łagodnie i siedząc obok całował ją po policzku i czole, jak gdyby miał to w zwyczaju, jak gdyby całował ją od lat – taka kartka z życzeniami na ozdobnym papierze.

– Tak... ale oni jednak byli żywi, i to byliśmy my, rozumiesz... ale to chyba było niezupełnie tak, chociaż trochę podobnie. Był las...

– Rozumiem – powiedział Adam. Wstał, włożył kurtkę, wziął termos. – Idę do tego małego kiosku i przyniosę trochę lodów i gorącą kawę. Wróć za pięć minut, leż spokojnie. Do widzenia na pięć minut – powiedział obejmując dłonią jej podbródek i usiłując pochwycić jej spojrzenie. – Leż bardzo spokojnie.

– Do widzenia – odparła. – Jestem już całkiem rozbudzona. – Ale

nie była i dwaj młodzi, różni stażyści ze szpitala powiatowego, którzy przyjechali na skutek frenetycznych ponagłań hałaśliwego redaktora „News”, żeby ją zabrać ambulansem policyjnym, uznali, że muszą zejść na dół po nosze. Ich głosy rozbudziły Mirandę, usiadła, wstała natychmiast z łóżka i zaczęła rozglądać się przytomnie. – O, to pani czuje się zupełnie dobrze – powiedział ciemniejszy i tęższy z dwóch młodych mężczyzn, obaj wydawali się w doskonałej kondycji i wyglądali bardzo fachowo w swoich białych fartuchach, każdy z kwiatkiem w klapie. – Po prostu panią zniosę. – Rozłożył biały koc i owinął Mirandę. Zebrała fałdy i chwytając doktora za ramię spytała: – Ale gdzie jest Adam? – Przyłożył dłoń do jej mokrego czoła; potrząsnął głową, spojrzał na nią przenikliwie. – Adam?

– Tak – odparła Miranda zniżając głos i mówiąc poufnym tonem – był tu, a teraz go nie ma.

– Och, wróci – powiedział lekko medyk – poszedł tylko na róg po papierosy. Proszę się nie kłopotać o Adama. To najmniejsze z pani zmartwień.

– Będzie wiedział, gdzie mnie szukać? – spytała, wciąż się ociągając.

– Zostawimy mu wiadomość – odparł lekarz. – Chodźmy, na nas już czas.

Podniósł ją i zarzucił sobie na ramię. – Nie wiem dlaczego – wymamrotała Miranda – ale czuję się okropnie.

– No chyba – powiedział lekarz stawiając ostrożnie kroki i wymacując stopą pierwszy stopień schodów; jego towarzysz szedł przodem. – Niech mnie pani weźmie za szyję – poinstruował ją. – Pani to nie zaszkodzi, a mnie będzie łatwiej.

– Jak się pan nazywa? – spytała Miranda, gdy drugi doktor otworzył drzwi frontowe i wyszli w mroźne, czyste powietrze. – Hildesheim – odparł tonem, jakim się zaspokaja kaprysy dziecka.

– Nie uważa pan, doktorze Hildesheim, że wpakowaliśmy się w

okropną kabałę?

– Bez wątpienia – powiedział doktor Hildesheim.

Drugi młody stażysta, bardzo jeszcze schludny i elegancki w swoim białym fartuchu – chociaż goździk w jego klapie trochę przywiądl – pochyłał się nad nią i osłuchiwał stetoskopem, gwizdząc cichutko: „Wije się przed nami długa, długa ścieżka...” Od czasu do czasu pukał mocno dwoma palcami w jej zębra, wciąż gwizdząc. Miranda przyglądała mu się chwilę, zanim zdołała pochwycić spojrzenie jego błyszczących, orzechowych, ruchliwych oczu tuż przy swojej twarzy. – Nie jestem nieprzytomna – wyjaśniła. – Wiem, co chcę powiedzieć. – I z przerażeniem usłyszała, że mamrocze od rzeczy, wiedziała, że bredzi, chociaż nie rozróżniała słów. Iskierka zainteresowania w oczach tuż obok zgasła, drugi lekarz dalej ją ostukiwał i osłuchiwał, i dalej gwizdał cichutko.

– Wolałabym, żeby pan przestał gwizdać – powiedziała wyraźnie. Dźwięk umilkł. – To ohydna melodia – dodała. Cokolwiek, cokolwiek, żeby utrzymać słabą więź z innymi ludzkimi istotami, wyraźną łączność, obojętnie jaką, z oddalającym się światem. – Chciałabym zobaczyć doktora Hildesheima – poprosiła. – Mam mu coś ważnego do powiedzenia. Muszę to powiedzieć teraz.

Drugi lekarz zniknął. Nie odszedł, uleciał cicho w powietrze, a zamiast niego zjawiła się twarz doktora Hildesheima.

– Doktorze, chciałam pana spytać o Adama!

– O tego młodego człowieka? Był tu, zostawił dla pani list i odszedł. Przyjdzie znowu jutro i pojutrze. – Mówił tonem stanowczo za wesołym i swobodnym.

– Nie wierzę panu – rzuciła Miranda z goryczą; zacisnęła oczy i usta w nadziei, że się nie rozplacze.

– Panno Tanner – zawołał lekarz – ma pani ten list?

Panna Tanner zjawiała się tuż obok, podała jej nie zaklejoną kopertę, wzięła ją z powrotem, rozłożyła list i wsunęła go jej do ręki.

– Nic nie widzę – powiedziała Miranda, zbadawszy mozolnie wzrokiem arkusik pełen pośpiesznie stawianych, czarnych atramentowych kresek.

– Przeczytam pani – zaproponowała panna Tanner. – Tak pisze: „Przyjechali i zabrali cię, kiedy mnie nie było, a teraz nie pozwalają mi ciebie zobaczyć. Może jutro mnie wpuszczą. Całuję najmocniej – Adam.”

– Panna Tanner czytała energicznym, oschłym głosem, wymawiając słowa wyraźnie. – No i widzi pani? – dodała uspokajająco.

Miranda słyszała kolejno pojedyncze słowa i zapominała je kolejno. – Och, niech pani przeczyta jeszcze raz... co tam napisane? – zawołała poprzez ciszą napierającą na nią ze wszystkich stron, wyciągając rękę do roztańczonych słów, które umykały, gdy miała ich już dotknąć. – Na razie dość – rzucił doktor Hildesheim spokojnie i autorytatywnie. – Gdzie jest to łóżko?

– Nie ma jeszcze łóżka – odparła panna Tanner w taki sposób, w jaki mogłaby powiedzieć: Zabrakło nam pomarańczy.

– Och, jakoś będziemy sobie radzili – powiedział doktor Hildesheim, a panna Tanner wsunęła wąskie składane łóżko na błyszczących, skrzyżowanych podpórkach z metalu i małych gumowych kołach w głęboką niszę korytarza, gdzie nie przeszkadzało szybkim, rozbieganym białym postaciom, krążącym i sunącym jak ważki, w zupełnej ciszy. Białe ściany wznosiły się pionowo, niczym skały nadbrzeżne, po białej alei szło za sobą w idealnym spokoju dwanaście matowych księżyców, a potem jeden za drugim spadały w śnieżną otchłań.

Czymże jest ta białość i ta cisza, jeśli nie uwolnieniem od bólu? Miranda leżała delikatnie skubiąc rozprężonymi palcami biały puch koca, obserwując taniec wolno poruszających się cieni za szerokim parawanem

z białych prześcieradeł napiętych na ramach. Tutaj, blisko, po jej stronie widziała to wyraźnie i radowała się tym widokiem, widokiem tak pięknym, że nie była ciekawa jego znaczenia. Dwie ciemne postacie skinęły głowami, pochyliły się, złożyły przed sobą ukłon, cofnęły się i znowu skłoniły, podniosły długie ramiona i rozcapierzyły ogromne dłonie za białym cieniem parawanu; potem jednym płynnym ruchem prześcieradła zostały odsunięte i ukazali się dwaj mężczyźni w bieli, stojący, i trzeci niemy mężczyzna w bieli leżący na nagich sprężynach białego żelaznego łóżka. Mężczyzna na sprężynach był od stóp do głów spowity w biel, miał białe opaski na twarzy, na czubku głowy sterczała mu duża, sztywna kokarda, jak uszy wielkanocnego królika.

Dwaj żywi mężczyźni podnieśli materac oparty o ścianę, delikatnie i starannie rozpostarli go na umarłym. Milczący i biali zniknęli w głębi korytarza, odeszli pchając przed sobą łóżko na kółkach. Było to zachwycające, nieśpieszne widowisko, ale się skończyło. Biaława mgła rozpostarła się za nimi, spowiła ich i opadała przed oczami Mirandy, mgła, w której był ukryty cały strach i całe zmęczenie, wszystkie wykrzywione twarze i zgarbione plecy, i zmiażdżone stopy zmalretowanych, skrzywdzonych żywych istot, wszystkie kształty ich powikłanych cierpień i zniechęconych serc; mgła może się rozproszyć lada chwila i wypuścić hordy ludzkiej udręki. Miranda podniosła ręce i powiedziała: Nie, jeszcze nie, ale było za późno. Mgła rozdarła się i dwaj kaci, ubrani na biało, zaczęli się zbliżać do Mirandy popychając przed sobą wspaniałe zręcznymi i wprawnymi rękami niekształtną postać starca w brudnych łachmanach, którego rzadka broda podrygiwała pod otwartymi ustami, gdy prężył plecy i zapierał się nogami, żeby opóźnić los, który dla niego przygotowali. Cienkim płaczkliwym głosem usiłował im wytłumaczyć, że zbrodnia, o którą został oskarżony, nie zasługuje na taką karę, jaką mają mu za chwilę wymierzyć, i prócz tego lamentu nic nie przerywało ciszy,

gdy się tak do niej zbliżali. Wyciągając przed siebie brudne, spękane misy swych dłoni, jak żebrak, starzec powiedział: – Świadczę się Bogiem, że jestem niewinny. – Ale oni chwycili go za ramiona, pchali przed sobą, przeszli obok, zniknęli.

Droga do śmierci jest długim marszem pełnym wszelkiego zła, a serce słabnie przy każdym nowym strachu, kości odmawiają posłuszeństwa przy każdym kroku, umysł też stawia zaciekły opór, i po co? Zapory padają jedna po drugiej i żadne zasłanianie oczu nie przysłoni krajobrazu klęski ani widoku popełnianych zbrodni. Przez łąkę szedł doktor Hildesheim, jego twarz była trupią czaszką pod niemieckim hełmem, niósł wijące się, nagie ciało niemowlęcia nadziane na bagnet i ogromny kamienny garnek, na którym widniał gotycki napis „Truczna”. Zatrzymał się przy studni, którą Miranda pamiętała z pastwiska na farmie ojca, kiedyś wyschłej, ale teraz bulgocącej wodą, i wrzucił dziecko i truciznę w jej czyste głębie; zbezczeszczona woda wsiąkła cicho w ziemię. Krzycząc Miranda zaczęła biec z rękami wzniesionymi nad głową; jej głos odbijał się echem i wracał do niej jak wycie wilka. Hildesheim to Niemiec, szpieg, Hun, zabijcie go, zanim on was zabije... Obudziła się ze szlochem, usłyszała własne niegodziwe słowa oskarżające doktora Hildesheima; otworzyła oczy i wiedziała, że leży w łóżku, w małym białym pokoju, i że doktor Hildesheim siedzi obok, trzyma dwa palce mocno zaciśnięte na jej pulsie. Włosy miał gładko zaczesane, w kłapie świeży kwiat. Za oknem błyszczały gwiazdy i doktor Hildesheim, ze stetoskopem wiszącym na szyi, przyglądał im się bez jakiegoś specjalnego wyrazu twarzy. Panna Tanner stała w nogach łóżka i zapisywała coś w karcie.

– No, no – powiedział doktor Hildesheim – pani to przynajmniej wyładowuje się w krzyku. Nie próbuje pani wyskakiwać z łóżka i biegać po pokoju.

Zdobywając się na straszliwy wysiłek Miranda trzymała oczy otwarte,

widziała wyraźnie jego przyciężką, cierpliwą twarz, chociaż jej umysł znowu zachwiał się i pośliznął, oderwał się od swojej podstawy i potoczył jak zgubione koło do rowu. – Wcałe tak nie myślałam, panie doktorze, naprawdę w to nie wierzę, proszę, niech pan zapomni... – i znowu straciła przytomność, nie mogła czekać na odpowiedź.

Krzywda, którą wyrządziła, ścigała ją i nękała w śnie: ta krzywda przybierała niewyraźne kształty okropności, których Miranda nie rozpoznawała ani nie umiała nazwać, ale na których widok zamierało jej serce. Umysł, rozszczępiony na dwoje, przyjmował i odrzucał w jednej sekundzie to, co widziała, bo ponad otchłanią rozbrzmiewającej skargami ciemności, jej rozumne, logiczne „ja” obserwowało chłodno dziwaczne szaleństwa tej drugiej połowy, nie chcąc uznać prawdy jej wizji, jej uporczywych wyrzutów i rozpaczy.

– Wiem, że to są pani ręce – zwróciła się do panny Tanner – wiem, ale dla mnie to są białe tarantule. Proszę mnie nie dotykać.

– Niech pani zamknie oczy – poradziła panna Tanner.

– O, nie – odparła Miranda – bo wtedy widzę rzeczy okropniejsze.
– Ale oczy zamknęły jej się Wbrew woli i ogarnęła ją noc wewnętrznej udreki.

Niepamięć, myślała Miranda, po omacku pośród wspomnień, szukając słów, którymi nauczono ją określać niewidziane, niepoznawalne, jest odmętem szarej wody wirującym przez całą wieczność... wieczność jest może czymś więcej niż odległość do najdalszej gwiazdy. Leżała na wąskim występie skalnym nad otchłanią, która była bez dna – wiedziała o tym, chociaż nie mogła tego pojąć. W jej dziecinnych snach ten występ skalny symbolizował niebezpieczeństwo, więc przyciskała się do granitowej skały za plecami, patrząc w otchłań, myśląc. A więc jest, jest w końcu. Jakie to proste; a te łagodne, starannie ukształtowane słowa, jak niepamięć i wieczność, są zasłonami zawieszonymi przed niczym. Nie

będę wiedziała, kiedy się to stanie, nie będę czuła ani pamiętała, więc czemu nie mogę się zgodzić na to teraz, jestem zgubiona, nie ma dla mnie nadziei. Spójrz, mówiła sobie, to jest śmierć i nie ma się czego bać. Ale nie mogła się zgodzić, nadal wpierała się plecami w granitową ścianę, która w jej dziecinnych snach symbolizowała bezpieczeństwo, oddychając powoli, żeby nie roztrwonić oddechu, powtarzając z rozpaczą: Spójrz, nie bój się, to nic nie jest, to tylko wieczność.

Granitowe ściany, wiry wodne, gwiazdy to rzeczy. Żadna z nich nie jest śmiercią. Śmierć jest śmiercią, powiedziała Miranda, dla umarłych nie ma ona żadnych atrybutów. Uciszona spadała swobodnie w dół, przez wiele warstw ciemności, dopóki nie legła jak kamień na samym dnie życia, wiedząc, że jest ślepa, głucha, niema, bez czucia w członkach, obojętna na wszystkie sprawy ludzkie, a jednak żywa i obdarzona jakąś szczególną jasnością i spoistością umysłu. Wszystkie wyobrażenia, cała dyktowana wątpliwościami racjonalna docieklivość, wszystkie więzy krwi, pragnienia serca – wszystko to rozwiązało się i odpadło, i pozostała z niej tylko maleńka, zawzięcie płonąca drobina istnienia, która знаła samą siebie, która tylko z samej siebie czerpała siły; niepodatna na żadne uroki czy powaby, ponieważ była w całości utworzona z jednego jedynego motywu – upartej woli życia. Ta ognista, nieruchoma drobina skupiła wszystkie siły, żeby bez niczyjej pomocy oprzeć się zagładzie, przeżyć i trwać we własnym szaleństwie istnienia – bez motywów i bez planów prócz tego jednego zasadniczego celu. Ufaj mi, mówił jasny, płonący równo gniewny punkt światła. Ufaj. Ja trwam.

Nagle punkt światła rozrósł się, spłaszczył, rozsunął delikatnym blaskiem, rozpostarł na kształt wachlarza i wygiął w łuk tęczy, przez który Miranda, oczarowana, z niezachwianą wiarą spojrzała na plastyczny, wyraźny krajobraz morza i piasku, na delikatne łąki i niebo, dopiero co obmyte i lśniące przezroczyością błękitu. Ależ naturalnie, naturalnie,

powiedziała Miranda, bez zdziwienia, lecz w pogodnej ekstazie, jak gdyby dana jej kiedyś obietnica spełniła się w długi czas po tym, jak ona straciła nadzieję. Wstała z wąskiej półki skalnej i wbiegła lekko w wysoki portal ogromnej tęczy, która spinała swym przepysznym łukiem płonący błękit morza z jednej i chłodną zielen łąk z drugiej strony.

Małe fale toczyły się i przewalały niespiesznie, były o piasek w milczeniu i wracały; trawa kołysała się w podmuchach milczącego wietrzyka. Sunąc powoli, jak chmury przez roziskrzzone powietrze, szła ku niej gromada ludzi i Miranda zobaczyła w radosnym zdumieniu, że są to wszystko ludzie, których znała. Ich twarze, każda w swoim własnym pięknie, były przeobrażone, inne niż się utrwały w pamięci Mirandy; oczy mieli jasne i bezchmurne jak pogodny dzień i nie rzucali cienia. Każdy z nich był tylko samym sobą i Miranda znała ich wszystkich nie nazywając ich po imieniu i nie pamiętając, jakie łączą ją z nimi więzy. Otoczyli ją spokojnie, bezszelestnie, a potem obrócili znów ekstatyczne twarze ku morzu, a ona poruszała się między nimi swobodnie, jak fala między falami. Dryfujący krąg rozszerzał się, rozerwał i teraz każda postać stała osobno, ale nie była samotna. Miranda, też sama w ciszy swojej ekstazy, nie poddająca niczego w wątpliwość, nie pragnęła niczego, nie ruszyła się z miejsca stojąc, z oczami utkwionymi w oszałamiająco głębokim niebie, gdzie zawsze był poranek.

Leżąc swobodnie, z rękami pod głową, w hojnym cieple, które napływało znad morza, z nieba i z łąk, mając w zasięgu ręki, ale ich nie dotykając, pogodnie uśmiechnięte, znajome istoty, Miranda poczuła bez ostrzeżenia niewyraźne drgnienie lęku, cień nieufności przysłaniającej radość,- cienka warstwa szronu pokryła brzegi tej ufnej spokojności; czegoś, kogoś było brak, zgubiła coś, zostawiła coś cennego w innym kraju... och, co to takiego? Nie ma tu drzew, nie ma tu drzew, powiedziała przestraszona, zostawiłam coś, co było nie dokończone. Myśl szamotała

się na dnie jej mózgu, wypłynęła wyraźna, jak brzmienie głosu w uszach. Gdzie są umarli? Zapomnieliśmy o umarłych, och, umarli, gdzie oni są? Nagle, jak gdyby opuszczono kurtynę, spełzły jaskrawe barwy krajobrazu. Miranda była sama w obcym, kamiennym miejscu, przeraźliwie zimnym, i pięła się w górę stromą ścieżką po śliskim śniegu, wołając: Och, muszę wrócić! Ale w którym kierunku? Znowu przeniknął ją ból, straszny, nieodparty ból płynął jej żyłami jak ogień, odór zgnilizny wypełnił nozdrza, słodkawy, mdlący odór gnijącego ciała i ropy; otworzyła oczy i zobaczyła blade światło przez grubą, białą tkaninę przykrywającą twarz, wiedziała, że zapach śmierci jest w jej ciele, i usiłowała podnieść rękę. Zdjęto płótno z jej twarzy; zobaczyła pannę Tanner napełniającą strzykawkę w swój systematyczny, fachowy sposób i usłyszała głos doktora Hildesheima: – Myślę, że to podziąła. Niech pani zrobi jeszcze jeden. – Panna Tanner skubnęła mocno Mirandę za ramię i znowu nieprawdopodobny prąd piekącego bólu rozszedł się jej po żyłach. Wyteżała siły, żeby zawołać: Puśćcie mnie, puśćcie mnie! – ale usłyszała tylko bezładne odgłosy zwierzęcego cierpienia. Zobaczyła, jak doktor i pielęgniarka wymieniają spojrzenia ludzi wtajemniczonych, kiwają głowami w milczeniu, z oczami ożywionymi mądrą dumą. Spojrzeli przelotnie na swoje dzieło i spiesznie odeszli.

Dzwony zagrzmiały, każdy w innej tonacji, dźwięki zderzyły się w powietrzu i mocowały ze sobą, rogi i gwizdki mieszały się przeraźliwie z krzykami ludzkiej rozpacz; żółtozielone światło wybuchło za czarną szybą okna i pomknęło w ciemność. Zbudzona z wolnego od majaków snu Miranda spytała nie oczekując odpowiedzi: – Co się dzieje? – bo na korytarzu brzmiały szybkie kroki i głosy, a w powietrzu była ostrość; daleka wrzawa nie milkła, wściekle, rozjątrzone wycie, jak wrzask zbuntowanego motłochu.

Zapaliło się światło i panna Tanner powiedziała zamazanym głosem:

– Słyszysz? Wiwatują. Jest zawieszenie broni. Wojna się skończyła, kochanie. – Ręce jej drżały. Mieszała coś w filiżance grzechocąc łyżeczką, nasłuchiwała chwilę, przytknęła filiżankę do warg Mirandy. Z oddziału dla starych, nieuleczalnie chorych kobiet przyplął korytarzem niezgrany chór chrypiących głosów: „Kraju mój, dla ciebie...”

Miły kraju... och, straszny kraju na tym potwornym świecie, gdzie odgłosy radości są wrzaskiem bólu, gdzie ochryple, pozbawione słuchu stare kobiety siedzące w łózkach i czekające na wieczorną filiżankę kakao śpiewają „Miły kraju wolności”...

– Och, powiedz, widzisz coś? – pytały teraz beznadziejne głosy, zagłuszane metalicznymi uderzeniami języka.

– Wojna się skończyła – powiedziała panna Tanner; dolną wargę miała mocno ściągniętą, oczy zamglone. Miranda wyszeptła: – Proszę, niech pani otworzy okno... proszę, czuję tu zapach śmierci.

Gdyby tylko wróciło znów światło dzienne, jakie widziałam kiedyś, ale zawsze jest albo zmierzch, albo chwila tuż przed świtem, obietnica dnia nigdy nie spełniana. Co się stało ze słońcem? To jest najdłuższa i najbardziej samotna noc, a jednak nie chce się skończyć, by wpuścić dzień. Czy zobaczę jeszcze kiedyś światło?

Usadowiona w głębokim fotelu blisko okna widziała bezbarwne słońce padające ukośnie na śnieg, pod niebem odsączonym z błękitu, i samo to było jak melancholijny cud. – Czy to może być moja twarz? – zapytywała się Miranda. – Czy to są moje ręce? – pytała pannę Tanner, podnosząc je i pokazując żółtawość jak roztopiony wosk przebłyскуюjąca między złożonymi palcami. Ciało jest dziwacznym potworem, nie nadaje się do tego, żeby ktoś w nim mieszkał... jak ktoś mógłby się czuć dobrze w jego wnętrzu? Czy to możliwe, że przywyknę kiedykolwiek do tego

miejsca? – zapytywała siebie. Twarze dokoła niej wydawały się osowiałe i zmęczone, o cerze i oczach pozbawionych blasku, tego blasku, jaki Miranda pamiętała; kiedyś białe ściany pokoju były teraz brudnoszare. Oddychając powoli, zasypiając i budząc się, czując wodę ochlapującą jej ciało, jedząc, wymieniając krótkie zdania z doktorem Hildesheimem i panną Tanner – Miranda rozglądała się z maskowaną wrogością cudzoziemca, który nie lubi kraju, gdzie przebywa, nie zna języka i nie chce się go nauczyć, nie ma zamiaru tu mieszkać, a jednak jest bezradny, nie może stąd wyjechać wedle swojej woli.

– Jest ranek – mówiła panna Tanner wzdychając, bo w ciągu ostatniego miesiąca zestarzała się już na dobre i straciła siły – znowu jest ranek, moja droga. – I pokazywała Mirandzie ten sam co zawsze monotony krajobraz – matową zieleń zimotrwałych krzewów i ołowiany śnieg. Krzątała się szeleszcząc, nakrochmalonymi spódnicami, z twarzą buńczucznie upudrowaną, duchem tak niezłomna, jak dobra stal, mówiła: – Spójrz, moja droga, taki cudowny ranek jak kryształ – bo przywiązała się do tej ocalonej istoty, do tego milczącego, niewdzięcznego stworzenia, które ona, Kornelia Tanner, pielęgniarka znająca swój fach, wyrwała własnymi rękami z objęć śmierci. – Pielęgnacja to dziewięć dziesiątych powrotu do zdrowia – zapewniała inne pielęgniarki. – Wbijcie to sobie do głowy. – Nawet słońce było zaordynowanym przez pannę Tanner lekarstwem, miało przyspieszyć powrót Mirandy do zdrowia – tej pacjentki, na którą lekarze machnęli ręką, a która jednak siedziała tutaj, widome potwierdzenie teorii panny Tanner.

– Spójrz na to słońce – mówiła takim tonem, jakby mogła powiedzieć: „Zamówiłam je dla ciebie, moja droga, żebyś mogła usiąść i na nie popatrzeć”.

– Piękne – odpowiadała Miranda i nawet obracała głowę, patrzyła dziękując pannie Tanner za jej dobroć, zwłaszcza za jej dobroć, jeśli szło

o pogodę. – Piękne, zawsze kochałam słońce. – I mogłabym je znowu kochać, gdybym je widziała, mówiła sobie Miranda; ale cóż, kiedy go nie widziała. Nie ma światła i może już nigdy nie będzie, jeśli je porównać, co było nieuniknione, z jasnością, którą widziała nad błękitnym morzem, tak spokojnie rozpościerającym się u brzegów jej raju. To był sen dziecka, sen o niebiańskich łąkach, myślała, ale ja na nie patrzyłam nie wiedząc, że to jest sen. Zamykała oczy i odpoczywała chwilę, wspominała owo szczęście, które opłaciło cały ból drogi do niego wiodącej; otwierając po chwili oczy widziała w nowej udreće bezbarwny świat, na który była skazana, gdzie światło zdawało się powleczone pajęczyną, gdzie wszystkie jasne powierzchnie były zżarte rdzą, wszystkie ostro zarysowane płaszczyzny zlewały się i zatracaly kształt, wszystkie rzeczy i wszystkie żywe istoty były pozbawione znaczenia, ach, były umarłymi, zwiędłymi stworami, którym się zdawało, że żyją!

Nocą, zmęczona długim wysiłkiem siedzenia w fotelu, kuliła obolałe ciało i w rozpaczliwej tęsknocie za tym, co zdobyła na tak krótko, płakała bezdźwięcznie i bezwstydnie z żalu nad sobą i nad utraconym upojeniem. Nie było ucieczki. Doktor Hildesheim, panna Tanner, pielęgniarki w kuchni, aptekarz, chirurg, cała precyzyjna machina szpitala, wszystkie humanitarne postawy i zwyczaj społeczeństwa – wszystko i wszyscy spiskowali, żeby całą tę nierozłączną konstrukcję jej kości i wycieńczonego ciała postawić znowu na nogi, zaprowadzić ład w jej rozstrojonym umyśle i pchnąć ją ponownie na drogę, która raz jeszcze zaprowadzi ją do śmierci.

Chuck Rouncivale i Mary Townsend przyszli ją odwiedzić, przynieśli plik listów, które dla niej odkładali. Wręczyli jej koszyczek delikatnych, małych kwiatów cieplarnianych, konwalii i pachnącego groszku z pierzastą paprocią, i nad tymi kwiatami ich twarze były wesołe i wymizerowane.

Mary powiedziała: – Miałaś ciężką przeprawę, co? – a Chuck dorzucił: – Aleś się nie dała! – Po chwili niezręcznego milczenia zapewnili ją, że

cała redakcja czeka, żeby wróciła do swojego działu. – Już mi znowu kazali pisać sprawozdania sportowe – powiedział Chuck.

Przez dziesięć minut Miranda uśmiechała się i mówiła im, jak to cudownie, jaka miła niespodzianka być znowu między żywymi. Bo nie wypada zdradzać spiskowców i podkopywać odwagi żyjących; cudownie jest żyć, wszyscy się co do tego zgadzają; to nie podlega dyskusji, a kto temu przeczy, jest słusznie odsądzony od czci i wiary. – Wróć lada dzień – powiedziała. – Już jest prawie po wszystkim.

Plik listów leżał na jej kolanach i obok fotela. Od czasu do czasu brała któryś do ręki, obracała, żeby przeczytać adres, poznawała to czy inne pismo, przyglądała się rozmazanym stemplom pocztowym i znaczkom, a potem odkładała listy. Przez kilka dni leżały obok niej na stoliku, ale ona nadal się przed nimi wzdragała. Na pewno wszyscy znowu będą mi tłumaczyli, jak cudownie jest żyć, będą znowu powtarzali, jak bardzo mnie kochają i jak się cieszą, że żyję, a co ja mogę im na to odpowiedzieć? I jej stwardniałe, obojętne serce dygotało z rozpaczy nad sobą, bo dawniej było czułe i zdolne do miłości.

Doktor Hildesheim powiedział: – Jak to, te listy jeszcze nie otwarte? – A panna Tanner dodała: – Przeczytaj listy, kochanie, zaraz je otworzę. – Stojąc obok łóżka starannie rozcinała koperty nożykiem. Przyparta do muru Miranda przebierała listy, dopóki nie natrafiła na jeden cienki, zaadresowany nieznanym pismem. – Och, nie – obruszyła się panna Tanner. – Trzeba czytać po kolei. Będę ci je podawała, – Usiadła, chciała być do końca pomocna.

Co za zwycięstwo, co za tryumf, co za szczęście, że ona żyje, śpiewały listy chórem. Podpisy były ozdobione esami-floresami, jak wirujące w powietrzu dźwięki pobudki; były to podpisy osób, które najbardziej kochała, a także tych, które znała dobrze i lubiła, i wreszcie kilku osób, które nic dla niej nie znaczyły, ani wtedy, ani teraz. Cienki list,

zaadresowany nieznanym pismem, był od obcego człowieka z obozu, w którym przebywał Adam; zawiadamiał ją, że Adam zmarł na influencę w obozowym szpitalu. Adam prosił, żeby ją koniecznie zawiadomić, gdyby się z nim coś stało.

Gdyby się z nim coś stało. Żeby ją koniecznie zawiadomić. Gdyby się z nim coś stało. „Pani przyjaciel, Adam Barclay”, pisał nieznanomy. Stało się to – sprawdziła datę – przeszło miesiąc temu.

– Jestem tu długo, prawda? – spytała panną Tanner, która składała listy i wsuwała je do kopert.

– Och, dość długo – odparła panna Tanner – ale wkrótce wrócisz do domu. Swoją drogą trzeba będzie dbać o siebie, nie przemęczać się, a od czasu do czasu przyjść tu do nas na kontrolę, bo czasem bywają objawy pochorobowe...

Miranda siedziała przed lustrem i pisała wyraźnie: „Jedna szminka do warg, nie za ciemna, mały flakonik Bois d’Hiver, para szarych zamiszowych rękawiczek, bez zatrasków, dwie pary szarych pończoch z prawdziwego jedwabiu, bez strzałek...”

Czytając jej przez ramię Towney oznajmiła: – Każda rzecz bez czegoś tam, żeby było trudniej znaleźć.

– Ale postaraj się, są ładniejsze bez – powiedziała Miranda. – Laska z srebrzystego drzewa ze srebrną gałką.

– Taka laska będzie bardzo droga – ostrzegła ją Towney. – Chodzenie nie jest tego warte.

– To prawda – przyznała Miranda, pisząc na marginesie – ładna, żeby pasowała do tamtych rzeczy. Poproś Chucka, niech ci ją pomoże znaleźć. Ładna i nie za ciężka. – Łazarzu, wyjdź sam! Nie wyjdę, jeśli mi nie przyniesiesz cylindra i laseczki. W takim razie zostań, gdzie jesteś, ty snobie. Ani myślę, Już wychodzę. – Słoik cold kremu – pisała Miranda – pudełko brzoskwiniowego pudru... słuchaj, Mary, szminka do oczu

nie jest mi potrzebna, jak myślisz? – Spojrzała na swoją twarz w lustrze, odwróciła wzrok. – Ale nikt nie będzie musiał współczuć trupowi, jeżeli należycie zgłębimy sztukę makijażu.

Mary Townsend powiedziała: – Za tydzień nie poznasz samej siebie.

– Mary, czy myślisz, że będę mogła zamieszkać w moim dawnym pokoju? – spytała Miranda.

– To nie powinno być trudne – odparła Mary. – Zapakowaliśmy twoje rzeczy i zostawiliśmy je u panny Hobbe. – Miranda znowu pomyślała ze zdziwieniem, ile czasu poświęcają, ile trudu zadają sobie żywi, żeby pomóc umarłym. Ale teraz niezupełnie umarłym, pocieszyła się, stojąc jedną nogą na tym, drugą na tamtym świecie. Niedługo przeprawie się na tę stronę i będę znów w domu. Światło będzie mi się wydawało prawdziwe, a ja będę rada, jak usłyszę, że ktoś, kogo znam, wymknął się śmierci. Będę odwiedzała tych uciekinierów i będę im tłumaczyła, ile mają szczęścia i jaka ja jestem szczęśliwa, że są wciąż ze mną. Mary wróci niedługo, przyniesie laskę i rękawiczki, muszę teraz iść, muszę się pożegnać z panną Tanner i doktorem Hildesheimem. Adam, powiedziała, ty nie będziesz musiał drugi raz umierać, ale mimo to chciałabym, żebyś tu był; chciałabym, żebyś wrócił, jak myślisz, Adam, po co ja wróciłam – po to, żeby mnie tak oszukano?

Nagle zjawił się koło niej, niewidoczny, ale natarczywie obecny, duch, ale bardziej żywy od niej – ostatnie, nieznośne oszustwo jej serca; bo wiedząc, że to nieprawda, czepiała się jednak kłamstwa, niewybaczalnego kłamstwa swoich gorzkich pragnień. Powiedziała; – Kocham cię – i wstała drżąc, usiłując samym aktem woli przywołać go do siebie. Gdybym mogła, kazałabym ci wstać z grobu, powiedziała, gdybym mogła zobaczyć twego ducha, powiedziałabym: wierzę... – Wierzę – powtórzyła na głos. – Och, pozwól mi się jeszcze raz zobaczyć.

Pokój był cichy, pusty, zniknęły cienie rozproszone nagłą furią jej

ruchu, głosu. Ocknęła się jakby z uśpienia. Och, nie, tak nie wolno, nie powinnam tego robić. Panna Tanner powiedziała: – Kochanie, taksówka czeka – i weszła Mary. Tak, jest gotowa do drogi.

Nigdy więcej wojny, nigdy więcej zarazy, tylko odrętwiała cisza, która zapada, gdy milkną ciężkie działa; nieme domy z opuszczonymi storami, puste ulice, martwe, zimne światło jutrzejszego dnia. Teraz będzie czas na wszystko.

DAWNY PORZĄDEK

ŹRÓDŁO

Raz w roku, wczesnym latem, kiedy kończyła się szkoła i dzieci miały jechać na farmę, Babka zaczynała tęsknić za wsią. Z wyrazem czułości na twarzy, jak gdyby chciała dowiedzieć się czegoś o ukochanym dziecku, pytała o zbiory, zastanawiała się, jak Murzyni radzą sobie w ogrodzie, jak się miewają zwierzęta. Od czasu do czasu rzucała uwagę: – Ja też zaczynam odczuwać potrzebę małej zmiany i odpoczynku – tonem z lekka uspokajającym, jak gdyby chciała powiedzieć, iż z tego wcale nie wynika, że ma zamiar choćby na chwilę wypuścić z silnej dłoni ster spraw rodzinnych. Według jej ulubionej teorii zmiana zajęcia była jedyną, prawdopodobnie najlepszą formą wypoczyniania. Trójka wnuków zaczynała zdawać sobie sprawę z nieznacznego, acz widocznego poruszenia w domu, zapowiadającego wyjazd; syn Babki, ich ojciec, nadawał twarzy wyraz czujnej cierpliwości, maskując w ten niedoskonały sposób irytację na myśl o nieporządkach i niewygodach, które będzie musiał cierpieć na farmie. – Oj, Harry, Harry – rzucała ostrzegawczo jego matka, bo nigdy nie zdołał jej oszukać swoim zachowaniem; prawdą mówiąc, nigdy nie zamierzał; próbowała go ułagodzić zastanawiając się kłamiwie, czy mimo wszystko będzie mogła pojechać, skoro ma jeszcze tyle do zrobienia tu w domu.

Cieszyła się, że odetchnie wiejskim powietrzem. W wyobraźni widziała siebie zawsze, jak spaceruje wolnym krokiem po cienistej stronie sadu i przygląda się dojrzewającym brzoskwiniom; mówiła z tęsknotą o przycinaniu róż i podwiązywaniu własnymi rękami rozpiętego na treliście kapryfolium. Pakowała letnie czarne spódnice w cienkie biało-czarne bluzki z baskinami, wyjmowała dość zniszczony słomkowy kapelusz pasterski o szerokim rondzie, który sama uplotła tuż po wojnie.

Przymierzała go przed lustrem, patrzyła na siebie krytycznie obracając głowę to w jedną, to w drugą stronę i w końcu oznajmiała, że będzie doskonałą na słońce; brała go zawsze ze sobą, ale nigdy nie nosiła. Nosiła natomiast mocno wykrochmalony biały perkalowy czepek z okrągłą główką przypiętą guzikami do wąskiego randa; sterczał zawadiacko na czubku jej głowy, jak gdyby miał zaraz sfrunąć, a długie wiązadła zwisały sztywno. Jej blada, ściągnięta, bardzo stara twarz wyglądała spod tego nakrycia głowy ze statecznym spokojem.

Wczesną wiosną, gdy brzoskwinia pod murem zaczynała kwitnąć, Babka mówiła: – Założyłam pięć sadów w trzech stanach i teraz widzę tylko jedno kwitnące drzewo. – Ogarniało ją uczucie łagodnej, miłej melancholii; stała chwilę bez ruchu i spoglądała na to jedyne drzewo, które było dla niej wyobrażeniem wszystkich ukochanych drzew, wciąż kwitnących, rozwijających się bujnie i przygotowujących – każde w swoim miejscu – do wydania owoców.

Powierając pieczę nad domem Ciotce Nannie, która była piastunką jej dzieci, wyruszała w drogę.

Jeżeli wyjazd był zachwycającą przygodą dla dzieci, przyjazd na farmę był wielkim wydarzeniem dla Babki. Henry biegł i otwierał bramę, jego czarna jak węgiel twarz była przepołowiona uśmiechem, jego głos biegł przed nim: – Witamy, panno Sophio Jane! – wołał, po prostu nie zauważając, że brek jest wypełniony po brzegi innymi członkami rodziny. Konie zatrzymywały się spienione, robiły ciężko bokami, i Babka wykrzykiwała powitania swoim odświętnym głosem, wysiadała pomiędzy swoich ludzi, wysiadała w tym samym podnieceniu, jakie cechowało jej podróże koleją żelazną; ale teraz z nieokreślonym uczuciem, że wraca do siebie, nawet nie do domu, tylko do czarnej, żyznej ziemi i do ludzi na niej

żyjących. Nie zdejmując wdowiego czepka z długim welonem szła przez dom spostrzegając natychmiast, że wszystko jest w nieładzie; wychodziła do ogrodu i na podwórze rozglądając się w milczeniu, błyskawicznie planując zmiany; szła wąską ścieżką obok stodół i obór, idąc rzucała spojrzenia do ich wnętrza, spojrzenia wyrażające stanowczą i rzeczową naganę; szła dalej między gajem bambusowym po lewej i łąką po prawej stronie, dopóki nie dotarła do rzędu chat murzyńskich stojących wzdłuż żywopłotu.

Zbliżając się z miłymi słowami powitania dla wszystkich, które bynajmniej nie zabezpieczały przed przyszłym gniewem, wchodziła do pomieszczeń kuchennych, zaglądała do beczulek z żywnością, do pieców, na półki szaf, do wszystkich najmniejszych szpar i najciemniejszych kątów, przy czym Little i Dicey, i Hinry, i Bumper, i Keg szli za nią krok w krok usiłując jej wytłumaczyć, że akurat teraz jest trochę bałaganu, bo mają tyle pracy na dworze, że nie mogli się wziąć do porządków, chociaż mieli zamiar, ale zaraz się wezmą.

I tak rzeczywiście było, o czym Babka doskonale wiedziała. W ciągu godziny ktoś odjeżdżał bryczką z zamówieniem na tyle a tyle wapna do bielenia chat, tyle a tyle galonów nafty, tyle a tyle kwasu karbolowego i proszku przeciwko insektom. Przynoszono z pralni mydło ługowe domowej roboty i zaczynało się szaleństwo. Wszystkie sienniki po opróżnieniu z łuski kukurydzianej były gotowane, wszystkim małym Murzyniątkom na farmie wydawano polecenie przygotowania nowych zapasów łuski, wszystkie chaty bielono grubą warstwą wapna, wszystkie skrzynie i szafy szorowano, wszystkie krzesła i łóżka malowano, wszystkie brudne kołdry wynoszono na powietrze, gotowano w wielkim żelaznym kotle i rozkładano na słońcu; a całe to zamieszanie miało wszelkie cechy dorocznego święta. Kobiety murzyńskie zasiadały do szycia nowego zapasu koszul dla mężczyzn i dzieci, sukien perkalowych i fartuchów dla

siebie. Kto chciał wnieść skargę, korzystał z Okazji. Pan Harry zapomniał na śmierć kupić buty Hinry'emu, spójrzcie na niego; Hinry chodził tak na bosaka przez calutką zimę. Pan Miller (osobnik z rudymi bokobrodami, zajmujący dwuznaczną pozycję czegoś pomiędzy nadzorcą, kiedy pana Harry'ego nie było, i zwykłym robotnikiem, kiedy pan Harry przebywał na farmie) skąpił im ostatniej zimy na wszystkim – dawał za mało mąki kukurydzianej, śmiesznie mało bekonu, za mało drzewa, za mało wszystkiego. Little potrzebowała cukru do kawy i może pannie Sophii Jane się zdaje, że on jej dał cukier? Gdzie tam! Pan Miller powiedział, że nikomu nie jest potrzebny cukier do kawy. Hinry oświadczył, że pan Miller sam pije kawę bez cukru, taki jest skąpy. Busker, trzyletnią dziewczynkę, rozboleło ucho, panna Carleton przyjechała i zapuściła jej lekarstwo i od tego czasu Busker tak się zachowuje, jakby była głucha. Czarny koń, którego pan Harry kupił zeszłej jesieni, dostał bzika, przeskoczył przez ogrodzenie z drutu kolczastego, rozorał sobie całą pierś i nic już chyba z niego nie będzie.

Wszystkie te kłopoty i dziesiątki im podobnych wymagały natychmiastowego uładzenia, po czym Babka kierowała uwagę na dom, w którym należało przeprowadzić gruntowne porządki. Otwierano wielkie sekretery i wyjmowano z nich podniszczone wydania zbiorowe Dickensa, Scotta, Thackeraya, słownik doktora Johnsona, tomy Pope'a i Milтона, Dantego i Szekspira, po czym okurzano je i z powrotem zamykano starannie na klucz. Firanki spadały na podłogę w brudnych stosach i wracały na okna sztywne i pachnące świeżością; wynoszono zakurzone sterty dywanów, po czym wracały gładziutkie i znowu barwne od kwiatów; kuchnia z brudnej i odrapanej przeistaczała się w raj, z którego nie chciało się wyjść.

Następnie stodoły i wędzarnie, i piwnica na kartofle, ogrody i każde drzewo, każdy pęd wina i krzak były poddawane temu procesowi odnowy.

Trwało tak dwa tygodnie, a Babka była przez cały czas niezmordowanym, sprawiedliwym i kompetentnym poganiaczem niewolników w stosunku do wszystkich istot żyjących na farmie. Dzieci szalały na dworze, ale nie tak, jak szalały, kiedy Babki nie było. Co dzień przychodziła taka pora, kiedy je zaganiano, chwymano, myto, ubierano przyzwoicie, zmuszano do zjedzenia bez protestów tego, co stało przed nimi na stole, kładziono do łóżek o właściwym czasie i tylko proszę bez żadnych głupstw... Dzieci kochały Babkę; była dla nich jedyną rzeczywistością w świecie, który poza tym zdawał się nie mieć trwałego autorytetu i schronienia, ponieważ ich matka umarła dawno i tylko najstarsza dziewczynka pamiętała ją mgliście; mimo to uważały, że Babka jest tyranem, i chciały się od niej uwolnić; i cieszyły się, gdy pewnego dnia wychodziła na pastwisko i przywoływała swojego starego wierzchowca, Grajka, co było znakiem, że jej wizyta dobiega końca.

Grajek, kiedyś piękny, doskonale ujeżdżony koń, był teraz znużonym, zniechęconym starym bohaterem, posiwiałym na pysku, jego dni upływały na wyszukiwaniu obwisłymi wargami delikatnych ździebeł trawy i ostrożnym braniu między rozchwiane zęby kawałków cukru. Nie zwracał uwagi na nikogo prócz Babki. Gdy co roku w lecie wychodziła na pastwisko i wołała go, podbiegał w do niej kuśtykając, z niemal wyraźnym błyskiem w zmatowiałych oczach. Dwoje starszków witało się wtedy czule. Babka traktowała zawsze swoich niemych przyjaciół jak istoty ludzkie chwilowo przemienione w zwierzęta, które na skutek tego przypadku bynajmniej nie utraciły praw do szacunku należnego ich pozycji. Kazała przyprowadzać Grajka pod dom, ze starym damskim siodłem na grzbiecie – jej małe wnuczki jeździły po męsku, nie widziała w tym nic złego – i dosiadała wierzchowca stawiając stopę na złożonej dłoni Wuja Jimbilly’ego. Wspominając młodość Grajek puszczał się sztywnonogim galopem i tak Babka odjeżdżała; wstążki jej kapelusza i staromodna

amazonka powiewały na wietrze. Wracali zwykle stępa, Babka siedziała sztywna jak kij, uśmiechnięta, tryumfująca. Zsunąwszy się z siodła bez niczyjej pomocy, klepała Grajka po szyi, a gdy Wuj Jimbilly brał od niej konia, oddalała się majestatycznie, z trenem przerzuconym przez ramię.

Ten doroczny galop na Grajku był dla Babki czymś ważnym. Potwierdzał jej siłę, niezniszczalną energię. Grajkowi grozi teraz w każdej chwili śmierć; jej nie. Mówiła: – Robi się trochę sztywny w kolanach – albo:

– Jest w tym roku dychawiczny – ale ona sama chodziła krokiem sprężystym i oddychała lekko jak zawsze, czy też może tak jej się zdawało. Tego samego popołudnia lub nazajutrz wybierała się na dawno obiecywany niespieszny spacer po sadzie; wnuki biegły przodem, wracały do niej, a ona nie miała nic do roboty, szła z rękami założonymi, długie spódnice wlokły się za nią po ścieżkach, zgarniały gałązki, przewracały małe kamyki, zostawiały ledwo dostrzegalny ślad na ziemi, biały czepiek miała trochę zsunięty na jedno oko, na ustach zamyślony, nieruchomy uśmiech, ale jej oczy widziały wszystko. Ta przechadzka kończyła się zwykle wysłaniem do ogrodu Hinry’ego albo Jimbilly’ego, którzy otrzymywali polecenie dokonania jakiejś drobnej, ale nieodzownej poprawki.

I wtedy opanowywało ją z całą mocą przeświadczenie, że siedzi tu i próżnuje, kiedy tam w domu jest tyle do roboty... Rzuciła ostatnie spojrzenie na wszystko, udzielała wskazówek, rad, żegnała się, błogosławiła. Wyruszała w drogę z ową przedziwną miną osoby wyjeżdżającej na zawsze i przyjeżdżająca do miasta z takim samym wyrazem osoby wracającej w progi rodzinne, jaki malował się na jej twarzy w chwili przyjazdu na wieś – wśród lekkiego zamieszania powitań i gratulacji, jak gdyby nie było jej pół roku. Natychmiast zabierała się do roboty, żeby przywrócić ład w domu, bo podczas jej nieobecności zakradł

się tu bez wątpienia nieporządek.

PODRÓŻ

W późniejszych latach Babka i Nannie spędzały codziennie kilka godzin nad szyciem. Dzieliły tę samą namiętność do krajania strojnych ubiorów kobiecych, przechowywanych w rodzinie pięćdziesiąt lat, na paski i trójkąty i dopasowywania ich w przemyślnie bezładną zszywanke, w której każdy skrawek aksamitu, tafty czy atłasu był obramowany ścięciem łańcuszkowym, wyszytym cytrynowożółtą filozelą. Uszyły tyle kap na łóżka i narzut na kanapy, przykryć na stoły, laufrów na toalety, że mogłyby wyposażyć nimi kilka domów. Każdą sztukę po skończeniu podbijały żółtym jedwabiem, składały i zamykały w jednej z komód, skąd nigdy nie wychodziły na światło dzienne. Babka była prawnuczka najslynniejszego pioniera Kentucky; objeżdżając te ziemie wyciosał dla żony, bardzo fachowo, wałek do ciasta. Ten wałek był Babki najcenniejszym skarbem. Owinęła go szczególnie skomplikowaną zeszywanką, przewięzała rączki złotymi chwastami i powiesiła w swoim pokoju na widocznym miejscu. Była córką bardzo bohaterskiego kapitana wojny roku 1812. Miała brzytwy ojca w szagrynowym futerale i jego bardzo groźną podobiznę, dagerotyp zrobiony w późnej starości, z podbródkiem między różkami wysokiego kołnierza i w czarnej atłasowej kamizelce gładko opinającej wciąż dorodną żołnierską pierś. Uszyła więc z kolorowych skrawków pokrowiec na szagrynowy futerał i sporządziła coś w rodzaju koperty z czarnego aksamitu i fioletowego atłasu, zeszytej ścięciem łańcuszkowym, w której spoczywał odtąd jego portret. Inne swoje robótki chowała, co było wielką ulgą dla jej wnucząt, które osiągnęły ów trudny wiek, kiedy dziwaczne, staroświeckie obyczaje Babki wprawiały je w prawie bolesne zakłopotanie.

W lecie obie kobiety siadywały pod mieszanymi drzewami bocznego

ogrodu, skąd był widok na wschodnie skrzydło domu, na ganek frontowy i kuchenny, na sporą część ogrodu przed domem i na jeden narożnik małego gaju figowego. Wybór tego miejsca był częścią ich domowej strategii. Niewiele uchodziło ich uwadze, dzięki rzucanym od czasu do czasu spojrzeniom były nieźle poinformowane o tym, co się dzieje na całej posiadłości. To prawda, że nie zauważyły, jak któregoś dnia Miranda zerwała całą grządkę mięty i ofiarowała ją sympatycznej młodej kobiecie, która poprosiła ją o jedną gałązkę. Nie dowiedziały się nigdy, kto ukradł ogromne granaty rosnące zbyt blisko ogrodzenia; nie zdążyły na czas, aby powstrzymać Paula, który podpalił się eksperymentując z miniaturową lampą lutowniczą, zdążyły jednak ugasić na nim pożar derkami, wysmarować go oliwą i wyłajać. Nie widziały nigdy Marii wdrapującej się na drzewa (było to manią, której nie wyrzekłaby się pod karą śmierci), ponieważ wdrapywała się na te najwyższe, po drugiej stronie domu. Ale tego rodzaju wypadki były tak mało ważnymi fragmentami nieprzerwanego toku spraw, że nie czuły się bynajmniej pokonane, ani nie uważały, że ich strategia zawiodła. Lato, pora roku pod wieloma względami tak miła, miało swoje ujemne strony. Dzieci były wszędzie naraz, a Murzyni lubili kłaść się pod czeremchami, gdzie jedli arbuzy i grali w karty. Dom letni był w małym miasteczku położonym kilka mil od farmy i stanowił coś w rodzaju kompromisu między pełnym rygorystycznym ładem domem w mieście a starym, rozsiadłym domem na farmie, który Babka wybudowała z taką dumą i takim trudem. Babka często mówiła, że nie ma ani jednej dodatniej strony miasta czy wsi, ma zaś wszystkie strony ujemne. Ale dzieciaki za nim przepadały.

W mieście, zimą, obie stare kobiety siadywały w pokoju Babki; pokój był duży, kwadratowy, z kominkiem na węgiel. Wszystkie odgłosy życia rodzinnego zdawały się tu zbiegać, odbijać echem, odpływać i znów powracać. Babka i Nannie znały cały skomplikowany szyfr odgłosów,

interpretowały je i komentowały porozumiewawczym spojrzeniem, podniesieniem brwi, małą pauzą w rozmowie.

Rozmawiały o przeszłości, naprawdę – zawsze rozmawiały o przeszłości. Nawet przyszłość, gdy o niej mówiły, sprawiała wrażenie czegoś przebrzmiałego i skończonego. Przyszłość nie wydawała się kontynuacją ich przeszłości, tylko jej powtórzeniem. Utrzymały zgodnie, że nic nie zostało z tego życia, które one znały – świat zmienia się szybko, ale niezgłębiona logika nadziei kazała im przekonywać się wzajem, że każda zmiana jest zmianą ostatnią; a jeśli nie jest, szereg zmian może przywieść je obie, dokonując pełnego obrotu – co za błogosławieństwo – z powrotem do tych dawnych, znanych im obyczajów. Kto może wiedzieć, dlaczego kochały przeszłość? Była trudna dla nich obu, co dzień, od kiedy sięgnąć pamięcią, kwestionowały reguły rządzące ich życiem, ale bez buntu i nie oczekując odpowiedzi. Ta nieprzerwana nić dociekań nie była obciążona w ich umyśle wątpliwościami co do absolutnej słuszności i sprawiedliwości podstawowych praw rządzących ludzkim istnieniem, a opartych na woli Bożej; ale zastanawiały się bezustannie, napomykając tylko z rzadka o niepokoju swoich serc, jak to możliwe, że tyle cierpienia i zamętu udało się zbudować i utrzymywać na takich fundamentach. Babce przypadła w udziale władza, wiedziała o tym; do jej obowiązków należało wyznaczanie czynności, ponaglanie lub powstrzymywanie, jeśli zaszła tego potrzeba, uczenie moralności, dobrych manier, religii, karanie i nagradzanie domowników według ustalonego kodeksu. Własne wątpliwości i wahania ukrywała, co też – twierdziła – należało do jej obowiązków. Stara Nannie nie miała żadnych koncepcji co do swego miejsca na świecie. Zostało jej wyznaczone przed urodzeniem, a jej zasadą na co dzień, przez całe życie, było posłuszeństwo władzy, która znajdowała się najbliżej.

Mówiły więc o Bogu, o niebie, o nowym żywopłocie z krzewów

różnych, który warto by zasadzić, o nowym sposobie przechowywania jarzyn i owoców, o wieczności i wspólnej nadziei, że może spędzą ją szczęśliwie razem, a często strzępek jedwabiu w ich rękach prowokował je do długiego łańcucha rodzinnych wspomnień. Bawiło je to zawsze, gdy spostrzegały, jak bardzo różnie zachowuje się ich pamięć. Nannie doskonale pamiętała nazwiska; zawsze mogła powiedzieć, jaka była pogoda przy tej czy innej ważnej okazji, co która z dam miała na sobie, jak urodziwi byli niektórzy panowie, co podawano do jedzenia i picia. Babka pamiętała mnóstwo dat i nie miała żadnych związanych z nimi wspomnień; jej wspomnienia zdawały się oderwane i pozaczasowe. Na przykład dzień dwudziestego szóstego sierpnia 1871 roku był dla niej jakimś dniem świątecznym. Powiedziała sobie wtenczas, że nigdy nie zapomni tej daty; i w rzeczy samej pamiętała ją doskonale, ale nie pamiętała już, co się wtedy zdarzyło, że dzień ów na zawsze wrył się w jej pamięć. Nannie nie była jej w tym pomocna; nie znała się na datach. Nie znała roku swojego urodzenia i nie mogłaby obchodzić urodzin, gdyby Babka, wtedy dziesięcioletnia panna Sophia Jane, nie otworzyła na chybił trafił kalendarza i z zamkniętymi oczami nie zaznaczyła ołówkiem pierwszej lepszej daty. Okazało się więc, że urodziny Nannie wypadają w dniu 11 czerwca, a rok panna Sophia Jane wybrała 1827, rok swojego urodzenia, dzięki czemu Nannie stała się trzy miesiące młodsza od swej pani. Następnie Sophia Jane wpisała datę urodzenia Nannie do Biblii rodzinnej, umieszczając ją tuż pod swoją datą. „Nannie Gay (czarna)” napisała starannie sztywnymi literami, a chociaż wybuchła mała awantura, kiedy to wykryto, atrament zbyt dawno wsiąkł już w papier, a poza tym nikt się tą sprawą aż tak bardzo nie przejął, żeby wyskrobać zapis. Został więc, jako jeden z najmiłszych dla nich punktów odniesienia.

Rozmawiały o religii i rozluźnieniu dzisiejszego świata, o upadku obyczajów i o młodszych dzieciach, bo takie tematy natychmiast

przywodziły na myśl dzieci. Były w tych sprawach stanowcze, krytyczne i pewne siebie. Wychowanie, jakie otrzymały, dało im pewien niezłomny sposób myślenia o wszystkich ważnych przejawach życia, zwłaszcza odnośnie wychowania dzieci. Opierały się z pełnym zaufaniem na dogmacie, że dzieci są poczęte w grzechu i zrodzone w nieprawości. Dzieciństwo jest długim okresem szkolenia i przygotowania do życia dorosłego, które z kolei jest jednym długim, zaciętym, niezachwianym poświęceniem się obowiązkom polegającym w głównej mierze na wychowaniu dzieci. Młodzi są trudni, nieposłuszni i niezmordowani w czynieniu zła, a gdy dorastają, często bywają niewdzięczni i niedobrzy dla rodziców, mimo tego, co się dla nich zrobiło czy usiłowało zrobić; bo patrząc na swoje ukończone dzieła stare kobiety od czasu do czasu zdawały sobie sprawę z nurtujących je małych, bolesnych wątpliwości. Nannie nie mogła ścierpieć swoich nowomodnych wnucząt. – Banda rozleniwionych nicponiów, panno Sophio Jane, zwyczajne gagatki. W głowie się nie mieści... po takim wychowaniu, jakie im dałam.

Babka brała ich w obronę i ganiła własne trzecie pokolenie – z całą szczerością, bo naprawdę miała im dużo do zarzucenia – które z kolei Nannie tłumaczyła. – Jak są małe, depczą człowiekowi po nogach, a jak dorastają, depczą człowiekowi po sercu. – Mniej więcej można tyle powiedzieć o dzieciach w każdym pokoleniu, ale temat był nieskończenie fascynujący. Babka i Nannie wciąż i wciąż powtarzały te słowa z tysiącem małych wariantów, ilustrując je zawsze przykładem czegoś, co zdarzyło się wśród ich przyjaciół czy krewnych... Zresztą same miały dość materiału. Babka urodziła jedenaścioro dzieci, Nannie trzynaścioro. Chętnie się tym. Babka mówiła: – Jestem matką jedenaściorga dzieci – z lekką nutą zdziwienia w głosie, jak gdyby się nie spodziewała, że jej ktokolwiek uwierzy, albo jakby sama nie bardzo mogła w to uwierzyć. Ale nadal miała ich dziewięścioro. Nannie pochowała dziesięścioro swoich. Wszystkie

leżały w Kentucky. Nannie nigdy nie wątpiła ani nie przypuszczała, że ktokolwiek mógłby wątpić, że ma dzieci. Jej chępliwość polegała na czymś innym. – Trzymaścioro – mówiła strwożonym głosem – tak, mój Panie i Odkupicielu, trzymaścioro!

Przyjaźń między tymi starymi kobietami zaczęła się we wczesnym dzieciństwie i wyrosła ze zdarzeń, które nawet im wydawały się już legendarne. Panna Sophia Jane, rozpieszczona, wymuskana pięciolatka o czarnych, mocno skręconych kędziorkach, które co dzień zwijano jej na pacyczku, ubrana w długie, sztywno splisowane pantalone z batysty i obcisły stanik, wybiegła na spotkanie swojemu powracającemu ojcu, który wyjechał kupić konie i Murzynów. Gdy wziął ją na ręce, objęła go za szyję i przyglądała się wozom przejeżdżającym obok w drodze do stajni i chat murzyńskich. Na podłodze pierwszego wozu siedziało dwoje czarnych, mężczyzna i kobieta, a między nimi kościste półnagie dziecko o głowie okrągłej jak piłka i nieruchomych, błyszczących oczach małpki. Malutka Murzynka miała wystający brzuszek, a jej ręce od przegubów dłoni do ramion były jak dwa patyki. Czepiała się rodziców, jedną ręką matki, drugą ojca, cienkimi, wysuszonymi palcami obciążniętymi czarną skórą.

– Chcę tę małpkę – powiedziała panna Sophia Jane ojcu, tuląc twarz do jego policzka i wskazując palcem. – Chcę ją do zabawy.

Za każdym wozem szły przywiązane dwa konie, ale na drugim wozie był mały, kosmaty kucyk o gęstej grzywie opadającej na oczy, o długim ogonie jak miotła i zaokrąglonym, baryłkowatym korpusie. Stał w klatce wyściełanej słomą sięgającą mu do kolan, trzymany za uzdę przez Murzyną.

– Widzisz go? – spytał ojciec. – Ten kucyk jest dla ciebie. Najwyższy czas, żebyś się nauczyła jeździć.

Uszczęśliwiona Sophia Jane o mało nie wyskoczyła ojcu z objąć.

Nazajutrz prawie nie poznała swojego kucyka i swojej małpki; kucyk był przystrzyżony i lśniący, małpka czysta, w niebieskiej perkalowej sukience. Przez jakiś czas dziewczynka nie mogła się zdecydować, które kocha bardziej – Nannie czy Grajka. Ale Grajek nie na długo starczył. Po roku była dla niego za duża, patrzyła bez żalu, jak przechodzi na własność młodszego brata, nie pozwoliła jednak nazywać go Grajkiem. Imię to zarezerwowała dla długiego szeregu swoich koni wierzchowych. Pierwszego nazwała na cześć Grajka Gaya, starszego Murzyna, który grywał na balach i przyjęciach. Nannie była tylko jedna i Nannie przeżyła Sophię Jane. Przez całe ich wspólne życie była to sprawa nie tyle łączącego je uczucia, ile po prostu niemożność wyobrażenia sobie, że jedna mogłaby się obejść bez drugiej.

Nannie doskonale pamiętała siebie stojącą na niskim podium przed ogromnym budynkiem w dużym, ruchliwym mieście, pierwszym mieście, jakie zobaczyła. Byli z nią rodzice, a dokoła stał gęsty tłum. Były jeszcze inne grupki Murzynów i popędzający ich od czasu do czasu biali. Nie widziała nigdy żadnej z tych twarzy i z wyjątkiem jednej nie miała ich już nigdy zobaczyć. Musiało to być lato, bo nie dygotała z zimna w swojej bawełnianej koszuli. Zresztą pośladki jeszcze ją piekły od klapsa, którego ktoś (może matka) dał jej przed samym wejściem na podium, żeby pamiętała, że ma się zachowywać cicho. Jej rodzice pracowali na plantacji i nie mieszkali nigdy w domach białych ludzi. Wysoki pan o długiej, wąskiej twarzy i bardzo wydatnym, orlim nosie, ubrany w niebieski surdut z ogromnym kołnierzem i niezwykle długie, jasne spodnie (Nannie zamykała oczy i widziała go bardzo wyraźnie, jak wyglądał tamtego dnia) podszedł do nich nagle i wybuchła wielka wrzawa. Mężczyzna o krwistej twarzy, stojący na pieńku drzewa, wykrzykiwał coś i zawodził monotonnym głosem wskazując na rodziców Nannie. Wysoki pan podnosił od czasu do czasu palec, nie patrząc na Murzynów stojących

na podwyższeniu. Nagle wrzaski ucichły, wysoki pan zbliżył się do nich i powiedział do ojca i matki Nannie: – No tak, Ech... no tak, Steeny. Pan Jimmerson przyjdzie po was za chwilę. – Dźgnął Nannie w brzuch palcem w grubej rękawicze. – Istny szkielet – powiedział do licytatora. – Powiniennem otrzymać coś na dodatek.

– Przyznaję, proszę pana, że teraz jest to marny towar – rzekł licytator – ale z czasem nabierze wartości. A co do tej pary, to przysięgam, że nie znajdzie pan lepszego zaprzęgu.

– Miałem ich na oku od lat – potwierdził wysoki pan odchodząc; zanim się oddalił, dał znak ręką grubemu mężczyźnie siedzącemu na dyszlu wozu i spluwającemu obficie sokiem tytoniowym. Grubas wstał i zbliżył się do Nannie i jej rodziców.

Nannie została sprzedana za dwadzieścia dolarów; można by powiedzieć, że darmo, ale to wcale nie była sprzedaż. Dowiedziała się, że niewolnik w najwyższym gatunku kosztuje czasem ponad tysiąc dolarów. Słyszała, jak się niewolnicy przechwalali, ile który z nich kosztował. Nie miała pojęcia, jak mało osiągnęła na licytacji, dopóki własna matka jej tego nie wytknęła. Było to wtedy, kiedy na dobre przeniosła się do dużego domu, gdy tymczasem rodzice zostali na plantacji. Żyli tam, pracowali tam i tam umarli. Po starannym odrobaczeniu brzuch Nannie otęchł, rozwijała się dobrze na obfitym jadle i w atmosferze dobroci, która nie była tak połączająca, jak dobroć okazywana małym psiakom; niemniej w pełni zaspokajała jej wyobrażenia o szczęśliwym losie.

Stare kobiety mówiły często, jak dziwacznie plecie się na tym świecie. Pierwszy właściciel Nannie i jej rodziców dostał, jak to określił ojciec Sophii Jane, bzika na punkcie Teksasu. W roku 1832 Teksas stał się nową

ziemią obiecaną. Człowiek ów sprzedał farmę i czterech niewolników w Kentucky i za otrzymane pieniądze kupił ogromny, dwudziestomilowy szmat ziemi w południowozachodnim Teksasie. Wyruszył w drogę z żoną i dwojgiem małych dzieci i na wiele lat wszelki śluch po nim zaginął. Pojechawszy w dwadzieścia lat później do Teksasu Babka spotkała go tam, był bogatym właścicielem rancho i sędzią okręgu. Znacznie później najmłodszy syn Babki poznał jego wnuczkę, zakochał się w niej i ożenił – wszystko w przeciągu trzech miesięcy.

Sędzia, który miał już wtedy lat osiemdziesiąt pięć, był na ślubie hałaśliwy i wesoły. Ział wódką zbożową, co drugie słowo kłął się Bogiem i przekrzykiwał wszystkich, żeby mówić o dawnych dobrych czasach w Kentucky. Babka pokazała mu Nannie.

– Poznałby ją pan? – spytała.

– W imię Boga Wszechmogącego! – ryknął sędzia. – Czy to jest ta chudzina, którą sprzedałem ojcu pani za dwadzieścia dolarów? W tamtych czasach dwadzieścia dolarów to był dla mnie majątek!

Kiedy podskakując na stromej, wyboistej drodze stare kobiety odbywały długą podróż powrotną z San Marcos do Austin, Nannie wypowiedziała w końcu na głos swoją urazę: – Ja tam uważam, że sędzia mógłby być lepiej wychowany – powiedziała ponuro. – Ja tam uważam, że jemu jest wszystko jedno, jak bardzo rani cudze uczucia.

Babka, opatulona na tylnym siedzeniu starego breku, w zniszczonej fokowej pelisie, kawowobrzazowej na przetartych kantach, z oczami zamkniętymi, dłońmi splecionymi, raz jeszcze godziła się z myślą o stracie syna, i to jak zawsze, do dziewczyny i do rodziny, których nie mogła aprobować bez reszty. Nie znaczyło to bynajmniej, że miała przeciw nim jakieś naprawdę poważne zarzuty; tylko... no cóż, dziwiła się gustom swoich synów. Co każdy z nich widział w żonie, którą sobie wybrał? Babka rozumiała doskonale, jakiej żony każdy z nich potrzebował;

próbowała ożenić ich lepiej, niż oni to zrobili. Mieli tylko do niej żal, że się wtrąca do czegoś, co według nich było sprawą najściślej osobistą. Nie orientowała się, że psując i rozpieszczając swojego najmłodszego syna doprowadziła do tego, że prawdopodobnie w ogóle nie nadawał się na męża, a już z pewnością nie na męża dobrego. I było coś w jej nowej synowej – wysokiej, przystojnej, stanowczej młodej kobiecie o bezpośrednim sposobie mówienia, chodzenia, prowadzenia rozmowy – co zdawało się zapowiadać, że skończyły się dobre czasy rozpieszczonego jedynaka. Babka była zirytowana do ostatnich granic, gdy zobaczyła, jak bardzo spokojna jest panna młoda, jak dyryguje przygotowaniami weselnymi, nawet w najmniejszych szczegółach, jak spogląda na młodego męża opanowanym, rozbawionym, trzeźwym wzrokiem, który już zdążył oszacować jego wartość. Wspomniała nawet podczas uczy weselnej, że byłby to doskonały pomysł, gdyby spędzili miodowy miesiąc jadąc konno za wozem prowiantowym w czasie zaganiań bydła na rancho i pomagając piętnować sztuki. Naturalnie mógł to być żart. Ale była stanowczo zbyt zachodnia, za nowoczesna, miała w sobie coś z „nowej” kobiety – jednej z tych, które w swoim rozwydrzeniu zaczynały żądać praw wyborczych, porzucały domy i szły w świat, żeby zarabiać na życie...

Szczupłe ciało Babki wzdrygnęło się na myśl o kobietach pozbawiających się w taki sposób swojej kobiecości. Ocknęła się nagle z posępnej zadumy, odegnała złowieszcze myśli, które pozostawiły w jej ustach gorzki smak.

– Nie przejmuj się, Nannie – powiedziała. – Sędzia po prostu nie myślał. Lubi sobie pożartować.

Nannie spała w łóżku ze swoją panią, była towarzyszką jej zabaw i pracy; walczyły ze sobą niemal jak równa z równą, a Sophia Jane broniła Nannie zajadle przed wszelkimi karami z wyjątkiem tych, które sama jej wymierzała. Kiedy miały po lat siedemnaście, wydano pannę Sophię Jane

za mąż wyprawiając jej wspaniałe wesele. Dom był zatłoczony po dach, a wszyscy obecni spowinowaceni ze sobą w co najmniej czwartym stopniu pokrewieństwa. Na podjeździe stało czterdzieści powozów i przez dwa dni trzeba się było opiekować ponad dwiema setkami koni. Kiedy ostatnie koło zniknęło za zakrętem alei (niektórzy goście przeciągnęli pobyt do dwóch tygodni), spiżarnie i skrzynie były na pół puste, a dom wyglądał tak, jakby przeszedł przez niego huragan. W kilka dni później wydano Nannie za chłopca, którego znała od pierwszych dni pobytu u rodziny Babki; Sophia Jane otrzymała ich oboje w prezencie ślubnym.

I wtedy panna Sophia Jane i Nannie rozpoczęły swój zaciekle i przerażający wyścig rodzenia – dziecko co mniej więcej szesnaście miesięcy, przy czym Nannie karmiła oboje, a Sophia Jane, czując się okropnie, tamowała mleko bandażami i spirytusem winnym. Gdy obie wydały na świat czwarte dziecko, Nannie o mało nie umarła w gorączce popołożowej. Sophia Jane karmiła oba noworodki. Czarnemu chłopcu nadała imię Charlie, swojemu imię Stefan, a karmiła ich sprawiedliwie, po kolei, nie faworyzując białego kosztem czarnego, do czego Nannie czuła się zobowiązana.

Mąż Babki był oburzony, usiłował jej tego zabronić; przyjechała matka i starała się przemówić do rozumu. Przekonali się, jak bardzo jest trudna, jak bardzo uparta. Zaczęły już dochodzić do głosu ukryte cechy jej charakteru – charakteru w pełni sprawiedliwego, ludzkiego, odznaczającego się dumą i prostotą. Miała sporo powierzchownych drobnych wad i słabostek; zamięłowanie do zbytku, uchylanie się od przyjmowania krytyki. Ta skłonność wynikała z poczucia, że rozumem i rozsądkiem przewyższa wszystkich w swoim otoczeniu. W rezultacie było nią bardzo trudno kierować. Broniała swoich pozycji z jakimś szczególnym spokojem, który przekonywał jej antagonistów, że naprawdę raczej umrze niż ustąpi, że nie są to pogróżki. Zrozumiała teraz, jak boleśnie

została okradziona oddając dzieci do karmienia mamce; postanowiła, że w przyszłości nie da się już tak oszukać. Karmiła swoje niemowlę i niemowlę Nannie odczuwając ciepłą, zmysłową rozkosz, o jakiej nigdy się jej nie śniło, tłumacząc fizyczne odprężenie czymś świętym, zesłanym od Boga, rekompensatą daną od niebios za to, co cierpiała w położu. Tak... i za to, czego nie znalazła w łożu małżeńskim, bo tam też ją spotkał zawód.

– Odtąd – powiedziała do Nannie bardzo spokojnie – ty będziesz karmiła swoje dzieci, a ja moje. I tak się stało. Charlie był jej ulubieńcem wśród czarnych dzieci. – Rozumiem teraz – oznajmiła swojej starszej siostrze, Keziah – dlaczego czarne mamki tak kochają wykarmione przez siebie dzieci. Ja kocham to moje.

I tak Charlie wychowywał się w domu jako towarzysz zabaw jej syna Stefana i przez całe życie był zwolniony od ciężkiej pracy.

O rękę Sophii Jane starał się, z zachowaniem całego dystansu, pewien intrygująco przystojny młody człowiek, którego pamiętała doskonale jako dość nieznośnego chłopca o czarnych kędziorach podobnych do jej loków, tylko krótszych, w białej koszuli z żabotem i w szkockiej spódniczce klanu Macdonaldów. Był z nią spokrewniony i tak do niej podobny, że często brano ich za rodzeństwo. Ich dziadkowie byli kuzynami pierwszego stopnia, i czasem, w wiele lat po ślubie, Sophia Jane dostrzegła w mężu wszystkie wady, których najbardziej nienawidziła w starszym bracie: brak określonego celu, nieudolność działania w trudnych momentach, filozoficzną obojętność wobec spraw praktycznych, skłonność do puszczania w ruch projektów i pozostawiania ich, aby umarły własną śmiercią albo żeby ktoś inny je dokończył; i głębokie przeświadczenie, że wszyscy dokoła są szczęśliwi mogąc mu służyć. Zwalczała te zgubne skłonności u swojego brata, zwalczała je, w ramach żoninej roztropności, u swojego męża, miała znacznie później zwalczać je znowu u dwóch

swoich synów i kilkorga wnucząt. W żadnym przypadku nie odniosła zwycięstwa; samolubne, niedbałe, niekochające istoty żyły i kończyły tak, jak zaczynały. Ale Babka, pod wpływem stałych prób zmieniania cudzych charakterów, wykształciła w sobie charakter naprawdę niezwykły. Mąż dzielił z nią rodzinną ostrość spojrzenia. Nie lubił i bał się morderczej samowoli żony, głębokiej pewności, że jej postępowanie jest nie tylko słuszne, ale poza wszelką krytyką, że jej uczucia, nawet w najdrobniejszych sprawach, są ważne i nie wolno na nie wpływać ani ich traktować zdawkowo.

Zniknął w momencie przełomowym, kiedy oboje dorastali, pojechał do szkół, później podróżował; zapomniała o nim na długie lata, a gdy go znowu zobaczyła, zapomniała raz na zawsze, jaki był kiedyś. Była wesola, czarująca, świetnie wychowana, pełna próżności i skłonna do nieprawdopodobnie egzaltowanych snów na jawie, które raz po raz groziły zepchnięciem jej w jakieś tajemnicze, zabronione szaleństwo. Miała powtarzające się sny, że straciła dziewictwo (nazywała je cnotą), to jedyne, co pozwalało jej rościć prawo do szacunku, do względów, nawet do istnienia, i po straszliwej udręce moralnej, która maskowała doskonale przeżycie fizyczne, budziła się zlna zimnym potem, rozstrojona, przerażona.

Słyszała, że jej kuzyn Stefan jest odrobinę „wyuzdany”, ale tego należało się spodziewać. Prowadził na pewno życie szalone, pełne męskich nałogów, tajemnicze, zachwycające życie wiadomości złego, na myśl o czym włosy jeżyły jej się na głowie. Ach, to zachwycające, wolne, wspaniałe, tajemnicze, straszne życie mężczyzn! Dużo o tym myślała. – Nasza mała marzycielka – mówili rodzice przyłapując ją na rozmarzeniu, gdy z oczami wilgotnymi, niewyraźnym uśmiechem na wargach pochylała się nad haftem lub książką, albo siedziała z rękami bezwładnie złożonymi na kolanach, z twarzą odwróconą do pustej ściany. Nauczyła

się, przeznaczając je specjalnie na takie okazje, fragmentów górnolotnej wzniosłej poezji, które im natychmiast cytowała w odpowiedzi na pytanie, o czym myśli; albo zaczynała nucić jakąś smętną pieśń, pieśń przez nich ,lubianą. Podbiegała do fortepianu, wygrywała melodię jedną ręką i mówiła: – Ten pasaż najbardziej lubię – nie pozostawiając w ich umysłach wątpliwości co do natury spraw zaprzatających jej umysł. Przeżyła w ten sposób całą młodość i ani razu się nie zdradziła; dopiero jako kobieta w średnim wieku, gdy jej mąż zmarł, majątek został roztrwoniony, a ona mając dom pełen dzieci musiała zaczynać dla nich wszystko od nowa, w nowym miejscu, obarczona całą odpowiedzialnością mężczyzny, ale nie korzystając z żadnych jego przywilejów, dopiero wtedy rozpoczęła w końcu coś, co można było nazwać uczciwym życiem; a przecież była na wskroś uczciwa. Zawsze taka była.

Siedząc z Nannie pod drzewami i trzymając w palcach kawałek jedwabiu, gdy obie były już stare, a ich walka z życiem prawie dobiegła końca, Babka powiedziała:

– To było niesprawiedliwe, że Keziah miała suknię ślubną z tego kremowego brokatu, a ja tylko z haftowanego batystu...

– Czasy były ciężkie, panno Sophio Jane, kiedy ciebie wydawali za mąż – przypomniała jej Nannie. – To był ten rok, kiedy nie udały się zbiory.

– Mam wrażenie, że potem też się nigdy nie udawały – oznajmiła Babka.

– A według mnie – ciągnęła Nannie – batyst haftowany w groszki był wtedy najmodniejszy.

– Nigdy go nie lubiłam – powiedziała Babka.

Urodzona w niewolnictwie Nannie cieszyła się, że nie umrze jako

niewolnica. Bolał ją nie tyle jej stan, ile samo określające go słowo. Wyzwolenie było dla niej słowem pięknym. W najmniejszej mierze nie zmieniło jej życia, ale była dumna, że może powiedzieć swojej pani: – Zostanę u ciebie, panno Sophio Jane, tak długo, jak zechcesz. – Niemniej wyzwolenie zdawało się naprawiać krzywdę, która raniła jej serce jak cierń. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Bóg, którego kochała, uznał za słuszne być tak okrutnym dla całej rasy, i to jedynie dlatego, że mieli taki a nie inny kolor skóry. Rozmawiały o tym z panną Sophią Jane wiele razy. Panna Sophia Jane była w tych sprawach bardzo stanowcza i uparta.

– Bzdura! – mówiła. – Zapewniam cię, że Bóg nie wie, czy ktoś ma skórę białą, czy czarną. Bóg widzi tylko dusze. Nie wbijaj sobie głupstw do głowy, Nannie... naturalnie, że pójdziesz do nieba...

Nannie wykazywała pewne ślady logiki w swoim najzupełniej niewykształconym umyśle. Zastanawiała się, bardzo zwyczajnie i bez urazy, czy Bóg, który taki jest okrutny dla czarnych ludzi na ziemi, nie będzie im okazywał srogości również w życiu przyszłym. Panna Sophia Jane znajdowała przyjemność w rozpraszaniu jej obaw; jak gdyby ponosząc odpowiedzialność za ciało i duszę Nannie na tym świecie, mogła też być jej poręczycielką przed tronem niebieskim.

Panna Sophia Jane dźwigała całą odpowiedzialność za swój pogmatwany świat, na pół biały, na pół czarny, wciąż się ze sobą mieszający, przy czym chaos stale wzrastał. W domu było tylu młodych mężczyzn, zawsze – młodsi szwagrowie, kuzyni w pierwszej linii, w drugiej linii, siostrzeńcy. Przyjeżdżali i zostawali, i nie sposób było brać za nich odpowiedzialność czy kontrolować ich obyczaje, przy których trwali ze spokojnym uporem. Wcześniej nauczyła się milczeć i nie zdradzać niepokoju, ale ilekroć w chatach murzyńskich rodziło się dziecko, różowe, podobne do glisty, wstrzymywała przez trzy dni oddech (jak zdradziła to w wiele lat później najstarszej wnuczce) czekając,

czy po upływie odpowiedniego czasu noworodek zrobi się czarny... Nadszarpnęło to jej nerwy i w końcu ugruntowało w niej głęboką pogardę dla mężczyzn. Nie było na to rady, gardziła mężczyznami. Gardziła nimi i pozwalała im sobą rządzić. Mąż roztrwonił jej posag i majątek lokując obłąkańczo kapitały w obcych terytoriach – w Luizjanie, w Teksasie; bez sprzeciwu patrzyła, jak trwoni jej własność, niczym karciaz pieniądze przy stoliku. Była pewna, że umiałaby rozrządzić swoim majątkiem z korzyścią. Ale jej działalność leżała w innej sferze, sprawą mężczyzn było podejmowanie decyzji i kierowanie sprawami majątkowymi. Gdy jednak wzięła wodze w swoje ręce, synowie umieli ją namówić do takiego czy innego przedsięwzięcia lub lokaty, wbrew woli i rozsądkowi przyjmowała ich rady, aż w końcu wspólnymi siłami zdołali raz jeszcze zburzyć twierdzę, którą wzniosła z myślą o przyszłości rodziny. Wyposażyła ich, żeby mogli rozpocząć samodzielne życie; wracali do niej po dalszą pomoc, jeśli im była potrzebna, i żyli w niezgodzie. Kiedy jej mąż poszedł na front i walczył uparcie przez całą wojnę, wraz ze wszystkimi innymi znajomymi mężczyznami w wieku poborowym, uznała, że zapewnienie bytu rodzinie jest jej naturalnym obowiązkiem; został ranny, wegetował jakiś czas i zmarł z ran długo po tym, gdy zapał i podniecenie ostygły w beznadziejnej klęsce, gdy być człowiekiem rannym i zrujnowanym przez wojnę znaczyło już tylko, że było się może bardziej bohaterskim niż mądrym. Owdowiawszy Sophia Jane zgromadziła wokół siebie rodzinę i wyruszyła do Luizjany, gdzie mąż kupił za jej pieniądze rafinerię cukru. Twierdził, że w cukrze jest wielka przyszłość; nie w uprawie surowca, tylko w przetwarzaniu go w gotowy produkt... Miał w głowie projekty uruchomienia odziarniarni bawełny, młynów i rafinerii. Gdyby żył... ale zmarł i niedługo po wyremontowaniu nowo nabytego domu i zasadzeniu sadu Sophia Jane zrozumiała, że w jej rękach rafineria pójdzie na marne.

Sprzedła wszystko ze stratą i wyruszyła do Teksasu, gdzie przed kilku

laty mąż kupił tanio duży szmat żyznej, czarnej ziemi, w słabo jeszcze skolonizowanej części kraju. Przywiozła ze sobą dziewięcioro dzieci, z których najstarsze miało siedemnaście, najmłodsze dwa lata; przywiozła Nannie i jej trzech synów, Wuja Jimbilly'ego i jeszcze dwóch Murzynów, wszystkich w dobrym zdrowiu, pełnych nadziei i bardzo pragnących żyć. Duch jej męża trwał przy niej; była na niego oburzona, że umarł, jak gdyby samowolnie ją porzucił. Początkowo opłakiwała go suchymi oczami, z gniewem. Dwadzieścia lat później, zobaczywszy po długiej nieobecności najstarszego syna swojej ukochanej córki, która umarła młodo, rozpoznała rysy i spojrzenie męża z czasów swojej młodości – rozplakała się.

W drugim strasznym roku w Teksasie dwaj jej młodszy synowie, Henry i Robert, nagle uciekli. Wybrali dobrą pogodę, połowę maja, i uszli prawie siedem mil od domu, gdy natknął się na nich farmer z sąsiedztwa, zdziwiony zaczął ich wypytywać i w końcu namówił, żeby wsiedli do jego bryczki. I tak przywiózł ich do domu.

Panna Sophia Jane odprawiła posępny rytuał kary, który wydał jej się stosowny w tych okolicznościach. Wychłostała ich swoją szpicrutą. Potem kazała obu chłopcom uklęknąć koło siebie i modliła się za nich prosząc Boga, żeby pomógł im wkroczyć na drogę poprawy; aby już nigdy nie okazywali nieposłuszeństwa swej matce; spełniwszy swój obowiązek wybuchnęła łzami i płakała trzymając ich w ramionach. Znieśli karę ze stoickim spokojem, bo byłoby hańbą płakać, kiedy ich biła kobieta, a zresztą nie biła bardzo mocno; klęczeli obok niej z twarzami zawstydzonymi i ponurymi, ponieważ uczucia religijne były tajemnicą kobiecą, która ich żenowała; ale gdy zobaczyli jej łzy, zanieśli się głośnym szlochem skruchy. Jeden miał zaledwie dziewięć, drugi jedenaście lat. Spytała głosem żalobnym, z rozpaczą, która ich przeraziła:

– Dlaczegoście uciekli? Jak myślicie, po co ja was tu przywiozłam?

Powiedziała to tak, jak gdyby byli dorosłymi mężczyznami i mogli zrozumieć, jak straszna jest sytuacja. A ponieważ dławił ich płacz, zdołali tylko wykrztusić, że chcieli wrócić do Luizjany i najeść się cukru trzcinowego. Myśleli o cukrze trzcinowym przez całą zimę... Ich matka była jak ogłuszona. Zbudowała duży dom, który dawał im wszystkim schronienie, dom z ręcznie ciosanych kłód, które zwożono z odległości czterdziestu mil na wozach ciągnionych przez woły, ogrodziła i obsiała pola, karmiła do syta, tak jej się zdawało, i odziewała dzieci; a teraz pojęła nagle, że są głodne. Ci dwaj pracowali jak mężczyźni; dotykając ich rozrastających się kości w chudych ciałach uświadomiła sobie, jak ich męczyła praca, podobnie jak męczyła praca siebie, jak męczyła praca konie i Murzynów – bo nie było innego wyboru. Muszą harować ponad siły, bo inaczej zginą. Siedziała trzymając ich w objęciach i czuła, jak pęka jej serce. Myślała dawniej, że to są głupie słowa. Ale właśnie to ją spotkało. Z tego bynajmniej nie wynika, że nie była odtąd zdolna do uczuć, bo w pewnym sensie była bardziej uczuciowa, bardziej porywczą, ale jej smutki nie trwały już tak długo jak dawniej. Od tego dnia zaczęła rozpieszczać dzieci – i zaczęła się ich bać. Po długim, otępiałym milczeniu, gdy chłopcy zaczęli się kręcić niespokojnie w jej ramionach, powiedziała: – Wyhodujemy tu piękną trzcinę cukrową. Ziemia jest do tego doskonała. Będziemy mieli mnóstwo cukru. Ale musimy być cierpliwi.

Do czasu, gdy dzieci zaczęły zakładać własne rodziny, mogła dać każdemu spory szmat ziemi i trochę pieniędzy, mogła sprzedając własną ziemię, kawałek po kawałku, pomagać im przy kupnie większych farm w innych częściach kraju; patrzyła, jak dobrze wszyscy startują w życiu, chociaż nie każde z nich równie dobrze kończyło. Żyli zajęci własnymi sprawami i zdawali się tracić owo poczucie więzi rodzinnej, tak dla Babki

cenne. Znosili pogodnie jej rzadkie wizyty, jej rady i nieprawdopodobną trafność sądu, ale niecierpliwie przyjmowali objawy czułości. Gdy umarła żona Harry'ego – Babka nie miała nigdy do niej przekonania, była taka delikatna i zupełnie beznadziejna w sprawach gospodarskich, i nie umiała nawet rodzić dzieci, skoro umarła przy trzecim – Babka wzięła wnuki do siebie i rozpoczęła nowe życie, z tą samą niemal werwą i z większą wyrozumiałością. Doprowadziła je do punktu, w którym mogła się już zabrać do wykorzeniania ich wad – wad, przyznawała sprawiedliwie, odziedziczonych po obu rodzinach – gdy nagle umarła. Stało się to na początku października, po dniu, który spędziła pomagając meksykańskiemu ogrodnikowi trzeciej synowej przy porządkach w ogrodzie. Przyjechała z wizytą na te dalekie, zachodnie krańce Teksasu i doskonale się tu czuła. Jej synowa była wściekła, pozornie jednak tak uległa, że Babka, która traktowała ją jak dziecko, nie zauważyła jej humorów. Syn bardzo już dawno nauczył się nie sprzeciwiać matce. Łamała jego opory słusznymi, cierpliwymi i logicznymi argumentami. Bardzo uważała, żeby go nigdy za nic nie potępiać. Syn pocieszał żonę, że wszystko, co matka robi, będzie można po jej odjeździe przywrócić do stanu poprzedniego. Ponieważ przywrócić do stanu poprzedniego znaczyłoby przesunąć mur z suszonej cegły na długości pięćdziesięciu stóp, pociecha była niewielka. Babka weszła do domu promienna i zaróżowiona mówiąc, jak cudownie się czuje w ożywczym powietrzu górskim – i padła martwa na progu.

ŚWIADEK

Wuj Jimbilly był tak stary i spędził tyle lat pochylony nad różnymi rzeczami, składając je i rozkładając na kawałki, przerabiając i doprowadzając do użyteczności, że był zgięty niemal we dwoje. Dłonie miał podkulone i zeszywniałe, ponieważ przy pracy zaciskał je mocno na różnych narzędziach, i nie mógł ich całkiem otworzyć, nawet jeżeli dziecko brało po kolei jego grube, czarne palce i próbowało je odgiąć do góry. Kuśtykał podpierając się kijem; przez łyse łaty w jego wełnistych włosach, zielonkawoszarych i wyglądających tak, jakby dobrały się do nich mole, prześwitywała fioletowa czaszka.

Naprawiał uprząż i żelował buty innych Murzynów na plantacji, budował ogrodzenia i kurniki, zakładał drzwi w stajniach, rozpinął druty, wstawiał szyby do okien, poprawiał zepsute zawiasy i latał dach; reperował dachy powozów i rozklekotane pługi. Umiał także wycinać z kłody drzewa miniaturowe nagrobki; wystarczyło mu dać jaki bądź kawałek drzewa, a zrobił nagrobek w kształcie bardzo podobny do prawdziwego, z rzeźbionymi ozdobami i w razie potrzeby z wrytym imieniem i datą. Takie nagrobki były często potrzebne, bo wciąż umierały jakieś małe zwierzątka czy ptaki i trzeba je było chować z należy tym ceremoniałem: wózek udrapowany jak karawan, pudełko po butach służące za trumnę, okryte całunem, bogata dekoracja kwiatowa, no i naturalnie nagrobek. Przy pracy, kiedy wodził zręcznie długim ostrzem myśliwskiego noża, zataczał nim koła, żeby wyciąć kwiat, ostrugiwał i wygładzał boki i tył kwiatu, przerywał czasem robotę, żeby ją odsunąć na odległość ramienia, zmrużyć oko i popatrzeć. Wuj Jimbilly mówił cichym, przerywanym, roztaginionym szeptem, jakby do siebie; ale tak naprawdę mówił po to, żeby go słyszano. Czasem była to niezrozumiała opowieść o duchach;

nawet jeśli dzieci słuchały nie wiem jak uważnie, w końcu nie umiałyby powiedzieć, czy Wuj Jimbilly sam widział tego ducha, czy był to duch prawdziwy, czy tylko ktoś przebrany za zjawę; albo rozwodził się nad okropnościami niewolnictwa.

– Ano brali ich i przywiązywali, a potem bili – mamrotał – wielkimi i grubymi bykowcami, grubymi na cal i długości twojej ręki, z wywierconymi w rzemieniu dziurkami, więc co ich uderzyli, odpadały im od kości kawałki skóry i ciała. A jak ich już wychłostali bykowcem i plecy nieboraków były jak jedna krwawa masa, posypywali im te plecy wysuszonymi łupinami kukurydzy i podpalali, aż skóra skwierczała, a w końcu leli na nich ocet... A jakże. Na drugi dzień musieli znowu iść do roboty w polu, bo jak nie poszli, dostawało im się to samo. A jakże. Jak nie poszli do roboty, dostawało im się to samo.

Troje dzieci – poważna, afektowana dziewczynka lat dziesięciu, ośmioletni, zamyślony chłopiec o smutnej twarzy i żywa, kapryśna sześciolatka – siedziało dokoła Wuja Jimbilly’ego i przysłuchiwało mu się z niewyraźnym uczuciem zakłopotania. Wiedziały, naturalnie, że kiedyś, dawno temu, Murzyni byli niewolnikami, ale wyzwolono ich przed laty i teraz byli po prostu na służbie. Dzieci żadną miarą nie mogły sobie wyobrazić, że Wuj Jimbilly urodził się w niewolnictwie, jak to Murzyni zawsze określali. Uważały, że Wuj Jimbilly poradził sobie całkiem nieźle z tym swoim niewolnictwem. Odkąd go znały, nie robił nigdy tego, co mu ktoś kazał zrobić. Wykonywał swoją pracę, jak chciał i kiedy chciał. Jeśli był im potrzebny nagrobek, musiały bardzo uważać i prosić o to w odpowiedni sposób. Trudno było o coś bardziej bezosobowego i oderwanego niż ton i sposób, w jaki Wuj Jimbilly mówił o niewolnictwie, jednakże dzieci wierciły się w poczuciu winy. Paul chętnie zmieniłby temat, ale Miranda, ta żywa, pragnęła dowiedzieć się czegoś najgorszego.

– Czy oni z tobą też to robili, Wuju Jimbilly? – spytała.

– Nie, panienko – odparł stary Murzyn. – Zaraz, co to ja mam wyryć na tym nagrobku? Nie, nigdy. Takie rzeczy to robili ludziom na bagniskach. Ja pracowałem zawsze albo tutaj koło domu, albo w mieście u panny Jane. A na bagniskach...

– Wuju Jimbilly, czy oni nigdy nie umierali? – spytał Paul.

– Pewnie, że umierali – odparł Wuj Jimbilly – pewnie, że tak... marli – ciągnął odymając ponuro wargi – tysiącami i dziesiątkami tysięcy.

– Mógłbyś, Wuju Jimbilly, wyryć napis „Spokojny w Niebiosach”? – spytała Maria swoim miłym, afektowanym głosem.

– Na nagrobku królika? – obruszył się stary Murzyn. Był bardzo religijny. – Takiego poganina? Nie, panienko. A tam na tych bagniskach to ich przywiązywali do drzew, na całutką noc i na całutki dzień, z rękami i nogami spletanymi, żeby się nie mogli drapać, i wtedy moskity zżerały ich żywcem. Moskity tak ich żarły, że pachli jak balony, i słyhać było, jak się modlą i jęczą, głos niósł się po całych bagniskach. A jakże. Tak wtedy było. I ani kawałka chleba, ani łyku wody... A jakże, tak było. Boże miłosierny, tak oni wtedy robili. Alleluja. A teraz zabierajcie ten swój nagrobek i żebyście mi się więcej nie naprzykrzali... bo inaczej...

Wuj Jimbilly wpadał nagle w gniew i nigdy nie było wiadomo, z jakiego powodu. Irytował się łatwo o rozmaite rzeczy, ale jego pogrożki były tak przesadne, że nie przestraszyłoby się ich nawet najłatwowiejsze dziecko. Zawsze miał zamiar zrobić komuś coś naprawdę strasznego, a potem miał się pozbyć trupa w zupełnie ohydny sposób. Miał obedrzeć kogoś żywcem ze skóry i przybić skórę do drzwi stodoły albo miał odrąbać komuś uszy i przypiąć je Bongo, cętkowanemu psu z obciętymi uszami. Często miał już w głowie gotowy plan wyrwania komuś zębów i zrobienia z nich sztucznych szczęk dla starego Ronka. Stary Ronk był włóczęgą, mieszkał przez całe lato w małej chacie za wędzarnią. Dostawał wyżywienie wraz z innymi Murzynami i spędzał całe dni żując coś

bezzębnymi ustami. Miał rzadkie czarne wąsy, jakby zlepione woskiem, i gniewne czerwone powieki. Zażywał morfiny, tak mówiono; ale co to była ta morfina, ani jak jej zażywał, ani czemu, tego, jak się zdawało, nikt nie wiedział... Trudno o przykrzejszą myśl niż perspektywa stracenia zębów na rzecz starego Ronka.

Wuj Jimbilly nie spełniał żadnej z tych pogrózek tylko dlatego, że nigdy nie miał czasu się do nich zabrać. Tak przynajmniej twierdził. Miał dużo innej pilnej roboty, z którą nie mógł wydażyć. Ale któregoś dnia ktoś będzie miał dużą niespodziankę, a tymczasem niech lepiej uważają.

CYRK

Długie deski wsparte na kozłach wznosiły się jedna nad drugą do przerażającej wysokości i zataczały zawrotnie krąg tworząc szeroką, owalną arenę. Wnętrze było zapchane ludźmi. – ...Tyle ich tu, co pcheł za psim uchem – oznajmiła Dicey trzymając Mirandę mocno za rękę i rozglądając się z dezaprobatą. Nad ich głowami zwisały białe fale ogromnego brezentu, podtrzymywanego przez trzy słupy ustawione równo pośrodku. Usadowiona na swoich miejscach rodzina zajmowała prawie cały segment jednego rzędu.

Po jednej stronie Mirandy siedział ojciec, jej siostra Maria, brat Paul, Babka; dalej cioteczna babka Keziah, kuzynka Keziah i kuzynka w drugiej linii, też Keziah, które niedawno przyjechały w odwiedzin z Kentucky; dalej wuj Charles Breaux, kuzyn Charles Breaux i ciotka Maria-Anna Breaux. Po drugiej stronie siedziała młodsza kuzynka Lucie Breaux, starszy kuzyn Paul Gay, cioteczna babka Sally (która zażywała tabakę przynosząc tym wstyd całej rodzinie); dalej dwaj obcy, szalenie przystojni młodzi ludzie, którzy też może byli kuzynami, ale z całą pewnością byli zakochani w kuzynce Mirandzie Gay; i wreszcie sama kuzynka Miranda Gay, zachwycająca młoda dama w szeleszczących jedwabnych halkach, sześciu halkach pachnąca ślicznie perfumami, o przepięknych, czarnych, wijących się włosach nad ogromnymi, szarymi oczami. „Jak oczy żrebaka”, powiedział ojciec. Miranda miała nadzieję, że gdy dorośnie, będzie dokładnie taka sama. Uczepiona ramienia Dicey wychyliła się i pomachała do kuzynki Mirandy, która w odpowiedzi uśmiechnęła się i wykonała do niej ruch ręką, a obcy młodzi ludzie też do niej pomachali, Miranda była nieprzytomnie podniecona. Był to jej pierwszy cyrk; a kto wie, czy nie ostatni, ponieważ cała rodzina musiała połączyć siły

i przekonywać Babkę, żeby pozwoliła jej pójść wraz ze wszystkimi. – Doskonale, ten jeden jedyny raz – oznajmiła Babka – ponieważ jest to zjazd rodzinny.

Ten jeden jedyny raz! Ten jeden jedyny raz! Nie mogła się dość napatrzeć wszystkiemu. Zajrzała nawet w dół, w szeroką szparę między deskami pomostu, zastawionego ciasno krzesłami, gdzie zobaczyła ze zdumieniem dziwnie wyglądających, biednie ubranych małych chłopców, którzy spoglądali w górę poprzez kłęby kurzu. Siedzieli przykucnięci, z zadartymi głowami, i spokojnie patrzyli w górę. Spojrzała prosto w oczy jednemu z nich, odpowiedział jej spojrzeniem tak szczególnym, że patrzała i patrzała usiłując je odgadnąć. Było to śmiałe, uśmiechnięte spojrzenie, bez cienia życzliwości. Chłopiec był chudy i brudny, miał na jasnych, przybrudzonych włosach pomietą, kraciatą czapkę, zsuniętą nisko na czerwone uszy. Gdy Miranda patrzała, szturchnął chłopca siedzącego obok, coś do niego szepnął, i teraz drugi małeć pochwycił jej wzrok. Tego było za wiele. Miranda pociągnęła Dicey za rękaw.

– Dicey, co ci chłopcy robią tam na dole?

– Gdzie na dole? – spytała Dicey, ale zdawała się już wiedzieć, bo schyliła się, spojrzała w szparę, ściągnęła kolana i poprawiając na sobie spódnicę rzuciła ostro: – Nie bądź za ciekawa i przestań tak wymachiwać nogami! Nie zwracaj na nich uwagi. W cyrku jest dość małe, nie musisz się przyglądać takim jak oni.

Ogromna orkiestra dęta eksplodowała dźwiękami tuż obok ucha Mirandy. Dziewczynka podskoczyła, zadrżała, zadygotała nieprzytomnie i prawie zapomniała odetchnąć, gdy dźwięki, barwy i zapachy zaatakowały ją, wwierciły się w jej skórę i włosy, łomotały w rękach, nogach, w żołądku. – Och! – krzyknęła przestraszona, zamykając oczy i czepiając się mocno ręki Dicey. Osłepiające światło przedzierało się przez jej powieki, ryk śmiechu brzmiący jak ryk wściekłości zagłuszył miarowe ryki trąb i

bębnów. Otworzyła oczy... Jakiś stwór w luźnym białym kombinezonie z kryzą przy szyi i przy kostkach nóg, o białozółtej czaszce i białej jak kreda twarzy, o sterzących kępkach brwi umieszczonych daleko od siebie na środku czoła, o powiekach tworzących czarny, ostry kąt, o długich, szkarłatnych ustach rozciągniętych aż na zapadnięte policzki, ustach z kącikami podniesionymi do góry w wiecznym, gorzkim grymasie bólu, zdumienia, ale nie uśmiechu, szedł po drucie rozciągniętym nad areną utrzymując równowagę przy pomocy długiej, cienkiej tyczki z kółkami na obu końcach. W pierwszej chwili Miranda myślała, że idzie w powietrze albo frunie i to jej wcale nie zdziwiło; ale gdy dostrzegła drut, przeraziła się. Wysoko nad ich głowami nieludzki stwór tańczył nadając ruch obrotowy maleńkim kółkom. Zatrzymał się, potknął, biała noga zatrzepotała w powietrzu; zatoczył się, zachwiał, przechylił się na bok, runął i uczeplił się drutu rozszalałym kolanem, wisiał teraz głową na dół, druga noga powiewała nad jego głową jak macka; jeszcze raz się osunął, zawisł jedną stopą i dyndał w powietrzu jak szalik... Tłum ryczał z okrutnej radość; zanosił się wrzaskiem przerażającego śmiechu, jak śmiech diabłów w rozkosznej udręce... Miranda też krzyknęła, z autentycznego bólu, chwytając się za brzuch i podciągając kolana... Mężczyzna wiszący na drucie za stopę poruszał głową na boki, jak wydra, i posyłał okrutnymi ustami szydercze całusy. Wtedy Miranda zasłoniła oczy i wrzasnęła, łzy pocięły jej po policzkach i brodzie. – Zabierz ją do domu, natychmiast ją stąd wyprowadź – powiedział ojciec, ale wciąż z uśmiechem na twarzy. Spojrzał tylko na nią i zaraz odwrócił wzrok na arenę. – Wyprowadź ją, Dicey! – zawołała Babka spod odchylonego do połowy welonu. Dicey, zbuntowana, nie odrywając spojrzenia od białej postaci dyndającej na drucie, wstała bardzo powoli, schwyciła rękę bezwładnej, cierpiącej kupki nieszczęścia i przepychała się, przedzierała między kolanami i stopami przez stojący tłum, dalej w dół po platformach rusztowania,

po równej przestrzeni wysypanej piaskiem i wiórami, i wreszcie przez klapę namiotu na zewnątrz. Miranda płakała nieprzerwanie, od czasu do czasu zanosząc się czkawką. W przejściu stał karzeł, miał przyprawioną wełnistą bródkę, spiczastą czapkę, obwisłe czerwone pantalone, wysokie buty z poddartymi do góry noskami. Trzymał w ręku cienką białą różdżkę. Miranda prawie na niego wpadła, zanim go spostrzegła, jej wykrzywiona twarz z otwartymi ustami, błyszcząca od łez, była niemal na równi z jego twarzą. Pochylił się i wbił w nią spojrzenie dobrotliwych, nie człowieczych złotych oczu, jak oczy krótkowzrocznego psa; i zrobił ohydny grymas, naśladujący jej minę. Miranda rzuciła się na niego w ataku złości, z krzykiem. Dicey odciągnęła ją prędko, ale Miranda zdążyła zobaczyć, że rysy karła nagle zmieniają się w wyraz obcego, wyniosłego gniewu jak u naprawdę dorosłych ludzi. Znała dobrze ten wyraz. Zmroziło ją nowe uczucie przestachu; dotąd nie wierzyła, że karzeł jest człowiekiem.

– Numerek, weźcie numerek – powiedział bardzo nieprzyjemnie wyglądający jegomość, który stał w przejściu. Dicey, sama teraz bliska łez, zwróciła się do niego: – Panie, to pan nie widzisz, że nie będę mogła wrócić? Muszę się zająć tą małą... Co mi przyjdzie z tego kawałka papieru?

Przez całą drogę do domu była zła i mruzczała gniewnie pod nosem: – Mała wstręciucha... małe strachajło... mała płaksa... nigdy już nigdzie nie pójdzie... nigdy już nic nie zobaczy... prędzej, pośpiesz się... zawsze psuje ludziom przyjemność... nie pozwoli, żeby ktoś odpoczął, nie pozwoli, żeby ktoś się trochę zabawił... prędzej, chciałaś iść do domu, to idziesz. – Szarpała Mirandę wściekła, ale ostrożna, uważała, żeby nie posunąć się poza pewną linię, bo wtedy Miranda mogłaby powiedzieć: „Dicey zrobiła to czy powiedziała tamto”... Dicey miała swobodę postępowania, ale tylko do pewnych granic.

Rodzina wróciła tuż przed zmrokiem i rozeszła się po całym domu. Ze

wszystkich pokoi płynęły odgłosy rozmów i śmiechu. Dzieci powiedziały Mirandzie, co straciła: zachwycające małpki w aksamitnych kurtkach i czapkach z daszkiem na grzbietach cudownych kucyków z kitami i dzwonekami przy uprzęży... taniec tresowanych białych kóz... malutki słoń, który założył nogę na nogę, oparł się o pręty klatki i otworzył pyszczek czekając na jedzenie, rozkoszne maleństwo!.., kilku błaznów, śmieszniejszych niż ten pierwszy... piękne panie o lśniących, złotych włosach, ubrane w jedwabne trykoty i przewiązane czerwonymi szarfami, robiły sztuczki na białych trapezach; one też wisały za palce u nóg, ale z jakim wdziękiem to robiły, przypominały ptaki w locie. Panie i panowie tańczyli na grzbietach ogromnych białych koni galopujących dokoła areny! Jeden pan zawisł pod samym dachem namiotu, uczepony zębami, a inny włożył głowę do paszczy lwa! Ach, co też ta Miranda straciła! Wszyscy się wspaniale bawili, a tymczasem ona musiała wyjść ze swojego pierwszego przedstawienia cyrkowego i na dodatek zepsuła Dicey zabawę. Biedna Dicey. Biedna kochana Dicey. Dzieci, które do tego momentu w ogóle o Dicey nie myślały, zaczęły się nad nią litować z grymasem smutku dokoła ust; ich złośliwe oczy obserwowały Mirandę, która płonęła ze wstydu. Dicey od wielu tygodni cieszyła się na ten dzień! No i potem Miranda musiała się przestraszyć! – Wyobrażasz sobie, że ktoś mógł się przestraszyć tego starego, śmiesznego błazna? – zadawały sobie dzieci pytania, a potem uśmiechały się współczująco patrząc na Mirandę...

Ale była to bardzo ważna okazja również z innego powodu. Babka po raz pierwszy uległa i dała się namówić na pójście do cyrku. Nikt nie potrafił wywnioskować z dość ogólnikowych wypowiedzi Babki, czy w czasach jej młodości nie było cyrków, czy też cyrki były, lecz nie wypadało do nich chodzić. Tak czy owak Babka, jak zwykle kierując się swoimi słusznymi racjami, nie pochwałała cyrku i chociaż bynajmniej

nie przeczyła, że przedstawienie trochę ją rozbawiło, pewne w nim widoki i dźwięki nie były, mówiąc najłagodniej, budujące dla młodych. Jej syn Harry wszedł do jadalni, gdzie dzieci jadły wczesną kolację, i patrząc na ich rozjaśnione twarze – braci i siostr, i przyjezdnych kuzynów – powiedział: – Tej gromadce małych nie stała się wielka krzywda. – Jego matka oznajmiła: – Teraźniejszość wyda owoce w przyszłości tak odległej, że możemy oboje nie doczekać dnia, w którym będzie wiadomo, czy stała się, czy nie stała krzywda. W tym rzecz. – I zaczęła nabierać chochłą gorące mleko, którym polewała dzieciom smarowane masłem grzanki. Miranda siedziała milcząca, z dolną wargą wygiętą w podkówkę. – Nie widziałas cyrku, dziecko – powiedział ojciec cicho – i jaką masz z tego korzyść?

Miranda znowu wybuchnęła płaczem; trzeba ją było w końcu zabrać, dostała kolację w pokoju na górze. Dicey była zagniewana i milcząca. Miranda nie mogła jeść. Usiłowała myśleć – jak gdyby naprawdę je widziała – o tych pięknych, rozpasanych istotach w białym atłasie i błyszczących ozdobach, i czerwonych szarfach, które tańczyły i hasały na trapezach; o ślicznych kudłatych kucykach i zachwycających małpkach w komicznych ubrankach. Zasnęła i jej wymyślane wspomnienia ustąpiły miejsca wspomnieniom autentycznym – zgorzkniała, przestraszona twarz mężczyzny w bieli, spadającego w śmiertelną otchłań – ach, ten okrutny żart! – i straszliwy grymas karla o nie uśmiechniętej twarzy. Krzyknęła przez sen, siadła i płacząc zaczęła wołać, by ją wyzwolono z udreki.

Weszła Dicey, złe, senne oczy miała przymknięte, odymała wargi i idąc waliła w podłogę bosymi, grubymi stopami. – Słowo daję – rzuciła wściekłym, ochrypłym szeptem. – Co z tobą? Przyda ci się dobre lanie, słowo daję. Budzi wszystkich po nocy...

Strach ujarzmił Mirandę. Zazwyczaj odgryzała się Dicey. Mówiła: – Och, przestań, Dicey! – Albo: – Nie muszę się ciebie słuchać. Nie

muszę się słuchać nikogo prócz Babki – co było stwierdzeniem irytująco prawdziwym. Albo mówiła: – Sama nie wiesz, co wygadujesz. – Ubiegły dzień zupełnie to zmienił. Miranda naprawdę nie chciała, żeby się ktoś na nią gniewał, ktokolwiek, nawet Dicey. Zazwyczaj było jej obojętne, do jakiego stopnia gniewu doprowadzała znękanym dorosłym. Było to jej zresztą nadal obojętne; jeżeli Dicey musi się złościć, niech się złości, byle tylko nie gasiła światła i nie zostawiała jej na pastwę panicznego strachu przed ciemnością, gdzie w każdej chwili mógł ją znów dopaść sen. Zarzuciła Dicey obie ręce na szyję wołając: – Nie zostawiaj mnie! Nie bądź na mnie zła! Ja ttego nie wwyrzymam.

Dicey położyła się obok niej z przeciągłym westchnieniem podobnym do jęku, co oznaczało, że zbiera cierpliwość i zamierza pamiętać, że jest chrześcijanką i musi dźwigać swój krzyż. – A teraz śpij – powiedziała swoim zwykłym, ciepłym i dobrym głosem. – Teraz zamknij oczka i śpij. Nie zostawię cię. Dicey nie jest na nikogo zła... na nikogo na calutkim Bożym świecie.

OSTATNI LIŚĆ

Stara Nannie siedziała zgarbiona we dwoje i w każdej chwili spodziewała się śmierci. Babka powiedziała jej przy rozstaniu, z owym swobodnym prorocstwem ludzi starych, że może to być ich ostatnie pożegnanie na ziemi; objęły się i pocałowały, i raz jeszcze przyrzekły, że spotkają się w niebie. Nannie była przygotowana puścić się w drogę natychmiast. Dzieci otoczyły ją kołem. – Ciociu Nannie, nie myśl o tym. Przecież cię kochamy! – Nie zwracała na nie uwagi; było jej obojętne, czy ją kochają, czy nie. W wiele lat później Maria, starsza z dwóch dziewczynek, myślała z bólem, że tak naprawdę nie byli dobrzy dla Ciotki Nannie. Dalej polegali na niej we wszystkim, jak polegali całe życie, pozwalając jej brać na barki coraz większy ciężar, pracować więcej, niż powinna. Stara kobieta stała się milcząca, bardziej przygarbiona – była chuda i wysoka, miała szlachetną w liniach murzyńską twarz, teraz zniszczoną, i skórę o pięknym czarnym, smolistym kolorze, bo nie było w niej żadnych domieszek krwi, i nagle kręgosłup jak gdyby się jej załamał. Słyszeli, jak nocą jęczy klęcząc przy łóżku, błagając Boga, żeby jej pozwolił odpocząć.

Kiedy pewna murzyńska rodzina wyprowadziła się z małej chaty po drugiej stronie wąskiego strumienia, a była to pierwsza wolna chata od lat, Nannie poszła ją obejrzeć. Wróciła i spytała ojca dziewczynek: – Co pan zrobi z tą chatą? – Nic, chyba nic – odparł Harry. Wtedy Nannie poprosiła, żeby jej pozwolił tam zamieszkać. Chce mieć własny dom, oznajmiła; nigdy w życiu nie miała własnego domu. Harry powiedział, że naturalnie może tam zamieszkać. Ale cała rodzina była zdziwiona, trochę urażona. – Dajcie mi tam iść, dzieci, żebym mogła spędzić ostatnie dni w spokoju – prosiła. Kazali wyszorować i pobielić chatę, wstawić półki, przeczyścić komin, wyposażyli Nannie w dobre łóżko i dość

dobry dywan, pozwolili jej zabrać z domu mnóstwo najrozmaitszych przedmiotów. Dokonali zdumiewającego odkrycia: Nannie zawsze lubiła i miała nadzieję posiadać na własność pewne przedmioty – a taka się zawsze wydawała zadowolona, bez potrzeb. Wyprowadziła się i dzieci mówiły sobie później, że było w tym coś prawie śmiesznego i naprawdę wzruszającego, gdy w dniu przeprowadzki starała się ukryć swą radość; ale mimo to byli trochę urażeni.

Odtąd pławiła się w pogodnej beczynności robienia zeszywanek i wyplatania wełnianych dywaników. Odwiedzali ją jej wnukowie i biała rodzina, a rozmaici ludzie, którzy nigdy nie posiadali niewolnika spokrewnionego z Nannie, kupowali u niej dywaniki albo zostawiali jej drobne podarki.

Nosiła zawsze czarne wełniane suknie albo czarno-białe wzorzyste suknie z perkalu, białe krochmalone fartuchy i białe czepki z falbanką, w niedziele zaś czarne czepki z tafty. Była zawsze pedantycznie schludna i czysta, i taka została. Ale nie była już wierną starą sługą Nannie, wyzwoloną niewolnicą. Była starą kobietą ze szczepu Bantu, niezależną finansowo, siedzącą na stopniach przed domem i wdychającą wolne powietrze. Obwiązywała głową niebieską wzorzystą chustką i w wieku lat osiemdziesięciu pięciu zaczęła palić fajkę. Czarne źrenice głębokich, zapadniętych, starych oczu były teraz czekoladowobrązowe i zdawały się wypełniać całą gałkę oczną. W miarę jak słabł jej wzrok, powieki marszczyły się i ściągały, aż w końcu jej twarz przypominała pozbawioną oczu maskę.

Jako dzieci, wychowani w przestarzałych, sentymentalnych nawykach myślowych, wierzyli zawsze w błogim spokoju ducha, że Nannie jest prawdziwym członkiem rodziny, idealnie wśród nich szczęśliwym, i ta nagana, tak stanowczo i tak spokojnie im udzielona, była czymś w rodzaju kary. W miarę upływu lat coraz wyraźniej sobie to uświadamiali, a Nannie

dalej siadywała na progu swojej chaty. Oni dorastali, czasy się zmieniały, stary świat usuwał im się spod stóp, nie znaleźli jeszcze miejsca na tym nowym świecie. Co dzień odczuwali brak Nannie. Gdy majątek podupadł i zostało bardzo mało służby, Nannie stała im się rozpaczliwie potrzebna. Zrozumieli, ile stara kobieta dla nich robiła, zrozumieli patrząc, jak niemal zaraz po jej odejściu wszystko się rozprzęgło, marniało, traciło dawną elegancję. Praca nie wykonywała się sama, jak dawniej. Nie umieli pracować, byli leniwi i niezdolni do długotrwałego wysiłku czy planowania. Nie nauczono ich tego, a oni sami też się jeszcze nie nauczyli. Od czasu do czasu Nannie przychodziła z wizytą do domu na wzgórze. Pracowała wtedy jak za dawnych lat, z satysfakcją, że może im dowieść, jaka jest niezastąpiona. Gdy odchodziła, odczuwali jeszcze większy jej brak. A chcąc okazać wdzięczność i nadzieję, że znowu do nich przyjdzie, obdarowywali ją kosztami i pakami bezcennych rupieci, które tak kochała, po czym któryś z jej prawnuków, Skid albo Hasty, pchał przed nią na taczkach te podarki. Była wtedy znowu przez moment ową dawną miłą, zależną od nich starą sługą, członkiem rodziny. Mówiła: – Wiem, że moje dzieci nie pozwoliłyby mi odejść z pustymi rękami.

Wuj Jimbilly nadal krzątał się po farmie naprawiając uprzęż, czesząc konie zgrzeblęm, latając płoty, od czasu do czasu sadząc jakieś rośliny albo spulchniając na wiosnę ziemię wokół krzewów. Mamrotał bezustannie pod nosem, jego sine wargi poruszały się wygłaszając nieprzerwany i niepowiązany komentarz na temat rzeczy przeszłych i obecnych, i bez wątpienia na temat rzeczy przyszłych, chociaż nie było w nim absolutnie nic, co przywodziłoby na myśl jakiegokolwiek powiązania z najbliższą choćby przyszłością... Dopiero po śmierci Babki Maria zorientowała się, że wuj Jimbilly i Ciotka Nannie są małżeństwem... To małżeństwo z

rozsądku, skojarzone jak małżeństwa rodów królewskich, z myślą o krwi i stabilizacji rodowej, rozwiązało się samo, gdy przestał istnieć powód, dla którego je kiedyś zawarto... Zdawali się nieświadomi nawzajem swojej egzystencji, niepomni, że mają wspólne dzieci (każde z nich mówiło: „moje dzieci”), nie zgromadzili żadnych wspólnych wspomnień, które pragnęliby zachować. Ciotka Nannie wyprowadzała się do własnego domu nie obdarzywszy Wuja Jimbilly’ego ani jednym spojrzeniem czy myślą, a on chyba nawet nie zauważył, że jej nie ma... Sypiał na małym stryszku nad wędzarnią, jadał w kuchni o rozmaitych porach i robił to, na co miał chęć, osamotniony jak wędrujący duch i tak prawie niewidzialny... Ale któregoś dnia, przechodząc obok małej chaty, spostrzegł Ciotkę Nannie siedzącą z fajką na stopniach. Przysiadł na chwilę, pojękując z cicha, gdy zginał ciało, i grzał się na słońcu jak stary, zmęczony pies. Zostałby u niej, ale Nannie nie chciała go przyjąć. – A na co ci samej taki duży dom? – spytał. – Jest dla mnie w sam raz – odparła sarkastycznie. – Ani myślę spędzać ostatnich dni na obsłudze mężczyzny – dodała. – Napracowałam się, zrobiłam, co miałam do zrobienia, i to wszystko.

Tak więc wuj Jimbilly pokuśtykał z powrotem na wzgórze, do swojej izdebki nad wędzarnią, i więcej się do Ciotki Nannie nie zbliżał.

W letnie wieczory siedziała długo po zapadnięciu zmroku, sama, paląc fajkę i odpędzając dymem moskity. Powiedziała, że nie boi się niczego; nigdy się nie bała i nie będzie się bała teraz. Od dawna przywykła myśleć, że noc jest błogosławieństwem, wraz z nocą przychodziła pora, gdy nie musiała już pracować aż do jutra. Nawet kiedy na dobre przerwała pracę, dalej czekała z utęsknieniem na noc, jak gdyby nagromadzone zmęczenie całego życia, tkwiące teraz w kościach, nadal dopominało się odpoczynku. Ale gdy nadchodził wieczór, przypominała sobie, że nie musi wstawać

rano, chyba że przyjdzie jej na to chęć. Przeto siedziała pławiąc się w zbytku, jakim była dla niej świadomość, że rozporządza całym wolnym czasem na tym bożym świecie.

Kiedy dawnymi czasy panicz Harry sprzeciwiał się jej w jakiejś drobnej sprawie, zawsze mogła zdobyć nad nim przewagę bijąc się dłonią po starej płaskiej piersi i wykrzykując: – A nie wstyd ci, paniczu Harry, tak do mnie mówić? Wykarmiłam cię tą piersią!

Harry wiedział, że wcale tak nie było. Wykarmiła trzech jego starszych braci. Ale odpowiadał natychmiast: – Dobrze, mamó, na miłość boską, dobrze! – dokładnie takim tonem, jakim mówił do rodzonej matki, wybuchając swoim łatwym gniewem niejako w nadziei, że zdoła trochę oczyścić atmosferę z duszącej matriarchalnej tyranii, na którą został skazany po śmierci ojca. Ale mimo to ustępował, należał bowiem do najnowszego pokolenia synów, którzy uznawali – jakkolwiek niechętnie, jakkolwiek z przykrością – swój mistyczny, swój nie do spłacenia dług wobec łona, które ich nosiło, i piersi, która ich wykarmiła.

DRZEWO FIGOWE

Szczotkując Mirandzie włosy i zapinając sukienkę na plecach stara Ciotka Nannie miała swój sposób przytrzymywania dziewczynki kolanami. Gdy Miranda zaczynała się wiercić, Ciotka Nannie ścisnęła ją mocniej, a wtedy Miranda jeszcze gwałtowniej się wierciła, ale nigdy nie zdołała uciec. Ciotka Nannie mocno ściągnęła jej włosy, związała je gumką, wepchnęła na uszy i czoło biały, świeżo wykrochmalony czepek z batysty, przypięła główkę czepka spinką do włosów i powiedziała:

– Muszę cię jakoś trzymać, żebyś się nie kręciła. Tylko żebyś mi nie zdejmowała tego z głowy, póki słońce nie zajdzie.

– Nie chcę czepka, jest za gorąco, wolę kapelusz – zaprotestowała Miranda.

– Nie dostaniesz kapelusza, masz to, co masz – oznajmiła Ciotka Nannie swoim apodyktycznym głosem, jakim przemawiała zawsze podczas mycia i ubierania – a co więcej, któregoś pięknego dnia przyszyję ci ten czepek do włosów. Twój tata powiedział, że jak ci wyskoczą piegi, będzie moja wina. No, teraz jesteś gotowa do drogi.

– Dokąd jedziemy, Ciociu? – Miranda nigdy nic nie wiedziała aż do ostatniej chwili. Zawsze miała niespodzianki. Kiedyś położyła się do łóżka i zasnęła z kociakiem pomrukującym, zwiniętym obok na poduszce, i obudziła się na dusznym, ciasnym pościeliu, ściskając w objęciach butelkę z gorącą wodą; a obok leżała Babka w kraciastej koszuli nocnej, z szeroko otwartymi oczami. Miranda pomyślała, że zdarzyło się coś cudownego. – Boże, Babciu, dokąd jedziemy? – Była to jeszcze jedna podróż do El Paso, w odwiedzinach do wuja Billa.

Teraz Siwek i Gniady były już zaprzężone do breku, który stał przed bramą z poprzywiązywanyymi we wszystkich możliwych miejscach

pułdami i koszami. Babka obchodziła dom bardzo powoli, obrzucając wszystko ostatnim spojrzeniem. Od czasu do czasu wsuwała jakiś przedmiot do dużej skórzanej torby podróżnej przewieszanej przez ramię, porządnie już wypchanej. Na drugim ramieniu niosła długą, czarną spódnicą mohairową, którą podczas przejażdżek konnych nosiła na zwykłej spódnicy. Jej syn Harry, ojciec Mirandy, szedł za nią mówiąc:

– Naprawdę nie wiem, jaki to ma sens pędzić do Halifaxu w pięć minut po otrzymaniu tego zawiadomienia.

Babka odparła nie zatrzymując się: – Upłynęło dokładnie pięć godzin.

Farma Babki wcale nie nazywała się Halifax, nazywała się Cedrowy Gaj, ale ojciec zawsze nazywał ją Halifax. Jeśli chciał powiedzieć, że gdzieś jest bardzo gorąco, mówił: – Gorąco jak w Halifaxie. – W Gaju Cedrowym było bardzo gorąco, ale jeździli tam co roku, bo Babka to lubiła. – Zanim się urodziłaś, pięćdziesiąt razy spędzałam lato w Gaju Cedrowym – oznajmiła Mirandzie, która pamiętała doskonale zeszłe lato i przypominała sobie trochę lato poprzednie. Lubiała Gaj Cedrowy, bo były tam arbuzy, koniki polne i długi rząd kwitnącego chińskiego bzu, pod którym psy kładły się w cieniu i spały. Pomrukiwały i mrugały, i przebierały nogami, i poszczekiwały cicho przez sen; bo psom zawsze się śni, powiedział Wuj Jimbilly, że coś ścigają. Kiedy w południe Miranda spoglądała ponad puszystymi zielonymi łąkami w kierunku źródła, po prostu widziała, że jest gorące, wszystko było niebieskie i senne i słychać było krzyk synogarlic.

– Ciociu, jedziemy do Halifaxu?

– Jak jesteś taka ciekawa, spytaj ojca.

– Tatusiu, jedziemy do Halifaxu?

Ojciec poprawił jej czepek na głowie, ściągając go trochę do tyłu, żeby włosy było widać. – Uważaj, żeby cię słońce nie przypiekło. Nie, zostaw. Nie chowaj ładnych loczków. Jeszcze przed kolacją będziesz

sobie brodziła w strumieniu.

– Nie mów Halifax, dziecko. Mów Gaj Cedrowy. Trzeba nazywać rzeczy ich właściwym imieniem.

– Dobrze, Babciu – przyrzekła Miranda. Babka zwróciła się znów do syna. – Upłynęło dokładnie pięć godzin i twoja ciotka Eliza miała dość czasu, żeby rozpakować lunetę i wziąć mojego wierzchowca. Jest już tam trzy godziny. Przypuszczam, że zdążyła umieścić lunetę na dachu kurnika. Mam nadzieję, że nie stało się nic złego.

– Za bardzo się przejmujesz, mamó – powiedział jej syn usiłując ukryć zniecierpliwienie.

– Wcale się nie przejmuję – oznajmiła Babka przekładając spódnice na to ramię, na którym trzymała torbę podróżną. – Właściwie nie warto tego ze sobą zabierać. Równie dobrze mogę ją wyrzucić, jak się skończy lato.

– Nie martw się, mamó, sprowadzimy z Czarnej Farmy Pompejusza, to dobry, spokojny wierzchowiec.

– Sam możesz sobie na nim jeździć – warknęła Babka. – Zapewniam cię, że dopóki żyje Grajek, nie dosiędę Pompejusza. Grajek jest moim koniem i nie życzę sobie, żeby ktoś przez niedbalstwo ocierał mu pysk wędzidłem. Eliza nigdy nie umiała jeździć i nigdy się nie nauczy.

Miranda podskoczyła i wybiegła na dwór. A więc jadą do Gaju Cedrowego. Miranda nigdy nie przestawała się dziwić, dlaczego dorośli nie potrafiać dać wyraźnej odpowiedzi na żadne zadane im pytanie, chyba że ta odpowiedź brzmi: Nie. Potem nagle wiadomość sama wyskakuje, bez najmniejszych starań. Słyszała głos Babki płynący z niewielkiej odległości: – Harry, nie widziałeś gdzieś ostatnio mojej szpicruty? – na co ojciec odpowiedział, a przynajmniej może mu się zdawało, że to była odpowiedź: – Na miłość

boską, mamó, może być z tym wreszcie skończyła! – No właśnie.

Inna dziwna rzecz u ojca, to że nazywał Babkę w rozmowach mamą. Ciotka Jane była mamą. Czasem nazywał Babkę mamusią, ale mamusia też nie była, była naprawdę babką. Mamusia umarła. Umarła, to znaczy odeszła na zawsze. Umieranie jest czymś, co się zdarza ciągle, ludziom i wszystkim innemu. Ktoś umierał i po kamienistym grzbiecie wzgórze, w kierunku rzeki, jechały bardzo wolno powozy, gdy tymczasem dzwony dzwoniły i dzwoniły, i potem już nikt nigdy tego kogoś nie widział. Kocięta i kurczaki, a specjalnie małe indyki, umierały dużo częściej, i czasem cieleta, ale prawie nigdy krowy czy konie. Jaszczurki na kamieniach zmieniły się w muszelki, w których wcale nie było jaszczurek. Jeżeli patykiem dotknęło się gąsienicy, włochatej, całej zwiniętej w kłębek i nawet nie drgnęła – dowodziło to, że nie żyje – był to pewny znak.

Gdy Miranda znalazła jakieś stworzenie, które się nie ruszało ani nie wydawało żadnego dźwięku czy też wyglądało jakoś inaczej niż żywe stworzenia, grzebała je zawsze w małej mogiłce, przykrytej kwiatami i z gładkim kamieniem u wezłowia. Wszystko, co umiera, musi być traktowane w taki sposób. – W taki sposób i żaden inny! – mawiała Babka ustanawiając „najrozmaitsze domowe prawa. – To musi być zrobione w taki sposób i żaden inny!

Miranda pobiegła krętą dróżką wysadzaną płaskimi kamieniami, przeskakiwała zygzakiem sterczące kępki trawy. Najpierw były granaty i krzewy jaśminu, przemieszanej potem robiło się bardzo mroczno i bardzo cieniście i to był gaj figowy. Podeszła do ulubionego drzewa figowego, którego dolne gałęzie zwisały się na wysokość jej brody, dzięki czemu mogła zbierać owoce bez wdrapywania się na drzewo i ścierania sobie skóry z kolan. Ostatnim razem Babka zapomniała zabrać fig na wieś, powiedziała, że w Gaju Cedrowym jest ich mnóstwo. Ale figi na farmie były duże, miękkie, białozielonkawe, a te w domu były ciemne i bardzo

słodkie. To dziwne, że Babka nie dostrzegała różnicy. Powietrze wśród drzew figowych pachniało słodko i zawsze były tu kury, które uciekały z zagrody i przybiegały tutaj, żeby dziobać owoce leżące na ziemi. Jedna kurza mama kręciła się rozkopując ziemię i kwokając. Rozkopywała ziemię dokoła figi leżącej na widoku i kwokała na swoje dzieci, jak gdyby ta figa była robakiem, którego właśnie dla nich wygrzebała.

– Och, ty stara spryciaro – powiedziała Miranda – przecież to tylko udawanie.

Kurczątka pobiegły do matki czekającej pod drzewem, ale jedno maleństwo się nie ruszyło. Leżało na boku z ślipkami zamkniętymi i otwartym dziobkiem. Były na nim łatki żółtego puchu, łatki cieniutkich piórek, a resztę ciała miało nagą i opaloną. – Ty leniuchu – powiedziała Miranda dotykając kurczaczka czubkiem stopy. I nagle zorientowała się, że jest nieżywy.

Och, a oni zaraz wyruszają w drogą do Halifaxu. Babka nigdy nigdzie nie wyjeżdżała, zawsze wyruszała w drogą. Jeśli chce go przyzwoicie pochować, musi się strasznie śpieszyć. Wróciła i weszła do domu na palcach, w nadziei, że nikt jej nie zauważy, bo Babka zawsze pytała: – Dokąd idziesz, dziecko? Co robisz? Co tam niesiesz? Skąd to wzięłaś? Kto ci pozwolił? – A zanim Miranda zdołała jej to wszystko wyjaśnić – i nawet jeśli się okazało, że w tym, co robi, nie ma nic złego – żadna radość nie była już taka sama. Poza tym upływała wieczność, zanim pozwalano jej odejść.

Miranda wyciągnęła szufladę komody, trzecią od góry po lewej stronie, gdzie leżały jej nowe pantofle, wciąż owinięte w bibułkę, na dnie białego pudełka, w którym akurat zmieści się nieopierzone kurczątko. Odłożyła na bok białą, szeleszczącą, złożoną bieliznę i woreczki z lawendą. Zadrżała leciutko, bo na dole przed domem zaskrzypiały i zachrobotały koła na żwirze, a Wuj Jimbilly huczał, jak syrena w czasie mgły: – Hej, cofajcie

się, koniska! Hej, ty tam, cofnij się! – co naturalnie znaczyło, że obraca brek w kierunku drogi do Halifaxu. Zaraz zaczną jej szukać, będą ją wołali i popędzali, i Miranda nie będzie miała czasu, a oni nie dadzą sobie nic wytłumaczyć. Nie było wcale trudno wykopać łopatką mały dołek w suchej, sypkiej ziemi. Owinęła bezwładne kurczątko bibułką starając się to zrobić w taki sposób, że wyglądało ładnie, włożyła je ostrożnie do pudełka, pudełko zaś przykryła schludnym kopczykiem, jak na grobach ludzi. Zaledwie zdążyła nadać kopczykowi kształt mogiły, klęcząc i pochylając się, żeby go starannie wygładzić, gdy przyplłynął skądś dziwny dźwięk, strasznie smutny i płaczący, – Piii, piii, piii – zabrzmiało trzy razy, bardzo powoli, i zdawało się, że ten głos płynie z mogiłki. Miranda powiedziała głośno: – Co to jest? – Zsunęła czepkę z uszu i wsłuchała się uważnie. – Piii, piii – powtórzyło się cieniutko, smutno. I teraz ludzie zaczęli ją wołać i popędzać, ich krzyki były coraz bliższe. Miranda też zaczęła wrzeszczeć:

– Dobrze, Ciociu Nannie, już idę, Ciociu!

– Masz mi przyjść natychmiast, wyjeżdżamy!

– Musisz poczekać chwilę, Ciociu!

Ojciec szedł przez gaj figowy. – Pośpiesz się, dziecino, bo cię zostawimy!

Miranda tego by nie zniosła. Zaczęła biec dygocąc ze strachu. Ojciec rzucił jej zirytowane spojrzenie, jak zawsze, kiedy powiedział coś, żeby ją nastraszyć, i widział, że ją nastraszył. Jego słowa były łagodne, ale głos strofujący: – Nie denerwuj się tak zaraz, dziecino, wiesz, że nigdy byśmy cię nie zostawili. – Miranda miała ochotę mu się odciąć: „To czegoś tak powiedział?” ale nasłuchiwała wciąż, czy nie usłyszy cichutkiego płaczu. Ociągała się i zostawała w tyle, i oglądała się przez ramię, ojciec popędzał ją jednak w kierunku breku. Przecież stworzenia nie wydają głosu, kiedy nie żyją. Nie mogą. To jest jeden ze znaków. Och, kiedy słyszała.

Ojciec siedział na przedzie i powoził, a Wuj Jimbilly nic nie robił, schodził tylko i otwierał bramy. Babka i Ciotka Nannie siedziały na tylnym siedzeniu, Miranda między nimi. Lubiła wyjeżdżać, lubiła, kiedy wszyscy się uśmiechali i sadowili wygodnie, i patrzyli na pogodę, kiedy konie pędziły i szarpały lejce, a sprzężyny uginały się i chwiały wydając zgrzytliwy dźwięk, przez co miało się pewność, że się jest w podróży. Jeszcze przed wieczorem będzie brodziła w strumieniu z Marią i Paulem, i Wujem Jimbilly, a wieczorem położy się na trawie w koszuli nocnej, żeby się ochłodzić, i wszyscy będą pili przed spaniem lemoniadę. Maria i Paul są już na pewno brązowi jak czekoladki, bo wysłano ich na wieś zaraz po skończeniu szkoły. Maria dostała piegów i ojciec był wściekły. – Masz nosić ten czepek – powiedział surowo do Mirandy. – Żebyś mi pamiętała. Nie pozwolę na takie marnowanie cery. – Ale och... skąd się wziął ten dziwny głos? Miranda miała szum w uszach i czuła kulisty ból na samym środku, tuż pod żebrami. Sam się nigdy nie wydostanie... cały pozawijany w bibułę, zamknięty w pudełku. Bez jej pomocy nigdy się nie wydostanie.

– Babciu, ja muszę wrócić. Och, muszę wrócić!

Babka wzięła Mirandę pod brodę i przyciągnęła do siebie jej twarz, spojrzała na nią uważnie, jak to robią dorośli. Oczy Babki były zawsze takie same. Nigdy nie były dobrotliwe ani smutne, ani złe, ani zmęczone czy coś podobnego. Po prostu patrzyły, niebieskie i spokojne.

– Co się z tobą dzieje, Miranda, co się stało?

– Och, muszę wrócić... zappomniałam o czymś ważnym!

– Przestań płakać tak niemądrze i powiedz, o co ci chodzi.

Miranda nie mogła przestać. Ojciec miał minę bardzo zaniepokojoną. – Mamo, może ona jest chora. – Wyciągnął rękę i przytknął chusteczkę do jej twarzy. – Co jest mojej dziecinie? Czy zjadłaś coś?

Miranda musiała się podnieść, żeby płakać tak rozpaczliwie, jak

miała na to ochotę. Koła toczyły się chroboczając po drodze i brek tak podskakiwał, że Babka przytrzymała ją za jedno ramię, a ojciec za drugie. Utkwili w sobie nad głową Mirandy nieruchome spojrzenia, które Miranda widywała często, a ich oczy były zupełnie takie same. Podniosła głowę, mrugała czekając, które zwycięży. Potem nagle ręka Babki opadła i oddano Mirandę ojcu. Wuj Jimbilly wziął lejce i ojciec przeniósł ją górą nad oparciem. Rozparła się na jego piersi i kolanach, jakby to był fotel, i natychmiast ucichła. – Nie możemy wracać tylko dla jakichś twoich zachcianek – powiedział owym rozsądnym tonem, jakim zwracał się do córki zawsze wtedy, kiedy Babka ją strofowała, i przytknął jej do nosa złożoną chusteczkę. – A teraz dmuchnij porządnie. Czego zapomniałaś, dziecino? Lalki? Znajdziemy inną. – Miranda nie cierpiała lalek. Nigdy się nimi nie bawiła. Zrywała im peruki i przywiązywała kociętom, jak kapelusze. Kocięta natychmiast je zrywały. To było śmieszne. Ubierała kocięta w rzeczy lalek i wystarczyło każdemu pół minuty, żeby się z nich oswobodziło. Kocięta miały rozum. Miranda zaszlochała nagle: – Och, chcę moją lalkę! – i zaniosła się płaczem, żeby zagłuszyć cichutki głos: „Piii, piii”.

– Jeśli tylko o to chodzi – pocieszył ją ojciec – w Gaju Cedrowym jest mnóstwo lalek i ze czterdzieści nowych kociaków.

– Czterdzieści? – spytała Miranda.

– Coś koło tego – odparł ojciec.

Ciotka Nannie wyciągnęła do niej rękę. – Patrz, kochanie, mam dla ciebie kilka ładnych ciemnych fig.

Jej twarz była pomarszczona i czarna i wyglądała jak figa odwrócona do góry nogami, z białą kryzką na dole. Miranda zacisnęła oczy i potrząsnęła głową.

– Czy to ładnie tak się zachowywać, kiedy Ciocia Nannie daje ci coś dobrego? – spytała Babka swoim łagodnym, upominającym głosem.

– Nie, Babciu – odparła Miranda pokornie. – Dziękuję, Ciociu Nannie.
– Ale nie wzięła fig.

Cioteczna babka Eliza, stojąc w pół drogi na drabinie przystawionej do kurnika o płaskim dachu, tłumaczyła Hinry’emu, w jaki sposób ma ustawić lunetę. – Jak na człowieka, który nigdy nie widział lunety ani o niej nie słyszał – powiedziała do Babki, która tak naprawdę była jej siostrą Sophią Jane – zupełnie nieźle sobie radzi.

– Uważam, Elizo, że w twoim wieku nie powinnaś chodzić po drabinach – upominała ją Babka.

– Masz zupełnie stargane nerwy, moja droga, słowo daję. Czy widziałaś, żebym sobie kiedykolwiek zrobiła krzywdę?

– Mimo to – rzuciła Babka zgryźliwie – istnieje coś, co się nazywa stosownym zachowaniem. W twoim wieku...

Cioteczna babka Eliza zebrała jedną ręką fałdy grubej, brązowej, plisowanej spódnicy, drugą przytrzymała się drabiny, szczebel wyżej, i zrobiła krok do góry. – Hinry – zawołała – przesuń ją teraz tak, żeby była odwrócona na zachód, i niech tak stoi. Potem sama ją nastawię po swojemu. Możesz zejść.

– Zeszła i zwróciła się do siostry: – Dopóki ty, moja Sophio, możesz hasać na tym swoim koniu, ja mogę chodzić po drabinach. Ostatecznie jestem od ciebie trzy lata młodsza, a w naszym wieku to wielka różnica.

Babka zrobiła się na twarzy różowa, jak wewnątrz muszli leżącej na jej stoliku do robót, muszli z zamkniętym w środku szumem morza; Miranda wiedziała, że Babka była zawsze ładniejsza z dwóch sióstr, wciąż jeszcze była ładna, ale cioteczna babka Eliza nie była ładna, ani teraz, ani w młodości. Przyglądając się i słuchając – bo dla Mirandy wszystko na świecie było ciekawe, o wszystkim chciała się czegoś dowiedzieć –

zobaczyła dwie stare kobiety, dumne z tego, że są babkami, przemawiające zawsze do dzieci w taki sposób, jak gdyby wiedziały wszystko najlepiej, a dzieci nie wiedziały nic, mówiące bezustannie dzieciom, żeby przyszły tu, poszły tam, zrobiły to, nie robiły tamtego, przy czym zawsze miały rację, a dzieci nigdy nie miały racji, chyba że bez słowa zrobiły tak, jak im kazano. No i teraz dogadywały sobie jak dwie pensjonarki czy może nawet jak Miranda i jej siostra Maria, kiedy sobie dokuczają i kłócą się, i złoścżą się na siebie, i mówią naumyślnie rozmaite raniące rzeczy. Mirandzie zrobiło się smutno i dziwnie, i trochę strasznie. Ostrożnie zaczęła się od nich odsuwać.

– Gdzie idziesz, Miranda? – spytała Babka swoim zwyczajnym głosem.

– Och, do domu – odparła z rozpaczą.

– Poczekaj, wrócisz z nami. – Babka była bardzo chuda i blada, i miała siwe włosy. Cioteczna babka Eliza wyglądała obok niej niczym potężna góra – razem z tymi swoimi szpakowatymi, stalowymi włosami jak kędzierzawa peruka, z oczami w okularach w stalowej oprawie, oczami koloru tabaczkowego, w tabaczkowych spódnicach wydymających się jak balon i z bijącym od niej zapachem tabaki. Kiedy przechodziła przez drzwi, prawie zupełnie je sobą wypełniała. Kiedy siadała, krzesło znikało pod nią i sprawiała wrażenie osoby siedzącej ciężko na samej sobie – od talii do podłogi.

Teraz, gdy Babka siedziała na drugim końcu pokoju i udając, że nic nie widzi, szukała czegoś w koszyczku z robotami, cioteczna babka Eliza wyciągnęła z kieszeni mały brązowy flakonik, otworzyła go, umieściła szczyptę tabaki najpierw w jednej, potem w drugiej dziurce od nosa, kichnęła głośno, wytarła nos dużą, sztywno nakrochmaloną chustką, zsunęła okulary na czoło, wzięła mały patyczek o jednym końcu rozstrzępionym na kształt pędzelka, zanurzyła go i odkręciła kilka razy

we flakoniku, i wreszcie stanowczym ruchem umieściła między zębami. Miranda słyszała o tym haniebnym nawyku kobiet z niższych sfer, ale nigdy żadna dama nie wcierała w zęby i dziaśła tabaki, a już z pewnością żadna ich krewna. No i proszę – oto cioteczna babka Eliza, na pewno dama, chociaż może nie bardzo ładna, bierze do ust tabakę! Miranda wiedziała, jaki jest stosunek Babki do tej sprawy; zafascynowana wybałuszała oczy na cioteczną babkę Elizę, aż łzy zebrały jej się pod powiekami. Teraz z kolei cioteczna babka Eliza utkwiała w niej wzrok.

– Słuchaj, mała, a gdybym ci tak dała ciągutkę. Przestałabyś się wtedy kręcić pod nogami?

Wsunęła rękę do drugiej kieszeni i wyjęła okrągły, trochę jakby zgnieciony różowy cukierek, z lukrem mocno popękany.

– Weź i żebym cię już dzisiaj nie widziała.

Miranda odeszła pośpiesznie, ściskając w dłoni cukierek. Gdy znalazła się w kuchni, już jej przeciekał między palcami. Podeszła do kranu i trzymając rękę pod strumieniem wody usiłowała zmyć przykry zapach tabaki.

Po dokonaniu tego zbrodniczego czynu nie śmiała zbliżyć się zbyt prędko do ciotecznej babki Elizy. Niemal ją słyszała, jak pyta: „Coś ty, dziecko, zrobiła tak prędko z moim cukierkiem?”

Ale Miranda prawie zupełnie zapomniała o swoich zwykłych zainteresowaniach, to znaczy o kociętach i innych małych zwierzątkach na farmie, takich jak prosiaki, kurczęta, króliki, obojętne co, byleby było małe i pozwalało się jej pieścić i karmić, bo zafascynowana zwyczajami i sposobem bycia ciotecznej babki Elizy chodziła wciąż za nią, wodziła za nią wzrokiem albo wpatrywała się w siedzącą po drugiej stronie stołu w jadalni, jeśli bowiem cioteczna babka Eliza nie siedziała na

dachu przy swojej lunecie, zawsze przed świtem lub zaraz po zapadnięciu ciemności, chodziła po farmie z mikroskopem i soczewką przyglądając się badawczo czemuś, co zobaczyła na pniu drzewa czy znalazła w trawie; od czasu do czasu zbierała okruchy czegoś, co wyglądało jak zeschnięte liście czy kawałki kory, przynosiła do domu, rozkładała na białym papierze i siedziała zapatrzona, tak cicho i spokojnie, jakby odmawiała modlitwy. Przy stole zdarzało się, że rozczłonkowała kawałek kartofla czy coś, co akurat jadła, i siedziała pochylona, mrużąc od czasu do czasu: – Hm... hm... – Babka, która nie pozwalała dzieciom przynosić do stołu żadnych rzeczy do zabawy i gdy siedziały przy stole, zabraniała im robić cokolwiek innego niż jeść, nie zwracała uwagi na maniery siostry, dopóki mogła; ale wreszcie, gdy cioteczna babka Eliza bzykała do siebie jak pszczoła rozwodząc się nad tym, co pod mikroskopem znalazła w rodzyńce, Babka powiedziała: – Eliza, jeżeli to jest coś ciekawego, pokaż mi po obiedzie. Albo powiedz mi teraz.

– Jak ci powiem, i tak nie zrozumiesz – oznajmiła zimno cioteczna babka Eliza, odsuwając mikroskop i kończąc leguminę.

Kiedy wreszcie, tuż przed powrotem do miasta, zaprosiła dzieci, żeby wspięły się z nią po drabinie na dach i obejrzały gwiazdy przez lunetę, były tak przejęte, że spoglądały na siebie, jakby się nie znały i nie zamieniły między sobą ani jednego słowa. Miranda zobaczyła tylko ogromny, błądy, rozjarzony krąg zimnego światła, wiedziała jednak, że to księżyc, i zawołała w uniesieniu:

– Och, to zupełnie inny świat!

– Naturalnie, dziecko – powiedziała cioteczna babka Eliza swoim burkliwym głosem, ale dobrotliwie – to są inne światy, miliony innych światów.

– Jak ten? – spytała Miranda nieśmiało.

– Tego nikt nie wie, dziecino...

– Nikt nie wie, nikt nie wie! – śpiewała Miranda do melodii rozbrzmiewającej jej w głowie, a tak była oszołomiona radością, że została w tyle, szła w pewnej odległości za rozchybotaną latarnią ciotecznej babki Elizy i jej rozchybotanymi spódnicami. Szli po wilgotnej od rosy ścieżce prowadzącej przez gaj figowy, bardzo podobny do gaju za domem w mieście; wieczorna rosa wydobywała słodki zapach mlecznego listowia. Mijali duże drzewo figowe z nisko zwisającymi gałęziami i Miranda przytknęła do niego palce, na szczęście. Z ziemi pod jej stopami przyplłynął straszny, niewyraźny, smutny dźwięk. „Piii, piii, piii, piii”, szeptał cichutko płaczący głosik spod przygniatającej go ziemi, z grobu.

Miranda skoczyła jak przestraszony kucyk i przypadła od tyłu do nóg ciotecznej babki Elizy, wołając:

– Och, och... czekajcie!

– Co się stało, dziecko?

Miranda uczepliła się wyciągniętej ręki, ciepłej i pachnącej tabaką. – Och... tam coś woła z ziemi piii, piii!

Cioteczna babka Eliza przystanęła, objęła Mirandę ramieniem i przez chwilę nasłuchiwała uważnie.

– Słyszysz? – spytała. – One wcale nie są w ziemi. To pierwsze zielone żabki rzekotki, z czego wynika, że pogoda się zmieni – powiedziała. — Piii, piii... słyszysz?

Miranda wciągnęła głęboki, drżący oddech i usłyszała. Żabki siedziały na drzewach. Poszły znów przed siebie, Miranda z ręką w dłoni ciotecznej babki Elizy.

– Pomyśl tylko – ciągnęła stara kobieta mówiąc swoim najbardziej szkolarskim tonem – że kiedy rzekotki zrzucają skórę, zdejmują ją przez głowę, jakby to była koszula, i potem ją zjadają. Możesz sobie wyobrazić? Mają naprawdę prześliczny kształt... pokażę ci kiedyś taką jedną pod mikroskopem.

– Bardzo dziękuję, ciociu – powiedziała wreszcie Miranda poprzez mgławicę szczęścia, że słyszy śpiew zielonych żabek: „pii, pii”...

GRÓB

Dziadek nie żył już ponad trzydzieści lat, ale jego długi odpoczynek był dwukrotnie zakłócany przez upór i zaborczość wdowy. Najpierw przeniosła jego kości do Luizjany, potem do Teksasu, jak gdyby poszukiwała własnego miejsca wiecznego spoczynku, wiedząc, że nie wróci nigdy do miejsc raz opuszczonych. W Teksasie wydzieliła mały cmentarz na krańcu swojej pierwszej farmy, a ponieważ rodzina się rozgałęziała i pozostali krewni przybyli z Kentucky, żeby się tu osiedlić, na cmentarzu było teraz ponad dwadzieścia grobów. Po śmierci Babki część ziemi miała być sprzedana na rzecz niektórych jej dzieci, a traf chciał, że cmentarz leżał na terenie przeznaczonym na sprzedaż. Trzeba było przenieść trumny do kwatery rodzinnej na dużym, nowym cmentarzu publicznym, gdzie pochowano Babkę. Nareszcie mąż miał spocząć obok niej, jak sobie tego życzyła.

Cmentarz rodzinny był niewielkim, miłym, zapuszczonym ogrodem, gdzie rosły splątane krzewy róż, strzępiaste cedry i cyprysy, a proste, płaskie nagrobki wynurzały się z niestrzyżonej, słodko pachnącej dzikiej trawy. Otwarte groby ziały pustką, gdy któregoś upalnego dnia Miranda i jej brat Paul, często polujący razem na króliki i gołębie, oparli ostrożnie swoje dubeltówki kaliber 22 o sztachety, przedostali się na drugą stronę i zaczęli myszkować między grobami. Ona miała dziewięć lat, on dwanaście.

Ze skupioną uwagą zaglądali do dołów, które wszystkie miały jednakowy kształt, i wymieniali zadowolone, śmiałe spojrzenia powtarzając uroczystym tonem: – To były groby! – Usiłowali słowami rozbudzić w sobie specjalne, odpowiednie w takim miejscu emocje, ale nie czuli nic oprócz miłego dreszczyku zdziwienia: oglądają nowe

widoki, robią coś, czego nigdy dotąd nie robili. Doznali też jednak małego rozczarowania na widok zwyczajności tego, na co teraz patrzyli. Nawet jeśli stała tu kiedyś całymi latami trumna, po jej wyjęciu grób był tylko dołem w ziemi. Miranda zeskoczyła do dołu, w którym dawniej spoczywały kości jej dziadka. Dłubiąc w ziemi bez celu, lecz z zapalem, jak to młode zwierzątka, wygrzebała zlepioną grudkę i zważyła ją na dłoni. Grudka miała przyjemny, słodkawy, zgniły zapach, bo ziemia była przemieszana ze szpilkami cedrowymi i małymi listkami, a gdy się okruchy rozpadły, Miranda ujrzała srebrnego gołąbka, nie większego niż orzech laskowy, z rozpostartymi skrzydłami i zgrabnym ogonem jak wachlarz. W piersi gołąbka była głęboka, okrągła dziurka. Obróciwszy go do ostrego słońca Miranda zobaczyła, że w środku dziurki są małe, spiralne nacięcia. Wygramoliła się po kupie ziemi obsuniętej na jednym końcu mogiły, wołając do brata, że coś znalazła, niech zgadnie co... Jego uśmiechnięta twarz pokazała się nad krawędzią innego grobu, wymachiwał do niej zaciśniętą dłonią. – Ja też coś znalazłem!

Podbiegli do siebie, żeby porównać skarby, zrobili z tego grę, każde miało prawo tyle a tyle razy zgadywać, naturalnie nie zgadli – i w końcu ostateczna rozgrywka, już z otwartymi dłońmi. Paul znalazł cienką, szeroką obrączkę, wyrzeźbioną w zawiły wzór kwiatów i liści. Miranda oniemiała na widok obrączki, bardzo chciała ją mieć. Na Paulu większe wrażenie zrobił gołąbek. Wymienili się, trochę sobie przy tym dogadując. Już z gołąbkim w rękach Paul powiedział: – Nie wiesz, co to jest? To nakrętka trumny!... Zakład, że nikt na świecie nie ma takiej drugiej!

Miranda spojrzała na gołąbka bez cienia poządlowości. Wsunęła obrączkę na kciuk, była w sam raz.

– Może powinniśmy już stąd iść – zwróciła się do Paula. – Jeszcze jakiś czarnuch nas zobaczy i nagada.

Wiedzieli, że ziemia została sprzedana, że cmentarz już do nich nie

należy, i rozumieli, że naruszają prawa znajdując się na cudzym terenie. Przeszli z powrotem na drugą stronę sztachet i przewiesiwszy strzelby luźno przez ramię – strzelali do rozmaitych celów rozmaitymi rodzajami broni od siódmego roku życia – ruszyli na poszukiwanie królików i gołębi czy innej drobnej zwierzyny, którą mogli spotkać. Podczas tych wypraw Miranda szła zawsze za Pauliem, słuchała jego wskazówek, jak trzymać broń przy przechodzeniu na drugą stronę płotu; uczyła się, w jaki sposób stawiać broń, żeby się nie zsunęła i nie wystrzeliła niespodziewanie; jak wyczekiwać odpowiedniego momentu, a nie walić bez patrzenia w powietrze, uniemożliwiając strzał Paulowi, który naprawdę trafiał do celu – jeśli mu się tylko dało szansę. Od czasu do czasu, podniecona widokiem ptaków podrywających się nagle tuż przed nią czy widokiem królika przeskakującego jej dosłownie przez palce u nogi, traciła głowę i prawie nie celując podrywała strzelbą i naciskała cyngiel. Właściwie nigdy nie trafiała do celu. W ogóle była pozbawiona żyłki myśliwskiej. Jej brat często się na nią złościł.

– Tobie jest wszystko jedno, czy trafisz ptaka, czy nie – mówił. – Tak nie wolno polować.

Miranda nie mogła zrozumieć jego gniewu. Widywała, jak zrywa czapkę z głowy i wrzeszczy z wściekłości, kiedy czasem nie trafiał.

– W strzelaniu najbardziej mi się podoba – powiedziała z denerwującym brakiem logiki – samo pociągnięcie za cyngiel i potem huk.

– To dlaczego, u licha – wybuchnął Paul – nie wrócisz na strzelnicę i nie strzelasz do tarczy?

– Wolałabym – odparła Miranda – ale w ten sposób więcej chodzimy.

– No, już dobrze, ale trzymaj się za mną i nie psuj mi strzałów – rozkazał Paul, bo kiedy coś upolował, chciał mieć pewność, że zwierzyna padła od jego strzału. Chociaż Miranda marnowała dwadzieścia naboju, zanim udało jej się strącić ptaka, to jednak rościła prawa do każdej sztuki,

którą upolowali strzelając jednocześnie. Było to męczące i nie fair i jej brat miał tego serdecznie dosyć.

– Słuchaj, pierwszy gołąb, jakiego zobaczymy, i pierwszy królik jest mój – ostrzegł ją. – Następne będą twoje, Tylko żebyś mi nie próbowała żadnych sztuczek.

– Co z węzami? – spytała leniwie. – Mogę mieć pierwszego węża?

Poruszając delikatnie dłonią i obserwując błyski złotej obrączki Miranda przestała się interesować polowaniem. Miała na sobie swój letni strój do zabaw na świeżym powietrzu; ciemnoniebieski kombinezon, jasnoniebieską bluzę, słomkowy kapelusz robotnika rolnego i grube brązowe sandały. Jej brat był ubrany tak samo, z tą różnicą, że miał kombinezon w spokojnym orzechowym kolorze. Normalnie Miranda wolała kombinezon niż sukienki, chociaż kombinezon wywoływał skandal w okolicy, bo był to rok 1903 i na tej dalekiej prowincji kodeks obyczajów niewieścich był jeszcze bardzo surowy. Krytykowano jej ojca, że pozwala córkom ubierać się po męsku i jeździć na oklep konno. Starsza siostra Mirandy, Maria – ta naprawdę niezależna i nieustraszona mimo pewnej afektacji – galopowała tylko z kawałkiem sznurka owiniętym dokoła końskiego pyska. Mówiono, że pozbawiona matki rodzina zaczyna się staczać, zwłaszcza odkąd zabrakło Babki, która trzymała ich wszystkich w garści. Mówiono, że skrzywdziła w testamencie swojego syna Harry’ego, który miał teraz poważne kłopoty pieniężne. Niektórzy spośród najdawniejszych sąsiadów mówili sobie ze złośliwą satysfakcją, że teraz nie będzie już chyba tak zadzierał nosa i nie będzie dosiadał tak wyborowych wierzchowców. Miranda wiedziała o tym, chociaż nie umiałyby powiedzieć, skąd. Spotykała na drodze stare kobiety, które traktowały jej Babkę z najszczerzym szacunkiem – jedno z tych, co to paliły tytoń w fajkach z kaczanów kukurydzy. Patrzyły na wnuczkę krzywo swoimi starymi, posklejanymi oczami, i mówiły: – Jak ci nie

wstyd, panienko, tak chodzić? To jest przeciwko Ewangelii. Co twój ojciec sobie myśli?

Miranda ze swoją silnie rozwiniętą wrażliwością społeczną, jak najdelikatniejsze czułki wyrastającą z każdego pora jej skóry, czuła się zawstydzona, ponieważ wiedziała, że jest niegrzecznie gorszyć ludzi, nawet jeśli są to tylko kłótlive starowiny; czuła się zawstydzona, chociaż miała zaufanie do rozsądku ojca i chociaż było jej w tym stroju bardzo wygodnie. Ojciec powiedział: – Takie ubranie jest dla ciebie bardzo odpowiednie, a poza tym zaoszczędzisz sukienek przed pójściem do szkoły... – Brzmiało to bardzo prosto i bardzo naturalnie. Wychowywano ją w atmosferze rygorystycznej oszczędności. Marnotrawstwo jest czymś wulgarnym. Jest także grzechem. To były prawdy; słyszała, jak je powtarzano wielokrotnie i nigdy nie poddawano w wątpliwość.

Teraz pierścionek, błyszczący na jej dość brudnym kciuku czystym lśnieniem czystego złota, nastawił ją nieprzychylnie do kombinezonu i bosych stóp, z palcami sterczącymi spomiędzy brązowych skórzanych pasków. Chciała wrócić do domu, wykąpać się w zimnej wodzie, obsypać hojnie pachnącym fiołkami talkiem Marii – jeśli Marii przy tym nie będzie, bo inaczej jej nie pozwoli – włożyć najcieńszą i najbardziej twarzową sukienkę, tę z długą szarfą, i usiąść na fotelu trzcinowym pod drzewami... Naturalnie to nie było wszystko, czego pragnęła; odzywały się w niej niewyraźne tęsknoty za zbytkiem i wielkopańskim stylem życia, które w jej wyobraźni nie mogło przybrać konkretnych kształtów, a opierało się na rodzinnych legendach o minionym bogactwie i świętości. Ten łatwo dostępny luksus mogła mieć i zapragnęła mieć natychmiast. Pozostała dość daleko w tyle za Pauliem i w pewnej chwili pomyślała, że po prostu zawróci bez słowa i pójdzie do domu. Stała i nagle przyszło jej do głowy, że Paul nigdy by jej tego nie zrobił; musi mu jednak powiedzieć. Gdy królik wyskoczył na ścieżkę, ustąpiła go Paulowi bez sprzeciwu.

Zabił go jednym strzałem.

Gdy się z nim zrównała, klęczał już z królikiem zwisającym mu z rąk i oglądał ranę. – Kula przeszła przez sam środek głowy – powiedział bardzo z siebie zadowolony, jak gdyby mierzył w głowę. Wyjął ostry, doskonały nóż myśliwski i zaczął ściągać skórą. Robił to bardzo zręcznie i szybko. Wuj Jimbilly umiał wyprawiać skórki królicze, więc Miranda miała zawsze futra dla swoich lalek, bo chociaż nie przepadała za lalkami, lubiła ubierać je w futra. Dzieci klęczały nad nieżywym zwierzątkiem, zwrócone do siebie twarzami. Miranda obserwowała zachwycona, gdy jej brat ściągał skórę, jakby to była rękawiczka. Ukazał się nagi kadłub, ciemnopurpurowy, gładki, jędrny; Miranda dotknęła palcem wskazującym i kciukiem długich, delikatnych mięśni i srebrzystych, płaskich więzadeł, umocowujących je do stawów. Paul dotknął dziwacznie opuchniętego brzucha. – Patrz – powiedział cicho, ze zdumieniem. – Miała mieć małe.

Bardzo ostrożnie rozciął cienką skórę od środka żeber aż po pachwinę; ukazał się purpurowy worek. Paul rozciął worek, otworzył – i w środku leżała gromadka maleńkich króliczków, każdy owinięty w purpurową błonę. Paul ściągnął błony i Miranda je zobaczyła – ciemnoszare, ich przylizany, wilgotny puch pozlepił się w maleńkie, równe fale, jak włosy na głowie niemowlęcia zaraz po umyciu, nieprawdopodobnie małe, delikatne uszka były mocno zwinięte, drobne, ślepe pyszczki prawie pozbawione rysów.

Miranda wyszeptwała; – Och, chcę zobaczyć. – Patrzała i patrzała – z przejściem, ale bez zgrozy, bo przywykła do widoku zwierząt zabijanych na polowaniach – wypełniona litością i zdumieniem, i czymś w rodzaju zapierającego dech zachwytu dla tych cudownych stworzonek, były takie śliczne. Bardzo ostrożnie dotknęła jednego z nich palcem, – Och, są całe zakrwawione – wyszeptwała i zaczęła drżeć nie wiedząc czemu. A przecież chciała, z całej duszy chciała zobaczyć i wiedzieć. Zobaczyła

i teraz jej się zdawało, że wiedziała zawsze. Zniknęła nawet pamięć jej dawnej niewiedzy, zawsze to wiedziała. Nikt jej nic nie powiedział wprost, a właściwie nigdy nie zwracała uwagi na życie zwierząt dookoła, była do nich tak przyzwyczajona. Wydawały się tylko czasem nieznośne i niewytłumaczenie grubiańskie w swoich obyczajach, ale poza tym najzupełniej normalne i nie bardzo ,interesujące. Jej brat mówił tak, jakby dawno o wszystkim wiedział. Może widział dawniej. Nie wspominał jej nigdy ani słowem, ale teraz przynajmniej wiedziała część tego co on. Rozumiała cząstkę ukrytych, bezkształtnych intuicji w swoim ciele i umyśle, które się rozjaśniały, kształtowały tak stopniowo i tak równomiernie, że Miranda nie zdawała sobie sprawy, że uczy się tego, o czym musi wiedzieć. Paul powiedział ostrożnie, jakby mówił o czymś, co było zakazane:

– Miały się już lada chwila urodzić. – Zniżył głos przy ostatnim słowie. – Wiem – odparła Miranda – jak kocięta. Wiem, jak dzieci. – Podniosła się, stała trzymając dubeltówkę pod pachą i poruszona w jakiś spokojny i straszny sposób, patrzyła w dół na krwawą kupkę, – Nie chcę tej skórki – powiedziała. – Nie chcę jej.

Paul włożył małe z powrotem do ciała matki, owinął ją skórą, zaniósł w krzaki bylicy i tam ukrył. Wrócił natychmiast i przemówił do Mirandy ze skwapliwą serdecznością, poufnym tonem, co już samo w sobie było niezwykle, jak gdyby dopuszczał ją na równych prawach do jakiegoś ważnego sekretu.

– Teraz posłuchaj. Słuchaj uważnie i dobrze zapamiętaj. Żebyś mi nigdy nikomu nie mówiła, że to widziałas. Nikomu na świecie. Nie mów ojcu, bo będę miał nieprzyjemności. Powie zaraz, że cię wciągam w rzeczy, których nie powinnaś robić. Zawsze to mówi. Więc teraz pamiętaj i żebyś mi czegoś kiedyś nie wypaplała, jak to ty potrafisz... Pamiętaj, sekret. Ani słowa nikomu.

Miranda nigdy nie powiedziała, nawet nie miała ochoty powiedzieć. Przez kilka dni myślała o tej niemiłej sprawie z uczuciem zmieszania i przykrości. Potem jej wspomnienie zapadło się cicho w pamięci i przez blisko dwadzieścia lat leżało pogrzebane pod tysiącem nagromadzonych wrażeń. Któregoś dnia szła stąpając ostrożnie między kałużami i rozdeptanymi odpadkami uliczki targowej w obcym mieście obcego kraju, gdy nagle bez ostrzeżenia, wyraźny i jasny w swych autentycznych barwach, jak gdyby patrzyła na ujęte w ramy zdarzenie, nie zmienione od chwili, w której się rozegrało, ów dawny epizod powstał ze swego grobowca i ukazał się oczom jej wyobraźni. Ogarnęło ją tak bezpodstawne przerażenie, że zatrzymała się nagle, nieruchomo zapatrzona; wizja wywołana w pamięci przyćmiła widok tuż przed jej oczami. Hinduski sprzedawca podsunął jej tacę barwionych cukierków w kształcie przeróżnych zwierzątek: ptaki, kurczęta, króliczki, jagnięta, prosiaki. Były wesoło pomalowane i pachniały może wanilią... Dzień był upalny i zapach na targu, zawalonym stosami surowego mięsa i więdnących kwiatów, przypominał słodycz przemieszaną ze zgnilizną, ową woń, którą wciągała w nozdrza tamtego dnia na pustym cmentarzu rodzinnej farmy; dnia, który dotąd pamiętała bardzo mgliście i tylko dlatego, że znaleźli wtedy z bratem skarby w pustych grobach. Ta myśl przyćmiła natychmiast straszny obraz i Miranda zobaczyła wyraźnie brata, którego twarz z dziecinnych lat zatarła jej się w pamięci; stał w jaskrawym słońcu, miał znów dwanaście lat, i uśmiechając się oczami spokojnie, z zadowoleniem, obracał i obracał w palcach maleńkiego srebrnego gołąbka.

WYJAZD

Byłam w tym czasie za młoda na niektóre z moich zmartwień i nie wiedziałam jeszcze, jak się wobec nich zachować. Nie jest już ważne, jakiego rodzaju ,były te zmartwienia ani jak się skończyły. Zdawało mi się wtedy, że jedyne wyjście, to uciec od nich, chociaż cała tradycja, w której wyrosłam, cała przeszłość i wychowanie nauczyły mnie w sposób bezsporny, że tylko tchórze uciekają przed czymkolwiek. Co za nonsens! Powinny mnie były nauczyć różnicy między odwagą a brawurą, żebym sama nie musiała jej odkrywać. Przekonałam się w końcu, że gdybym w dalszym ciągu posiadała rozum, z którym przyszłam na świat, czmychałabym jak sarna na pierwszy sygnał pewnych niebezpieczeństw. Ale zdarzenia, o których chcę wam opowiedzieć, rozegrały się jeszcze, zanim zaświtała mi ta wielka prawda – że nie należy uciekać od zmartwień i niebezpieczeństw, które są naprawdę nasze, bo lepiej jest poznać je wcześniej, ale jesteśmy głupcami, jeżeli nie uciekamy od innych. Zwierzyłam się mojej przyjaciółce Luizie, koleżance jeszcze ze szkoły i rówieśnicy, nie z moich zmartwień, lecz z drobnego problemu: chcę pojechać gdzieś na wiosenny urlop, sama, na wieś, gdzieś, gdzie będzie bardzo bezpretensjonalnie i miło, i naturalnie tanio, ale że nie będzie jej wolno nikomu powiedzieć, dokąd pojechałam; gdyby jednak chciała i gdyby zdarzyło się coś interesującego, pisałabym do niej od czasu do czasu. Odparła, że strasznie lubi dostawać listy, ale nie cierpi odpisywać; i że ma dla mnie idealne miejsce, i naturalnie nikomu nic nie powie. Luiza miała wtedy – i ma nadal – talent niemal geniusza do takiego przedstawiania wręcz nieprawdopodobnych zdarzeń, ludzi, miejscowości,

żeby wydawały się pociągające. Opowiadała o nich tak zabawnie, że wcale nie wydawały się ponure, dopóki przypadkiem w jakiś czas później nie zobaczyło się i nie usłyszało samemu. To samo dotyczy tej opowieści. Wszystko właściwie zgadzało się z opisem i jednocześnie wszystko było zupełnie inne.

– Mam dla ciebie idealne miejsce – oznajmiła Luiza. – Taki naprawdę staroświecki dom niemieckich chłopów, na dalekich czarnoziemach Teksasu, rodzina autentycznie patriarchalna... wiesz, coś, pośród czego za nic nie chciałoby się żyć, ale co jest ciekawie zobaczyć. Stary ojciec, istny Bóg Wszechmocny, z bokobrodami i tak dalej. Stara matka, matrona w męskich butach. I bez liku córek, i synów, i zięciów, i tłustych malutkich dzieci kręcących się pod nogami, i tłustych szczeniaków... moim ulubieńcem był wtedy cudowny czarny psiacek Kuno... i krowy, cielęta, owce, jagnięta i kozy, indyczki, perliczki wędrujące po stokach niskich, zielonych wzgórz, a na stawie gęsi i kaczki. Byłam tam w lecie, kiedy zaczęły się arbuzy i brzoskwinie...

– Jest dopiero koniec marca – powiedziałam z powątpiewaniem.

– Tam jest bardzo wczesna wiosna – stwierdziła Luiza. – Napiszę do Müllerów o tobie, przygotuj się do drogi.

– Gdzie dokładnie jest ten twój raj?

– Niedaleko granicy Luizjany – odparła. – Napiszę, żeby ci dali moje poddasze... ach, nie masz pojęcia, jakie чудо! Duży pokój ze spadzistym dachem po obu stronach, schodzącym aż do podłogi, a ponieważ w czasie deszczu dach trochę przecieka, pułap jest cały w ślicznych kolorowych smugach, czarnych, szarych, zielonych jak mech... a w jednym kącie leży stos groszowych powieści, „Księżniczka” Ouidy, romansidła pani E.D.E.N. Southworth, poezje Elli Wheeler Wilcox. Bo któregoś lata wynajmowali pokój jednej pani, która była rozmówiana w lekturze, i ta pani wyjeżdżając zostawiła swoją bibliotekę. Cudownie mi tam było! I

oni wszyscy są tacy zdrowi, tacy życzliwi, a pogoda była idealna... Jak długo chciałybyś tam posiedzieć?

Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam, więc rzuciłam na chybił trafił:
– Około miesiąca.

W kilka dni później zostałam wyrzucona, na podobieństwo przesyłki ekspresowej, z małego, brudnego, pełnącego jak żółw pociągu na zalany deszczem peron wiejskiej stacyjki, gdzie zawiadowca pokazał się po to tylko, żeby zamknąć poczekalnię na klucz, jeszcze zanim pociąg zniknął za zakrętem. Mijając mnie przesunął prymkę językiem na policzek i spytał: – Paniusia dokąd?

– Na farmę Müllerów. – Stałam obok niewielkiego kufra i walizki, czując, jak wiatr przenika przez moje cienkie palto.

– Ktoś miał wyjść na stację? – spytał nie zatrzymując się.

– Tak powiedzieli.

– Dobra – rzucił wsiadając do małej, odrapanej bryczki, zaprzężonej w łękowatego konia, i odjechał.

Przewróciłam kufer na bok, usiadłam zwrócona twarzą do wiatru i do smutnego, zamazanego krajobrazu o barwie błota, i zaczęłam układać mój pierwszy list do Luizy. Więc najpierw miałam zamiar jej napisać, że chyba tylko chęć zostania pisarką mogłaby usprawiedliwić jej bujną wyobraźnię. W życiu codziennym, miałam jej zamiar napisać, istnieje coś, co jest bardzo pożyteczne, a co ludzie nazywają nagimi faktami, których należy się trzymać w złej czy dobrej doli. Wszystko inne prowadzi do nieporozumień, jak te obecne. Zaczęłam znajdować prawdziwą przyjemność w liście do Luizy, gdy nagle krępy chłopiec lat może dwunastu wyszedł na peron. Zbliżając się do mnie zdjął postrzępioną czapkę i zmiął ją w grubej dłoni, z plamami brudu na przegubach palców. Jego okrągłe policzki, okrągły nos, okrągły podbródek miały barwę zdrowej, chłodnej czerwieni. W globusie jego twarzy, tak idealnie okrągłej, jakby

narysowanej kolorowym ołówkiem, wąskie, podłużne, skośne oczy, czyste niczym jasnoblękitna woda, wydawały się nie na miejscu, jak gdyby w procesie tworzenia go walczyły dwie nie dające się ze sobą pogodzić rasy. Były to oczy przepiękne, a reszty twarzy nie należało traktować poważnie. Niebieska wełniana bluza, zapięta pod szyję, kończyła się raptownie w pasie, jak gdyby chłopiec miał z niej wyrosnąć w ciągu najbliższej pół godziny, a niebieskie drelichowe spodnie trzepotały mu powyżej kostek. Na nogach miał stare farmerskie buty, za duże o kilka numerów. Widać było, biorąc jedno z drugim, że nie on pierwszy nosi to odzienie. Był pogodną, spokojną, obojętną zjawą na tle błotnistej brązowej ziemi i ciemnego burzliwego nieba, więc uśmiechnęłam się do niego najmilej jak mogłam, całą twarzą, która – takie miałam uczucie – była z rozmokłej gliny.

Uśmiechnął się do mnie leciutko, nie patrząc mi w oczy, i wskazał ruchem ręki, żebym wzięła walizkę. Dźwignął mój kuferek, postawił go sobie na głowie i zaczął dreptać po nierównym peronie i dalej w dół po śliskich od błota schodkach; miałam wrażenie, że niesiony ciężar zmiażdży go tam niczym kamień mrówkę. Wrzucił kufer na tył wozu z pięknym trzaskiem, wziął ode mnie walizkę i cisnął ją za kufrem, potem wdrapał się na siedzenie po jednym przednim kole, a ja wspięłam się po drugim.

Konik, kosmaty jak niedźwiedź podczas snu zimowego, ruszył niechętnym klusem; chłopiec, w czapce zsuniętej nisko na oczy, pochylony nad luźno trzymanymi lejcami, wpadł w zadumę. Zaczęłam przyglądać się uprzęży, która wydała mi się niezgłębioną tajemnicą. Schodziła się i szcepiała w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach; rozchodziła się w punktach, które były chyba węzłami strategicznymi. W ryzykownych miejscach była naprawiona niedbale kawałkiem włochatego szpagatu. Inne, pozornie nieważne miejsca, związane były nieodwołalnie drutem.

Uzda była za długa dla krótkiego łba konika, więc chyba jeszcze na samym początku wytrząsnął wędzidło z pyska i ruszył w drogę własnym krokiem. Nasz wehikuł był mocno sfatygowanym okazem czegoś, co nazywa się wozem na resorach, jeden Bóg raczy wiedzieć czemu. Sprężyn żadnych nie miał, a płytką, zamkniętą platformą z tyłu, odpowiednią do przewożenia rozmaitych rupieci, była połupana ze starości i sięgała zaledwie do połowy tylnych kół, przy czym jeden jej bok ustawicznie ocierał się o żelazną obręcz. Same koła miały piasty obluzowane i nie obracały się równo, jak to koła powinny, tylko po elipsie, dzięki czemu posuwaliśmy się z wesołym, pijackim podrygiem, jak mały stateczek kołyszący się na burzliwym morzu.

Podmokłe, brązowe pola rozwierały się po obu stronach drogi, zjeżone zimowym ścierniskiem, gotowym się zapaść i przerodzić znów w ziemię. Rzadki, bezlistny lasek ciągnął się brzegiem pobliskiej łąki. Lasek ten nie miał teraz w sobie nic pięknego prócz może zapowiedzi wiosny, bo nie znoszę smętnych krajobrazów, ale przyjemnie mi było pomyśleć, że dalej może jest coś, co będzie piękne samo w sobie – rzeka, której nadały kształt wiążące ją brzegi, albo pole obnażone w swojej prawdziwej treści, zorane i czekające na ziarno. Droga skręciła raptownie i była prawie niewidoczna, jechaliśmy teraz przez las. Widziane z bliska powyginane gałęzie uspokoiły mnie, że wiosna nadchodzi, acz z ociąganiem, niechętnie: wszystkie nowe pędy były obsypane maleńkimi, wodnistozielonymi stożkami pączkujących liści. Znowu zaczął siać drobny, spokojny deszcz, nie tak mętny jak mgła, tylko raczej podobny do oparów, które gęstnieją w górze i schodzą w dół, aż w końcu chmury stają się deszczem otulającym wszystko w delikatną szarość.

Gdy wyjechaliśmy z lasu, chłopiec ocknął się i milcząco wskazał ręką przed siebie. Zbliżaliśmy się do farmy brzegiem pięknego sadu brzoskwiniowego, teraz delikatnie zabarwionego młodymi pąkami,

ale absolutnie nic nie mogło ukryć posępnej i bolesnej brzydoty domu. W tej teksaskiej dolinie, tak łagodnie modulowanej małymi pagórkami i zagłębieniami terenu, dom sterczał na szczycie najbardziej łysego wzniesienia, jak gdyby ten szczególnie jałowy skrawek został gospodarnie wybrany na zbudowanie schronienia. Stał tam obnażony, widmowy – natrętny intruz, wyglądający obco nawet obok stodół i obór uszeregowanych z tyłu z rozmachem, o niskich okapach i wyblakłych na kolor kamienia.

Widok wąskich okien i spadzistego dachu przygnębił mnie; miałam ochotę zawrócić i odjechać. Zbyt długa była ta droga, żeby mnie spotykało aż takie rozczarowanie, pomyślałam, a przecież muszę tu zostać, bo nie może być tu dla mnie nic bardziej bolesnego niż to, od czego uciekałam. Ale gdy zbliżyliśmy się do domu, teraz zaledwie widocznego, bo tylko żółte światło lampy błyszczało gdzieś w głębi, może w kuchni, ogarnęło mnie znowu uczucie ciepła i czułości, czy może tylko przecucie, że mogłabym tych uczuć doznać...

Wózek zatrzymał się przed gankiem, zaczęłam schodzić po kole. Zaledwie moja noga dotknęła ziemi, ogromny, czarny pies z nieprzyjemnej rasy niemieckich owczarków skoczył do mnie w milczeniu, a ja również w milczeniu zasłoniłam twarz ramionami i odskoczyłam do tyłu. – Kuno, leżeć! – wrzasnął chłopiec rzucając się ku niemu. Drzwi frontowe otworzyły się raptownie i młoda dziewczyna o żółtych włosach zbiegła ze stopni i chwyciła psa za kark.

– On nie chce pani zrobić krzywdy – zawołała z powagą po angielsku. – To przecież tylko pies.

Małutki szczeniaczek Kuno, ukochany Luizy, pomyślałam, tylko starszy o rok czy dwa. Kuno skamlał, przeproszał, pochylając się przede mną i grzebiąc ziemię przednią łapą, a dziewczyna trzymająca go za kark powiedziała nieśmiało i z dumą: – Nauczyłam go tego. Taki jest zawsze

niegrzeczny, ale go nauczyłam!

Przyjechałam, jak się okazało, w chwili, gdy rozpoczynały się wieczorne prace przy gospodarstwie. Cała rodzina Müllerów wysypała się przez drzwi, wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety szli do wyznaczonej sobie pracy. Dziewczyna weszła ze mną na ganek i powiedziała: – To jest mój brat Hans – młody mężczyzna zatrzymał się, żeby uściśnąć mi rękę, i już go nie było. – To jest mój brat Fritz – powiedziała i Fritz w przejściu ujął moją dłoń i zaraz ją puścił. – Moja siostra Annetje – powiedziała i młoda, cicha kobieta z niemowlęciem przewieszonym przez ramię, jak szal, uśmiechnęła się wyciągając do mnie rękę. Przesuwały się obok mnie kolejno ręce o dłoniach młodszych, starszych, szerokich, drobnych, męskich, kobiecych, ale były to wszystko mięsiste, twarde dłonie wieśniacze, ciepłe i mocne. I w każdej twarzy widziałam te same blade, lekko skośne oczy, na każdej głowie te same płowe włosy, jak gdyby wszyscy byli braćmi i siostrami, chociaż witał się ze mną także mąż Annetje i mąż drugiej córki.

W obszernej sieni, z drzwiami od frontu i w głębi, pełnej mglistego światła i zapachu mydlin, stara matka, też w drodze do wyjścia, zatrzymała się i podała mi rękę. Była wysoka, silnie zbudowana, na głowie miała trójkątną chustkę z czarnej wełny, spod czarnej, podwiązanej spódnicy wystawała jej brązowa flanelowa halka. Nie po niej odziedziczyli młodzi te oczy czyste jak woda. Jej oczy były czarne, bystre i badawcze, w czarnych pasmach włosów prześwitywała siwizna, poorana chuda twarz była brązowa jak wysuszona kora drzewa; na nogach miała długie gumowe buty, a gdy szła, w jej kroku było coś męskiego. Podała mi rękę i uśmiechając się i pokazując poczerwiałe zęby powiedziała niemiecką angielszczyzną, że mnie wita w swym domu.

– To jest moja córka Hatsy – oznajmiła. – Zaprowadzi panią na górę do pokoju.

Hatsy wzięła mnie za rękę, jak gdybym była dzieckiem, które trzeba prowadzić. Wspierałam się na nią na górę po schodach stromych jak drabina i oto znalazłyśmy się na poddaszu w pokoiku Luizy z pochyłymi ścianami. Tak, spadzisty sufit był zabarwiony tymi wszystkimi kolorami, o których mówiła. W kącie leżał stos groszowych powieści. Przynajmniej raz Luiza nie przesadziła i pokój wydał mi się przytulny i znajomy, jakbym go już kiedyś widziała.

– Matka mówi, że moglibyśmy pani dać lepszy pokój na dole – oznajmiła Hatsy swoją miękko, zamazaną angielszczyzną – ale ona napisała w liście, że pani będzie ten wolała.

Zapewniłam ją, że istotnie tak wolę. Zeszła wtedy po stromych schodkach w dół, a jej brat wszedł na górę, jak gdyby się wspinał na drzewo, trzymając kufer na głowie i walizkę w prawej ręce, a ponieważ idąc pomagał sobie lewą ręką, nie mogłam pojąć, dlaczego kufer nie spada z wielkim łoskotem na dół. Chciałam mu pomóc, ale bałam się, że go obrażę, bo zauważyłam już przedtem, z jaką swobodą i fasonem ciskał moim bagażem na wszystkie strony – siłacz w popisowym numerze przed widownią składającą się z cherlaków. Postawił swoje brzemię na podłodze i wyprostował się, poruszając ramionami i posapując bardzo nieznacznie. Podziękowałam mu, a on zsunął czapkę do tyłu i naciągnął ją z powrotem na czoło, co uznałam za pewnego rodzaju uprzejmą odpowiedź, po czym zbiegł na dół z potężnym tupotem. Kiedy w kilka minut później wyjrzałam przez okno, zobaczyłam go idącego przez pola z latarnią i dużymi stalowymi siidłami.

Zaczęłam zmieniać mój pierwszy list do Luizy. „Spodoba mi się tu. Nie bardzo wiem dlaczego, ale będzie dobrze. Może później potrafię Ci to wytłumaczyć”...

Dźwięk niemieckiej mowy na dole był częścią tej miłej atmosfery, bo ci ludzie nie mówili do mnie i nie oczekiwali ode mnie odpowiedzi. Moja

znajomość niemieczyny ograniczała się wówczas do pięciu wyuczonych na pamięć potwornie sentymentalnych pieśni Heinego; a ta mowa była zupełnie inna, *platdeutsch* skażony przez trzy pokolenia mieszkające w obcym kraju. Kilkanaście mil stąd, tam gdzie Teksas stapia się z Luizjaną, na gnijących bagnach, które zasilają leniwą, niosącą rozkład wodą podskórną korzenie cedrów i sosen, kolonia francuskich emigrantów przeżyła dwieście lat na obczyźnie – może nie całkiem nieskażona, ale mistycznie wierna aż do grobowej deski, z uporem posługująca się swoją starą francuszczyzną, która w równym stopniu była obca Francuzom jak Anglikom. Poznałam wiele tych rodzin pewnego długiego 1 mile wspomnianego lata i teraz znowu, słuchając innej mowy, która była znana jedynie tej małej chłopskiej społeczności, zrozumiałam, że jestem w domu wiecznych wygnańców. Byli to silni, praktyczni, wytrwali, pazerni na ziemię niemieccy chłopci, którzy wszędzie, gdzie się znaleźli, wbijali swe kilofy głęboko i dzierżyli je mocno, bo życie i ziemia były dla nich czymś nierozłącznym; ale nigdzie i w żaden sposób nie mylili narodowości z miejscem zamieszkania.

Podobały mi się te głębokie, ciepłe głosy i byłam rada, że nie muszę rozumieć, o czym mówią. Uwielbiałam tę ciszę, która uwalnia od nacisku innych umysłów, innych opinii, innych uczuć, która daje prawo do zagłębienia się w siebie i dotarcia do własnego wnętrza, żeby się dowiedzieć znowu, bo za każdym razem odkrywam to na nowo, kim jest ten ktoś, kto ostatecznie mną rządzi, kto podejmuje wszystkie decyzje (bez względu na to, komu się zdaje, że jest ich autorem, choćby mnie); kto po trochu, stopniowo, zabiera wszystko prócz tej jednej jedynej rzeczy, bez której nie mogę żyć, i kto powie pewnego dnia: „Jestem wszystkim, co ci zostało, przyjmij mnie teraz”. Wsłuchiwałam się często w ten stłumiony, nie znany mi język, który był dla mnie ciszą bogatą w muzykę; mógł mnie wzruszać i rozczulać, ale mi nie przeszkadzał, jak rechotanie żab czy

szum wiatru w drzewach.

Pomyślałam, że kiedy surmia przed moim oknem wypuści liście, zasłoni mi widok stajen i obór, i pól za nimi. Kiedy obsypie się kwiatem, gałęzie będą niemal wchodziły do pokoju. Ale teraz były cieniutką zasłoną, przez którą widziałam cielęta całe w białych i brązowych łatach, poruszające się wdzięcznie na tle wilgotnej od deszczu ciemności szop. Brązowe pola wkrótce znów będą zielone; owce obmyte deszczami będą znów czysto szare. Teraz całe piękno krajobrazu tkwiło w harmonijnym układzie doliny, schodzącej faliście ku krawędzi lasu. Były to okolice położone w głębi kraju, o samotnym wyglądzie wszystkich rzeczy niekochanych; zima w tej części południa jest tylko chorobliwą śpiączką, nie owym północnym snem śmierci, po którym zawsze następuje zmartwychwstanie. Ale na moim Południu, w moim ukochanym i nigdy nie zapomnianym kraju, ziemia po długiej chorobie – poruszywszy się tylko leciutko, otworzywszy oczy między jednym a drugim oddechem, między nocą a dniem – powstaje do życia i wybucha obfitością wiosny, owocami i kwiatami jednocześnie – jednocześnie wiosna i lato pod gorącym, migotliwym żarem błękitnego nieba.

Orzeźwiający wiatr zapowiadał na wieczór następny spokojny deszczyk. Głosy na dole rozpraszały się, znów nabierały mocy, wołały każdy oddzielnie z podwórza i zabudowań. Stara kobieta szła energicznie ścieżką w kierunku obór, Hatsy biegła za nią. Kobieta miała przerzucone lekko przez ramiona drewniane nosidła, z konwiami na mleko zamkniętymi i spiętymi żelazną klamrą, a jej córka niosła dwa cynowe wiadra. Gdy Hatsy otworzyła cedrową bramę prowadzącą na pastwisko, krowy weszły tłocząc się i mucząc, a cielaki, z otwartymi, wyciągniętymi pyszczkami, podbiegały każdy do swojej matki. No i potem, gdy głodne dzieci otrzymały już swój skąpy przydział, wybuchła bitwa, żeby je oddzielić od matek. Stara kobieta biła cielaki otwartą dłonią po małych zadach, Hatsy

ciągnęła je za kantary ślizgając „się w błocie na rozstawionych nogach, krowy porykiwały i potrząsały rogami, cielaki piszczały jak zbuntowane dzieci. Długie, żółte warkoczce Hatsy śmigwały wokół jej głowy, śmiech dziewczyny był piskliwą smugą wesołości płynącą nad gniewnymi porykiwaniami krów i ochrypłym głosem starej. Z ganku kuchennego na dole dotarł plusk wody, skrzywienie pompy i ciężkie stąpania mężczyzn. Siedziałam w oknie i przyglądałam się z wolna zapadającej nocy, gdy w dole zapalano kolejno lampy. Moja mała lampka miała uszko na zbiorniku z naftą, jak uszko filiżanki. W pokoju była też latarnia z matowym szkłem, wisiała na gwoździu wbitym w drzwi. U stóp schodów rozległo się wołanie i spojrzałam w twarz młodej, śniadej i płowowłosej kobiety w zaawansowanej ciąży, przyciskającej do biodra może rocznego, pulchnego chłopaczka; jedną ręką przytrzymywała dziecko, drugą miała wysoko podniesioną, latarnia rzucała więc światło na ich włosy. – Kolacja jest gotowa – powiedziała i stała czekając, aż zejde.

, W dużym, kwadratowym pokoju cała rodzina zbierała się przy długim stole przykrytym obrusem w czerwonej kratę, z kopiaistymi półmiskami dymiącego jadła. Kulawa i bardzo zdeformowana służąca wносиła dzbanki z mlekiem. Głowę miała tak pochyloną, że prawie nie było widać twarzy, a całe ciało wydawało się okaleczałe w jakiś przykry, tajemniczy sposób; pomyślałam, że jest to zapewne schorzenie wrodzone, chociaż dziewczyna wydawała się silna i wytrzymała. Jej sękaty dłonie dygotały bezustannie, głowa kiwała się w takt ruchu łokci. Kaleka biegła niepewnie dokoła stołu rozstawiając talerze, wymijając tych, którzy stali w przejściu; nikt nie schodził jej z drogi, nikt się do niej nie odzywał, nikt na nią nie spozrzał, kiedy zniknęła w kuchni.

Teraz mężczyźni podeszli do krzeseł. Ojciec Müller zajął swoje patriarchalne, główne miejsce przy stole, matka Müller majaczyła za nim jak ogromny, ciemny głaz. Młodszy mężczyźni usiedli rzędem po jednej

stronie stołu, przy czym za krzesłami żonatych stanęły żony, żeby im usługiwać, bo chociaż żyli w tym kraju od trzech pokoleń, nie nauczyło ich to wstydzić się samych siebie i nie naruszyło ich starodawnych obyczajów. Zanim dwaj zięciowie i trzej synowie zaczęli jeść, spuścili rękawy koszul. Ich twarze błyszcząły od niedawnego szorowania, kołnierzyki koszul otwartych przy szyi były wilgotne.

Matka Müller wskazała na mnie, potem machnęła ręką w kierunku członków swojej rodziny i szybko wymieniła ich imiona. Byłam osobą obcą i gościem, więc posadzono mnie obok mężczyzn, a Hatsy, jedyna niezamężna córka, której prawdziwe imię brzmiało Hulda, siedziała po stronie stołu przeznaczony dla dzieci, karmiąc je i pilnując między nimi porządku. Dzieci było pięcioro – nie licząc tego, które siedziało okrakiem na biodrze matki stojącej za krzesłem ojca – w wieku od lat dwóch do dziesięciu, a należały do obu zamężnych córek. Dzieci objadały się i opychały, sięgały do cukierniczki i posypywały dosłownie wszystko cukrem, były uroczyście przejęte jedzeniem i nie zwracały uwagi na Hatsy, która szamotała się z nimi prawie tak energicznie jak z cielakami i sama niewiele jadła. Miała lat ze siedemnaście, była blada i chuda, a jej jedwabiste, piękne włosy koloru żółtego masła, o jaśniejszych i ciemniejszych smugach, prawdziwe włosy niemieckiej wieśniaczki, jeszcze podkreślały jej kruchość. Ale dzieliła z innymi członkami rodziny kościstą budowę, ogromną energię i zwierzęcą siłę, która zdawała się być czymś materialnym w tym pokoju; a widząc bladoniebieskie, głęboko osadzone, gniewne oczy ojca Müllera i jego wystające kości policzkowe łatwo było wyśledzić podobieństwo rodzinne przy tym stole: nie ulegało wątpliwości, że biedna matka Müller nie miała ani jednego dziecka ciemnowłosego, ciemnookiego, jak Niemcy z południa. To prawda, urodziła je, ale to wszystko; należały do ojca. Nawet śniada Gretchen spodziewająca się następnego dziecka, najwyraźniej ulubienica rodziny

– nawet Gretchen z tym swoim sprytnym, wesołym zachowaniem małej rozpieszczonej dziewczynki i zadowoloną miną leniwego, zdrowego młodego zwierzęcia, które zaraz ziewnie – miała włosy jak żółta ciążutka i takie same jak reszta czyste, skośne oczy. Stała teraz opierając ciężar małego synka o poręcz krzesła, na którym siedział mąż, i sięgała lewą ręką ponad jego ramieniem dokładając mu od czasu do czasu jedzenia na talerz.

Annetje, najstarsza córka, trzymała swoje niemowlę w chustce na plecach, gdzie śliniło się zadowolone, gdy tymczasem ona nakładała mężowi jedzenie z półmisek i salatek. Ilekroć spotykały się ich spojrzenia, uśmiechali się do siebie z łagodną, powściągliwą serdecznością w oczach, uśmiechem długiej i wypróbowanej przyjaźni.

Ojciec Müller wcale nie był za tym, żeby jego dzieci żeniąc się czy wychodząc za mąż opuszczały dom. Niech się żenią i wychodzą za mąż, czemu nie; czy jednak musi tracić przez to córkę lub syna? Zawsze mógł znaleźć pracę i miejsce w domu dla mężów córek, a z czasem znajdzie też dla synowych. Niedawno dobudowano nowy pokój, po stronie północnej, wyjaśniła Annetje pochylając się nad głową męża i mówiąc przez stół, pokój dla Hatsy, jak wyjdzie za mąż. Hatsy zarumieniła się bardzo ładnie i przytknęła twarz niemal do talerza, ale zaraz śmiało podniosła głowę i oznajmiła: – A właśnie, niedługo wychodzę za mąż! – Roześmieli się wszyscy z wyjątkiem matki Müller, która powiedziała po niemiecku, że dziewczęta same nie wiedzą, jak im jest w domu dobrze – nie, koniecznie muszą sobie sprowadzać mężów. Ta uwaga nie zrobiła chyba nikomu przykrości, a Gretchen powiedziała, że się cieszy, bo będą na ślubie. Te słowa przypomniały coś Annetje, która powiedziała po angielsku, zwracając się do całego stołu, że pastor ewangelicki poradził jej, żeby przychodziła częściej do kościoła i zapisała dzieci do szkoły niedzielnej, a wtedy Bóg pobłogosławi jej piąte dziecko. Policzyłam znowu, no i

naturalnie, razem z nie narodzonym jeszcze maleństwem Gretchen, było przy stole ósmioro dzieci poniżej lat dziesięciu; w takim tłumie zawsze znajdzie się ktoś, komu będzie potrzebne błogosławieństwo. Ojciec Müller wygłosił do córki krótkie przemówienie po niemiecku, a następnie zwrócił się do mnie i powiedział:

– Mówiłem, że to czysta głupota chodzić do kościoła i płacić pastorowi uczciwą gotówką za to, że mówi takie brednie. Niech on mi zapłaci, żebym przyszedł i posłuchał, wtedy pójdę! – Nagle oczy zabłyśły mu wściekle ponad kwadratową brodą w siwe i żółte cętki, brodą wyrastającą prosto z kości policzkowych. – Może sobie myśli, że mój czas nic nie kosztuje? A to dobre! Niech mi zapłaci!

Matka Müller prychnęła i zaszurała nogami. – Ach, ty gadasz, ty gadasz! Pastor usłyszy i będzie zły. Co zrobimy, jak nie ochrzci dzieci?

– Daj mu pieniądze, to je zaraz ochrzcił – wrzasnął ojciec Müller. – Spróbuj, to się przekonasz.

– Co prawda, to prawda – przyznała matka Müller. – Ale lepiej, żeby nie usłyszał.

Rozgorzała gwałtowna rozmowa po niemiecku, której towarzyszyło głośne stukanie trzonkami noży w stół. Dałam za wygraną i nie starałam się zrozumieć, ale obserwowałam ich twarze. Brzmiało to jak walna bitwa, zaczęli jednak dochodzić do porozumienia w jakiejś sprawie. Byli zjednoczeni w swoim plemiennym sceptycyzmie, jak we wszystkim innym. Odniosłam nieodparte wrażenie, że wszyscy oni, nie wyłączając zięciów, są jedną istotą ludzką rozczłonkowaną na ileś tam oddzielnych powierzchowności. Kaleka służąca przyniosła nowe potrawy, zebrała talerze i odeszła swoim kuśtykającym truchcikiem; pomyślałam, że jest jedyną indywidualnością w tym domu. Nawet ja czułam się podzielona na wiele fragmentów, zostawiałam bowiem albo gubiłam część siebie w każdym miejscu, do którego jeździłam, w każdym życiu, z którym stykało

się moje życie, a przede wszystkim w każdej śmierci osób bliskich, które zabrały ze sobą do grobu część moich żywych komórek. Ale służąca była jednolita i nie miała swojego miejsca.

Włączyłam się bez większego trudu w marginesowy nurt obyczajów i nawyków rodziny. Dzień u Müllerów zaczynał się wcześniej, śniadanie jedliśmy przy żółtym świetle lampy; przez otwarte okna wpadał szary, wilgotny wiatr, wiejący z wiosenną łagodnością. Mężczyźni połykali ostatnie łyki dymiącej kawy już na stojąco, w kapeluszach, i o świcie wychodzili zaprzęgać konie do pługów. Annetje z tłustym niemowlęciem przewieszonym przez ramię zamiatła jedną ręką któryś z pokoi albo ścieliła łóżko, kończąc tę pracę, zanim dzień zaczął się na dobre; resztę dnia spędzała w objęciu na doглядaniu kur i świń. Od czasu do czasu przychodziła z płaskim pudełkiem nowo wyklutych kurcząt, tych żalonych kulek wilgotnego puchu, i stawiała je na stole w swojej sypialni, gdzie mogła opiekować się nimi tego pierwszego dnia. Matka Müller stąpała wielkimi krokami i rzucała rozkazy na lewo i prawo, gdy tymczasem ojciec Müller, przyglądziwszy bokobrody, z zapaloną fajką odjeżdżał do miasteczka ścigany ostatnimi dyspozycjami i wskazówkami żony. Nigdy się do niej nie odzywał i miałam wrażenie, że nie słucha, ale wracał zawsze po kilku godzinach załatwiwszy dokładnie wszystkie polecenia i sprawunki. Słałam łóżko, sprzątałam poddasze, a ponieważ nie miałam nic więcej do roboty, wychodziłam z tej entuzjastycznej krzątania na drogę czując się w najwyższym stopniu bezużyteczna. Ale spokój, niemal mistyczny bezwład ich umysłów pośród tego krwistego życia, udzielał mi się już po trochu, wchłaniałam go więc z wdzięcznością, w milczeniu, czując, jak wszystkie ukryte, kurczowo zaciśnięte, bolesne miejsca w mojej duszy zaczynają się rozprężyć. Oddech miałam swobodniejszy

i gdybym chciała, mogłabym się nawet rozpląkać. Po kilku zaledwie dniach nie miałam już ochoty na płacz.

Któregoś ranka zobaczyłam, jak Hatsy przekopuje ogród warzywny za kuchnią; moja propozycja, że pomogę jej sypać nasiona i przykrywać je ziemią, została przyjęta. Pracowałyśmy tak co dzień rano przez kilka godzin, dopóki słońce i ciągle schyłanie się nie przyprawiły mnie o miły zawrót głowy. Przestałam liczyć dni, jeden był podobny do drugiego, tyle tylko, że zmieniały się barwy powietrza, nabierając żywości i głębi, żeby dotrzymać kroku nadchodzącej wiosnie, a ziemia pod nogami stawała się jednieszka od nabrzmiewającej płataniny słoczonych korzeni.

Dzieci, tak wygłodniałe i hałaśliwe przy stole, były spokojnymi małymi istotkami, które cicho i w skupieniu bawiły się na podwórzu przed domem. Wygniatały błoto i formowały bochenki chleba, kazały swoim zniszczonym lalkom i szmacianym zwierzątkom uczestniczyć w czynnościach życia domowego. Karmiły je, kładły do łóżek; budziły je i znowu karmiły, przydzielały im rozmaite zajęcia domowe, znowu wyrabiały chleb. Albo zaprzęgały się do swoich wózków i galopowały pod ogromny, cienisty kasztan za domem. Drzewo zmieniało się teraz w Turnverein, a one same były znowu ludźmi, uroczyście kołyszącymi się w tańcu i udającymi, że piją piwo. Potem dzieci zmienione znów cudownym sposobem w konie zaprzęgały się do wózków i galopowały przed dom. Gdy je wołano, bo nadeszła pora jedzenia czy spania, zjawiały się natychmiast, z potulnością swoich lalek czy zwierząt towarzyszących im w zabawach. Matki odnosiły się do nich z instynktowną, niezmienną łagodnością; nigdy nie wydawały się nimi zniecierpliwione. Były im tak oddane i tak opiekuńcze, jak kotka w stosunku do swoich małych.

Niekiedy brałam do wózka przedostatnie dziecko Annetje, dwuletnią dziewczynkę, i wiozłam ją przez sad, gdzie gałęzie wypuszczały wodnistozielone stożki pąków, i dalej kawałek drogą. Potem skręcałam

na węższą ścieżkę, gładszą, bo mniej rozjeżdżoną, i szłam teraz powoli między rzędami drzew morwowych, na których owoce zwieszały się już i zwijały jak zielone, włochate gąsienice. Dziewczynka siedziała niczym pokaźny kopczyk flaneli i perkalu, jej bladoniebieskie oczy pod kapturkiem były skośne i błyszczące, dwa dolne zęby pokazywały się w rozanielonym uśmiechu. Czasem szła za nami grzecznie reszta dzieci. Kiedy zawracałam, wszystkie zawracały bez protestu i szliśmy z powrotem na farmę krokiem równie statecznym, jak kiedy wyruszyliśmy na spacer.

Wąska ścieżka prowadząca, jak się przekonałam, nad rzekę, była moim ulubionym miejscem przechadzek. Niemal co dzień szłam brzegiem lasu pochłonięta pasją wypatrywania oznak wiosny. Zmiany tu były tak niedostrzegalne i tak stopniowe, że jednego dnia zarówno gałązki wierzb, jak i pędy jeżyn były pokryte maleńkimi zielonymi punkcikami; kolor ten zmienił się w ciągu nocy, albo tak mi się zdawało, i wiedziałam, że nazajutrz cała dolina i las, i brzegi rzeki ożywią się puchem złotawej zieleni powiewającej na wietrze.

I tak było. Tego dnia zostałam nad rzeką aż do zmroku i wracałam przez bagniska słysząc nad głową wrzask puchaczy i kozodoi, wołających w lesie tak dziwnym, załamującym się chórem, że najdalsze odpowiadające im krzyki były jak upiorne echo. Weszłam w sad i zobaczyłam, że drzewa zakwitły robaczkami świętojańskimi. Przystanąłam i patrzałam długo, a potem odeszłam powoli, zdumiona, bo nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie pięknego. Drzewa dopiero co zakwitły bladymi kwiatami, gałęzie były nieruchome w rzadkim mroku, ale kiście kwiatów drżały w bezgłośnym tańcu delikatnie utkanego światła, wirującego tak lekko, jak liście w powiewach wietrzyka, tak rytmicznie jak woda w fontannie. Każde drzewo było obsypane kwiatem tego żyjącego, pulsującego ognia, łamliwego i chłodnego jak bańki mydlane. Gdy otwierałam furtkę, blask

łśnił na mojej ręce jak fosforyzujące próchno. Gdy się obróciłam, sad migotał złościście, nie było to przywidzenie.

W jadalni zastałam Hatsy, na klęczkach myła podłogę grubymi, ciemnymi szmatami. Zawsze myła podłogę wieczorem, żeby nie zadeptywali jej mężczyźni w swoich ciężkich buciorach; dzięki temu białe deski były rano nieskazitelnie czyste. Obróciła do mnie otępiąłą ze zmoczenia, młodą twarz.

– Otilie! Otilie! – zawołała głośno, i zanim zdążyłam otworzyć usta, powiedziała: – Otilie da pani kolację. Wszystko jest gotowe, czeka.

Usiłowałam jej wytłumaczyć, że nie jestem głodna, ale ona uznała, że musi rozproszyć moje obawy.

– Proszę pani, wszyscy musimy jeść. O takiej czy innej porze. To naprawdę żaden kłopot.

Przysiadła na piętach i podnosząc głowę wyjrzała ponad parapetem na sad. Uśmiechnęła się, patrzyła chwilę i w końcu powiedziała radośnie:

– Przyszła już wiosna. Jest tak co roku. – Pochyliła się znów nad wiadrem i ścierkami.

Weszła ułomna służąca potykając się niebezpiecznie na śliskiej podłodze i postawiła przede mną talerz kielbasy z soczewicą i czerwoną kapustą. Jedzenie było gorące i apetyczne i naprawdę poczułam wdzięczność, bo okazało się, że mimo wszystko jestem głodna. A więc ma na imię Otilie... Patrząc na nią powiedziałam: – Dziękuję. – Ona nie mówi – wyjaśniła Hatsy, stwierdzając po prostu fakt, który nie wymagał specjalnego podkreślenia. Śniada twarz o zamazanych rysach nie była ani młoda, ani stara, ale cała pocięta krzyżującymi się zmarszczkami, które nie miały nic wspólnego z wiekiem czy cierpieniem; były to po prostu zmarszczki, pociemniałe, chaotyczne załamania, jak gdyby to delikatne ciało zmięła twarda, okrutna dłoń. Ale w tej okaleczanej twarzy zobaczyłam wystające kości policzkowe, skośne, bladoniebieskie oczy

o źrenicach rozszerzonych i napiętych z wysiłku, jakby oczy osoby spoglądającej w ciemność pełną niebezpieczeństw. Obracając się Otilie wpadła na stół – pochylone plecy dygotały jej od bezustannego ruchu wysłanych ramion – i uciekła do kuchni w bezcelowym pośpiechu, jakby ją gnała jakaś siła.

Hatsy przysiadła znów na piętach, ruchem głowy odrzuciła warkocze na plecy i powiedziała:

– Ma na imię Otilie. Ona nie jest teraz chora. Zrobiło się tak z nią, odkąd zachorowała jako małe dziecko. Ale może pracować nie gorzej ode mnie. Gotuje. Tylko nie mówi tak, żeby ją można było zrozumieć.

Uklękła, schyliła się i z nową energią zaczęła szorować podłogę. Była jednym splotem cienkich, napiętych więzadeł i długich mięśni, elastycznych jak druty stalowe. Zawsze będzie pracowała za ciężko i całe życie będzie zmęczona, i zawsze będzie uważała, że to jest najzupełniej naturalne; wszyscy pracują całe życie, bo jak skończą jedną robotę, zawsze jest inna, która na nich czeka. Zjadłam, zaniosłam talerz do kuchni i postawiłam na stole. Otilie siedziała na krześle kuchennym trzymając stopy w otwartym piekarniku; ramiona miała splecione, głowa kiwała jej się leciutko. Nie spostrzegła mnie ani nie usłyszała.

W domu Hatsy chodziła w starej sukni z brązowego sztruksu i kaloszach na bosych stopach. Spódnicę miała dość krótką, widać więc było jej cienkie nogi, odrobinę krzywe pod kolanami, jak gdyby zaczęła chodzić za wcześnie. – Hatsy to dobra, pracowita dziewczyna – powiedziała matka Müller, której pochwały nie przychodziły łatwo. W sobotę Hatsy brała szczodłą kąpiel w ogromnej balii stojącej w komórce za kuchnią, gdzie przechowywano też zapasowe nocniki, dzbanki na wodę i kubły. Następnie rozplatała żółte warkocze i przewiązywała jedwabistą, falującą

masę włosów Wiankiem ze sztucznych różyczek, wkładała jasnoniebieską krepedszynową suknię i szła do Turnverein na kufelek ciemnego piwa i tańce z narzeczonym, który tak był podobny do jej braci, jakby byli rodzeństwem, chociaż chyba nikt poza mną tego nie zauważył, a ja nie powiedziałam ani słowa, bo byłaby to uwaga osoby obcej spoza ich kręgu. W niedzielę cała rodzina – po obfitym polewaniu się wodą, odziewaniu w wykrochmalone suknie i koszule i załadowaniu koszyków z jedzeniem na wozy – jechała do Turnverein. Otilie, służąca, wybiegała, żeby ich odprowadzić, stała ze splecionymi, dygocącymi ramionami nad głową i osłaniała sobie zatroskane oczy, dopóki nie zniknęli za zakrętem. Jej niemota wydawała się prawie absolutna; Otilie nie stworzyła sobie też jakiegoś logicznie zwartego języka znaków. A jednak trzy razy dziennie zastawiała ogromny stół pożywym jedzeniem, świeżo upieczonymi bochnami chleba, ogromnymi michami jarzyn, potężnymi pieczeniami, szaleństwem tortów, strudli, ciast – tyle, ile było potrzeba dla dwudziestu osób. Gdy w jakieś świąteczne popołudnie wpadli sąsiedzi, Otilie potykając się wchodziła do bawialni, dużego pokoju od północy, gdzie stała fisharmonia ze złocistego dębu, leżał przeraźliwie zielony tani dywan, wisiały febryczne koronkowe firanki, oparcia foteli były pokryte szydełkowymi serwetkami, i wносиła kawę ze śmietanką i cukrem i grube kawały żółtego placka.

Matka Müller rzadko siadywała w bawialni a jeśli siadała, to z miną sztywną i zakłopotaną, trzymając duże, sękaty palce mocno zaciśnięte, Ale ojciec Müller często spędzał wieczory w tym obszernym pomieszczeniu, gdzie nikt nie ośmieliłby się wejść bez wyraźnego polecenia; czasem grywał w szachy ze starszym zięciem, który przekonawszy się, że teść jest dobrym graczem i że nie lubi wygrywać zbyt łatwo, stawiał najzacieklejszy opór, na jaki go było stać; jeśli mimo to ojciec Müller uznał, że wygrywa zbyt często, zaczynał wrzeszczeć:

– Nie, wcale się nie starasz! Nie dajesz ze siebie wszystkiego! Skończmy z tą bzdurą! – I odprawiony w ten sposób zięć popadał w chwilową niełaskę.

Przeważnie jednak ojciec Müller przebywał w bawialni sam czytając „Kapitał”. Rozsiadał się w głębokim fotelu na biegunach, obitym czerwonym pluszem, i kładł książkę na niskim stoliku przed sobą. Było to wczesne wydanie upstrzone rozmazanym czarnym gotykiem, postrzępione i poplamione między skórzanymi okładkami, o wypadających stronicach – istna biblia. Znał całe rozdziały prawie na pamięć i ani nic nie dodawał, ani nic nie ujmował z kanonicznego, raz na zawsze wygłoszonego tekstu. Nie mogę powiedzieć, że nie słyszałam jeszcze wtedy o „Kapitale”, z pewnością jednak nie znałam nikogo, kto by przeczytał to dzieło, a jeśli mówiono o nim w mojej obecności, to zawsze z najgłębszą dezaprobatą. Nie była to książka, którą należało przeczytać, żeby móc się z nią nie zgodzić. I oto ten godny szacunku stary farmer przyjmował jej dogmat jak religię – to znaczy, jej legendarne, niemożliwe do zastosowania nauki były sprawiedliwe, słuszne, właściwe, trzeba w nie naturalnie wierzyć, ale życie, powszednie życie, to sprawa inna, nie mająca z nimi nic wspólnego. Ojciec Müller był najbogatszy w sąsiedztwie i prawie wszyscy farmerzy z okolicy dzierżawili od niego ziemię, a niektórzy z nich uprawiali ją na zasadzie udziału w plonach. Wyjaśnił mi to wszystko któregoś wieczoru, gdy już zrezygnował z nauczania mnie gry w szachy. Nie był wcale zdziwiony, że nie mogę się nauczyć, a w każdym razie nie na jednej lekcji, i nie był zdziwiony, że nie wiem nic o „Kapitale”. A oto, jak mi wytłumaczył swój własny system:

– Ci ludzie sami nie mogą kupować ziemi. A ziemię trzeba kupować, bo kapitał posiada ziemię i kapitał nie odda robotnikom ziemi, która do nich należy. No cóż, tak się dzieje, że ja zawsze mogę kupić ziemię. Dlaczego? Sam nie Wiem. Wiem tylko, że z mojego pierwszego kawałka

gruntu zebrałem dobre plony i mogłem kupić więcej gruntu, więc go wydzierzałem tanio, taniej niż kto bądź inny, i pożyczam pieniądze moim sąsiadom, żeby nie wpadli w łapska banku, z czego wynika, że sam nie jestem kapitałem. Z czasem ci robotnicy będą mogli kupić ziemię ode mnie, taniej niż od innych. No i to wszystko, co mogę dla nich zrobić.

Przewrócił stronicę, łypnął na mnie rozszluszczonymi oczami spod krzaczastych brwi.

– Zdobywam ziemię ciężką pracą i wydzierzam ją tanio sąsiadom, a potem oni mówią, że nie wybiorą mego zięcia, męża Annetje, na szeryfa, bo jestem ateistą. To ja im na to, zgoda, ale w przyszłym roku zapłacicie więcej za ziemię albo dacie mi większą część zbiorów. Jak jestem ateistą, będę postępował jak ateista. No, to wybrali męża Annetje na szeryfa, to wszystko.

Przytknął gruby, szeroki palec do wiersza na stronicy i zaznaczywszy w ten sposób miejsce, od którego ma zacząć czytać, zagłębił się w lekturze, a ja wyszłam cicho nie powiedziawszy mu dobranoc.

Turnverein był ośmiokątnym pawilonem stojącym na wykarczowanej polanie w lesku należącym do ojca Müllera. Kolonia niemiecka schodziła się tu, żeby posiedzieć w cienistym chłodzie, gdy tymczasem mała orkiestra dęta grała skoczne tańce ludowe. Dziewczęta tańczyły z zapałem i zwinnie, ich nakrochmalone halki szeleściły jak zeschnięte liście. Chłopcy byli mniej zręczni, ale pełni dobrych chęci; chwyтали partnerki w talii i pozostawiali zmięte wilgotne plamy na ich sukniach. Matka Müller odpoczywała tu po tygodniu ciężkiej pracy. Jej chude członki odprężały się, roztawiała szeroko kolana i popijając piwo plotkowała ze swymi rówieśnicami. Kobiety rzucały od czasu do czasu opiekuńcze spojrzenia na dzieci bawiące się opodal, dzięki czemu młode matki mogły albo

tańczyć, albo spokojnie rozmawiać z przyjaciółmi.

Z drugiej strony pawilonu ojciec Müller siedział w gronie stateczniejszych mężczyzn; ich długie, wygięte fajki kołysały się na wysokości piersi, gdy z głęboką powagą omawiali sprawy miejscowej polityki, przy czym bystra, przyziemna nieufność do wszystkich osobiście im nie znanych ludzi na urzędach, do wszystkich planów politycznych z wyjątkiem tych, w których bezpośrednio uczestniczyli, tylko w nieznacznym stopniu miarkowała ich chłopski fatalizm. Gdy ojciec Müller przemawiał, inni słuchali go z szacunkiem, ufali mu jako człowiekowi silnemu, głowie własnego rodu i własnej społeczności. Kiwali z wolną głowami, ilekroć wyjmował cybuch z ust i gestykulował, trzymając główką fajki w taki sposób, jakby to był kamień, który za chwilę ciśnie. Gdy wracaliśmy któregoś wieczora z Turnverein, matka Müller powiedziała mi:

– No więc, Bogu dzięki, wszystko jest ułożone między Hatsy i jej chłopakiem. Za tydzień o tej porze ślub.

Wszyscy, którzy spędzali niedziele w Turnverein, przybyli do domu Müllerów na ślub. Przynieśli praktyczne prezenty, przeważnie bieliznę pościelową, poszewki, białą kapę na łóżko i kilka ozdób do sypialni nowożeńców – domowej roboty barwny dywanik, mosiężną lampę naftową z różowym kloszem w czerwone różyczki, fajansową miednicą i dzbanek na wodę, też w czerwone różyczki; a pan młody ofiarował oblubienicy naszyjnik, dwa sznurki czerwonych koralu. Zanim się ceremonia zaczęła, włożył jej naszyjnik drżącymi rękami przez głowę. Uśmiechnęła się do niego słabo i pomogła mu uwolnić krótki welonik z koralu, po czym wzięli się za ręce i zwrócili twarzami do pastora; nie rozplekli dłoni, aż przyszła pora wymiany obrączek – z całą pewnością najszerszych, najgrubszych i najczerwieńszych złotych obrączek, jakie były do kupienia – w tym zaś momencie przestali się uśmiechać

i odrobiną zbledli. Pan młody pierwszy odzyskał panowanie, schylił się – był od niej znacznie wyższy – i pocałował ją w czoło. Oczy miał ciemnoniebieskie, a włosy jasnoorzechowe, wcale nie tak płowe jak włosy Müllerów, przystojny i delikatny chłopiec, doszłam do wniosku, a patrzył na Hatsy takim wzrokiem, jakby mu się jej widok bardzo podobał. Złączyli dłonie do ostatniej modlitwy, a potem wstali razem i wymienili pocałunek nowożeńców, bardzo niewinny, powściągliwy, wciąż omijając usta, Potem wszyscy do nich podchodzili i ściskali im ręce, mężczyźni kolejno całowali pannę młodą, a kobiety pana młodego. Jedna z kobiet szepnęła coś Hatsy do ucha i całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem, wszyscy z wyjątkiem Hatsy, która zaczerwieniła się od szyi po czoło. Następnie szepnęła coś mężowi, który skinął głową przyzwalająco, i usiłowała wymknąć się niepostrzeżenie, ale czujne dziewczęta dostrzegły jej manewr i niebawem zobaczyliśmy, jak Hatsy biegnie przez kwitnący sad unosząc białą, obszywaną falbanami suknię, a za nią pędzą dziewczęta wrzeszcząc i nawołując się jak podnieceni myśliwi, ta bowiem, która ją pierwsza doścignie i dotknie, miała zostać następną panną młodą. Wróciły zdyszane ciągnąc za sobą zwyciężczynię i mimo jej ekstatycznego oporu trzymały ją, gdy tymczasem wszyscy młodzi chłopcy kolejno ją całowali.

Goście zasiedli do potężnej kolacji. Weszła Otilie z kropelkami potu w zmarszczkach na czole i dokoła bezkształtnych ust, przepasana nowym niebieskim fartuchem, i zaczęła podawać półmiski. Najpierw posilili się mężczyźni, potem Hatsy zasiadła pierwszy raz między zamężnymi kobietami, wciąż w małym welonie z bawełnianego tiulu, przysypanym kwiatami brzoskwini, strąconymi w czasie weselnej gonitwy. Po kolacji jedna z dziewcząt grała na fisharmonii walce i polki i wszyscy tańczyli. Pan młody napełniał piwem kufle z beczułki stojącej w sieni; o dwunastej goście odjechali pełni ciepłych uczuć i rozanieleni. Zeszłam z dzbankiem do kuchni po gorącą wodę. Otilie wciąż porządkowała, krążyła kuśtykając

między stołem a kredensem. Jej twarz była jak brązowa smuga niepokoju, w szeroko otwartych oczach malowało się oszołomienie. Pobrzękiwała garkami trzymając je w niepewnych rękach, a jednak nie wydawała się rzeczywista, związana w jakiś konkretny sposób z otaczającym ją życiem. Ale gdy postawiłam dzbanek na kominie, podniosła imbryk i nalała mi wrzątku nie uroniwszy ani kropli.

Czysta, miodowa zieleń nieba tuż po świcie była zwierciadłem barwnej ziemi. Na skraju lasu zakwitły powściągliwie białe i pastelowe drobne kwiatki. Każde drzewko brzoskwiniowe było teraz oddzielnym bukietem, białoróżowym i białym. Wysłałam z domu postanawiając dotrzeć na przełaj do dróżki wysadzonej morwami. Kobiety znajdowały się gdzieś w głębi domu, mężczyźni wyszli w pole, zwierzęta zostały wypuszczone na pastwiska i tylko Ottilie siedziała na stopniach ganku kuchennego i obierała kartofle. Rzuciła mi spojrzenie, które do mnie nie dotarło, zdawało się ogniskować na jakimś punkcie w pół drogi między nami, i nie zrobiła żadnego gestu. Nagle odłożyła nóż i wstała, jej usta otwierały się i zamykały, pochylona do mnie naprężyła mięśnie, przywołała mnie prawą ręką. Gdy podeszłam, zacisnęła dłoń na moim rękawie i przez chwilę bałam się, że usłyszę jej głos. Nie wydała żadnego dźwięku, ale pociągnęła mnie za sobą, pochłonięta jakimś swoim tajemniczym zamiarem. Otworzyła drzwi obskurnej, przepojonej gorzką wonią izdebki bez okna, do której prowadziło wejście z kuchni, obok komórki, gdzie Hatsy brała kąpiel. Nierówne, wąskie posłanie i komódka ze stojącym na wierzchu popękany lustrem zajmowały niemal całą wolną przestrzeń. Gdy wyciągnęła górną szufladę komódki i zaczęła przewracać w rupieciach, jej usta poruszały się, jakby usiłowała przemówić. Wyjęła jakąś fotografię i wetknęła mi ją w ręce. Było to wyblakłe, staroświeckie

zdjęcie, brudnożółte teraz, nalepione na tekturę o misternie przyciętych różkach i złoconych brzegach.

Zobaczyłam dziewczynkę może pięcioletnią – ładne, uśmiechnięte niemieckie dziecko, wyglądające, rzecz ciekawa, jak trochę starsza siostra dwuletniej córeczki Annetje, ubrane w sukienkę obszytą falbankami, z kolosalnym lokiem złotych włosów na czubku głowy. Silne nogi dziecka, pulchne jak kiełbaski, były obciążone białymi, prążkowanymi pończochami, prostokątne stopy tkwiły w staromodnych, sznurowanych bucikach na miękkiej podszewie. Przez moment Otilie przglądała się fotografii, a potem wykręciła szyję i zajrzała mi w twarz. Znowu zobaczyłam podłużne przezroczyście niebieskie oczy i wystające kości policzkowe Müllarów, zniekształcone, niemal zniszczone, ale rozpoznawalne. To ona była tym dzieckiem na fotografii, bez wątpienia starszą siostrą Annetje, Gretchen i Hatsy. Odgrywając natarczywą pantomimę dowodziła mi, że tak właśnie jest, głaskała fotografię, a potem siebie po twarzy, zdobywała się na straszliwy wysiłek, żeby przemówić. Wskazała na imię starannie wypisane na odwrocie, Otilie, i przytknęła do ust sękaty palec. Głowa kiwała jej się bezustannie, dygocząca ręka zdawała się wymachiwać do mnie w przyływie figlarnej wesołości. Ten kawałek tekturki łączył ją kiedyś, w jakiś sposób, ze znanym mi światem ludzi; na krótką chwilą nic cieńsza od pajęczyny rozpostarła się między tym żywym ośrodkiem w niej i we mnie, nic, która wiązała nas wszystkich z nieuniknionym wspólnym źródłem, tak że moje życie i jej życie były sobie pokrewne, były nawet wzajemnie swoimi częściami, i zniknęła nagle jej obcość, jej straszność. Wiedziała doskonale, że kiedyś była tą Otilie o silnych nogach i uważnym spojrzeniu i gdzieś w głębi nadal nią była. Przez chwilę była osobą żywą, wiedziała, że cierpi, bo stała i dygotała w napadzie bezgłośnego płaczu, ocierała łzy otwartą dłońią. A gdy policzki miała wilgotne, zmieniła się jej twarz. Spojrzenie rozjaśniło

się i zogniskowało na tym punkcie przestrzeni, który zdawał się skupiać w sobie wszystkie jej niewytłumaczone i straszne nieszczęścia. Jak gdyby usłyszała jakiś głos, obróciła głowę i wybiegła chwiejnym krokiem do kuchni, zostawiwszy szufladę otwartą i fotografię twarzą w dół na blacie komody.

Podczas obiadu weszła śpiesznie do jadalni rozpryskując kawę na białe deski podłogi, przywrócona swemu własnemu, tajemniczemu bytowaniu wśród wiecznego zdumienia, a ja znów byłam dla niej obcą istotą, jak cała reszta, chociaż ona nie była mi już obca i wiedziałam, że nigdy nie będzie.

Wszedł najmłodszy brat trzymając oposa schwytanego w sidła, wymachiwał puchatym ciałkiem, z oczami zmrużonymi od dumy pokazywał nam okaleczone zwierzątko.

– Nie, to jest okrutne w stosunku do dzikich zwierząt – powiedziała do mnie łagodnej Annetje – ale chłopcy lubią zabijać, lubią zadawać cierpienie. Żeby tylko biedny Kuno nie złapał się w sidła.

Pomyślałam, że Kuno, ta dzika, niesympatyczna bestia, dałby sobie prawdopodobnie radę z każdą pułapką. Annetje była wypełniona milczącymi, czułymi troskami. Małe kotki, szczeniaki, kurczęta, jagnięta znajdowały się pod jej specjalną opieką. Wynosząc wiadra mleka odstawionym od matek cielakom ona jedna spośród kobiet je pieściła. Dziecko zdawało się być tak bardzo jej częścią, jakby się jeszcze nie urodziło. A mimo to zapomniała, że Ottilie to jej siostra. Jak oni wszyscy. Przypomniałam sobie, że wymieniając imię Ottilie Hatsy nie powiedziała, że to siostra. Ich milczenie, zrozumiałam teraz, wynikało właśnie z tego. Zapomnieli. Poruszała się między nimi tak niewidoczna dla ich wyobraźni, jakby była zjawą. Ottilie, ich siostra, była czymś bardzo bolesnym, co się zdarzyło dawno i należało do przeszłości; nie mogli żyć z tym cieniem czy jego widocznym śladem – po prostu zapomnieli o niej w odruchu samoobrony. Ale ja nie mogłam zapomnieć. Dostała się do mojego

mózgu jak wodorost niesiony prądem i uwięzła tam, dryfująca na wodzie, lecz mocno zaczepiona, opierająca się nurtowi. Zaczęłam się nad tym zastanawiać. Co innego mogli ci Müllerowie zrobić z Otilie? Wypadek w dzieciństwie odebrał jej wszystko z wyjątkiem samego życia. Nie była to społeczność czy klasa rozpieszczająca swoich chorych i ułomnych. Póki człowiek żyje, musi robić to, co do niego należy. Tutaj jest jej miejsce, w tej rodzinie się urodziła i w tej rodzinie umrze. Czy cierpi? Nikt nie pytał, nikt nie próbował się dowiedzieć. Cierpienie jest częścią życia, cierpienie i praca. Dopóki człowiek żyje, dopóty pracuje – i żadnych skarg, bo nikt nie ma czasu ich wysłuchiwać i wszyscy mają własne zmartwienia. Więc co innego mogli zrobić z Otilie? Jeśli o mnie idzie, nie mogłam zrobić nic prócz złożenia sobie obietnicy, że też o niej zapomnę; i że mimo to będę o niej pamiętała do końca życia.

Siedziałam przy długim stole i obserwowałam Otilie krzątającą się hałaśliwie, w udreńczonym pośpiechu przynoszącą te nieprawdopodobne ilości jedzenia, które oznaczało trud całego jej życia. Moje myśli szły za nią do kuchni, gdzie widziałam ją, jak zagląda do ogromnych kipiących garnków, do ciasno zastawionych piekarników. Jej ciało było tylko narzędziem udreńki. I myśl – natrętna, jasna – wybijała się ponad wszystkie inne, jak gdyby ponaglając czas ku upragnionemu zdarzeniu: Niech się to stanie teraz, niech się to stanie teraz. Nawet nie jutro, dzisiaj. Oby usiadła spokojnie w swoim koślawym krześle obok komina, oby splotła te swoje ręce i obyśmy ją tak znaleźli, z głową na kolanach. Wtedy odpocznie. Czekałam łudząc się, że już więcej nie wejdzie, że już nigdy więcej nie wejdzie przez te drzwi, w które wpatrywałam się przestraszonym wzrokiem, jak gdybym miała w nich zobaczyć widok nie do zniesienia. No i potem wchodziła i w końcu była znów tylko Otilie na łonie swojej rodziny, jednym z jej najpożyteczniejszych i najsprawniej pracujących członków; a oni, posłuszni głębokiemu i mądrymu instynktowi, nauczyli

się żyć z tym jej nieszczęściem tak, jak ono – i ona – tego żądali; rodzina zaakceptowała, a potem zrobiła użytek z czegoś, co było jednym więcej bolesnym zdarzeniem w świecie pełnym zmartwień, nierzadko znacznie gorszych od tego. Śledziłam więc krok za krokiem Müllerów podpatrując najlepiej jak mogłam ich stosunek do Ottilie i sposób, w jaki wykorzystywali jej życie, bo z jakichś powodów, których nie umiałam sobie jasno wytłumaczyć, dopatrywałam się prawości i odwagi w tej ich wytrwałej niechęci do litowania się nad kimkolwiek, a już zwłaszcza nad sobą.

Któregoś wieczora, gdy padał miły i swojski deszcz, Gretchen urodziła dziecko, syna, urodziła je o bardzo dogodnym czasie między kolacją a porą spoczynku. Nazajutrz zjechały się kobiety z bliższej i dalszej okolicy i przerzucały między sobą dziecko, jak gdyby to był jakiś nowy rodzaj piłki do ćwiczeń zdrowotnych. Tak stateczne i nieśmiałe na zabawach, tak sentymentalne na ślubach, gdy przychodziło na świat dziecko, były skore do żartów, rubaszne. Ich rozmowa przy piwie i kawie stawała się swawolna, wesoła, gardłowe dźwięki ginęły w huraganach śmiechu; przez kilka godzin te zacne, zapracowane kobiety widziały życie jako śmieszny, kiepski żart – i dobrze im to robiło. Noworodek wrzeszczał i ssał, jakby był cielakiem, schodzili się mężczyźni i dorzucali swoje jowialne zdrożności.

Niepogoda zagnała ich do domu wcześniej, niż mieli zamiar wrócić. Całe niebo było zasnuwane przydymioną, szarą mgłą, zwisającą w poszarpanych wstęgach niczym sadze w kominie. W miarę jak Widnokrąg powoli czerwieniał, krawędzie lasu stawały się posepnie fioletowe, po czym barwa nagle zgasła i przez niebo przebiegło głębokie, rozdygotane dudnienie grzmotu. Müllerowie wkładali w pośpiechu gumowe buty i

ceratowe kombinezony, pokrzykiwali na siebie, układali plan działania. Najmłodszy chłopiec zeszedł w dół stoku zaganiając z pomocą Kuna owce do zagrody, Kuno czekał, owce beczwały, konie uwolnione z pługów były wyraźnie podniecone; rżały biegając na długość swoich postronków, z uszami po sobie. Krowy porykiwały zaniepokojone, cielaki odpowiadały im muczeniem. Mężczyźni weszli między zwierzęta, żeby je uspokoić i zapędzić bezpiecznie do zagród. Gdy matka Müller, w pół tuzinie halek podwiązanych na biodrach i wpuszczonych w buty sięgające jej ud, szła w kierunku obór, miażdżący cios pioruna rozerwał warstwę chmur i nawałnica runęła na dom z siłą fali uderzającej o statek. Wiatr roztrzaskał szyby, potoki wody wdarły się do środka. Belki dachu trzeszczały, wyginały się ściany, ale dom stał na swoich fundamentach. Dzieci wepchnięto do sypialni w głębi domu, gdzie leżała Gretchen. – Chodźcie i usiądźcie tu na łóżku – powiedziała im spokojnie – i bądźcie cicho. – Usiadła w szalu zarzuconym na ramiona i przytknęła dziecko do piersi. Weszła Annetje i zostawiła pod jej opieką swojego chłopaczka; potem przykucnąwszy w drzwiach trzymała się jedną ręką poręczą ganku, a drugą zanurzyła w rozszalałej wodzie, która sięgała już progu, i wyłowiła na pół utopione jagnię. Podeszłam do niej. Kanonada grzmotów zagłuszyła nasze słowa, ale zaniósłszy jagnię do sieni pod schody, gdzie wytarliśmy mokre runo szmatami i naciskałyśmy biedaczkowi brzuch, dopóki nie uwolnił się od wody, i w końcu doprowadziłyśmy do tego, że usiadł podkulając kopytka. Annetje, szczęśliwa i tryumfująca, powtarzała z radością: – Żyje, żyje, spójrz!

Mężczyźni wrzeszczeli i dobijali się do wejścia kuchennego, więc zostawiłyśmy jagnię i pobiegłyśmy otworzyć drzwi. Weszli, była z nimi matka Müller, na ramionach miała nosidła i przyczepione do nich konwie z mlekiem. Woda lała jej się ze spódnic, trójkątny kawałek czarnej ceraty na głowie ociekał, gumowe buty zsunęły się i zmarszczyły pod ciężarem

wepchniętych w nie halek. Stała obok ojca Müllera, wyglądali oboje jak dwa stare, sękaty, rażone piorunem drzewa; jego broda i ceratowy płaszcz ociekały wodą, twarze obojga były teraz pociemniałe, stare, zmęczone, zmęczone nieodwracalnie; już nigdy, do końca ich życia, nie będą wypoczęte. Nagle ojciec Müller ryknął na nią:

– Idź, przebierz się w coś suchego! Chcesz być chora?

– Też mi – powiedziała zdejmując nosidła i stawiając konwie na podłodze. – Sam się przebierz. Zaraz ci przyniosę skarpetki.

Jeden z chłopców powiedział mi, że wzięła urodzonego wczoraj cielaka na plecy i wniosła po drabinie na sąsiek, gdzie umieściła go bezpiecznie za belami słomy. Potem wprowadziła krowy do obory i siedząc na stołku w przybierającej szybko wodzie wszystkie je wydoiła. Uważała najwyraźniej, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

– Hatsy! – zawołała. – Chodź i pomóż mi z tym mlekiem!

Błada, drobna Hatsy przybiegła boso, bo zawołano ją w trakcie zdejmowania mokrych butów; gdy biegła, grube, żółtosrebrne warkoczki podskakiwały jej na plecach. Tuż za nią wszedł jej młody mąż, teściowa wyraźnie go onieśmiała.

– Ja to zrobię – powiedział chcąc oszczędzić ukochanej tak wielkiego wysiłku i zaczął podnosić ogromne konwie.

– Nie! – wrzasnęła matka Müller. Biedak z przerażenia o mało nie przysiadł. – Nie dotykaj mleka. To nie jest robota dla mężczyzny.

Cofnął się i stał patrząc na Hatsy, gdy nalewała mleko z konwi do dzbanków; ciemne strużki błota spływały z jego butów.

Matka Müller pośpieszyła za mężem, żeby pomóc mu się przebrać, ale w drzwiach obróciła się i spytała: – Gdzie jest Ottilie?

Nikt nie wiedział i nikt jej nie widział.

– Znajdźcie ją – rozkazała matka Müller wychodząc – i powiedzcie, żeby nam dała kolację.

Hatsy kiwnęła na męża, razem podeszli na palcach do drzwi izdebki Otilie i otworzyli je cicho. Zobaczyli ją w świetle padającym z kuchni, siedziała sama, skulona na brzegu łóżka. Hatsy otworzyła drzwi szeroko, żeby wpuścić więcej światła, i zawołała wysokim, przenikliwym głosem: – Otilie! Kolacja! Jesteśmy głodni! – Po czym młoda para wyszła z kuchni, żeby zajrzeć pod schody do jagnięcia Annetje. A następnie wzięłyśmy z Hatsy i Annetje miotły i zaczęłyśmy wygarniać błotnistą wodę i potłuczone szkło z sieni i jadalni.

Burza cichła stopniowo, ale nasilenie ulewy nie słabło. Przy kolacji Müllerowie rozmawiali o stratach w pogłowie zwierząt i o konieczności zastąpienia ich nowymi sztukami. Wszystkie pola trzeba będzie powtórnie obsiać, cała praca wiosenna poszła na marne. Byli zmęczeni i przemoczeni, ale jedli z apetytem i w spokoju ducha, nabierali sił do ogromnej pracy przy naprawie i porządkowaniu, którą będą musieli rozpocząć nazajutrz wczesnym rankiem.

Do rana bębnienie deszczu o dach prawie ustało; wyjrzałam przez okno i zobaczyłam tafłę wodną w kolorze sepii, poruszającą się leniwie w kierunku doliny. Dachy obór zwisały jak płachty namiotu, na wodzie unosiły się lub tkwiły w miejscu zaczeplone o płoty martwe zwierzęta.

Matka Müller siedziała przy śniadaniu pojękując nad filiżanką kawy. – Ach – wzdychała – skąd mi się bierze taki ból głowy. I tu – uderzyła się w pierś. – Całe ciało mnie boli. Ach, Gott, jestem chora. – Wstała wciągając chrapliwie oddech, policzki miała rozognione. Zawołała Hatsy i Annetje, żeby jej pomogły wydoić krowy.

Wróciły bardzo prędko, spódnice miały zbryzgane do kolan; siostry podtrzymywały matkę, która nie mogła dobyć głosu i z trudem trzymała się na nogach. Położyły ją do łóżka, leżała nieruchomo, z ciemnymi wypiekami na twarzy. Wszyscy byli zdezorientowani, nie wiedzieli, co robić. Opatulili ją kołdrami, które natychmiast zrzuciła. Proponowali jej

kawę, piwo, zimną wodę, ale ona odwróciła tylko głowę. Przychodzili synowie, stawali obok łóżka i przyłączali się do chóru. – Mütterchen, Mutti, Mutti, jak ci możemy pomóc? Powiedz, co ci potrzeba? – Ale ona nie mogła im powiedzieć. W miasteczku był doktor, nikt jednak nie zdołałby przejechać tych dwunastu mil, bo powódź zerwała ogrodzenia i mosty, podmyła drogi. Rodzina słoczyła się w pokoju, wszyscy zdenerwowani, w panice, bezradni dopóty, dopóki ona nie oprzytomnieje i nie powie im, co mają zrobić. Wszedł ojciec Müller, ukląkł przy łóżku, ujął jej obie dłonie i przemawiał z najtkliwszą czułością, a gdy mu nie odpowiadała, wybuchnął głośnym płaczem, łzy spływały mu po policzkach. – Ach, Boże, Boże. Sto tysięcy dolarów w banku – toczył wściekłym okiem po swoich dzieciach zwracając się do nich łamaną angielszczyzną, jak gdyby sam sobie wydawał się obcy, jak gdyby zapomniał ojczystego języka – i powiedzcie... powiedzcie, co nam z tego?

Przestraszyło ich to i nagle wszyscy jednocześnie zaczęli wołać i lamentować, i błagać ją; powstała przeraźliwa wrzawa. I pośród tego zgiełku matka Müller umarła.

Wczesnym popołudniem deszcz ustał i słońce było miedzianą tarczą na bezlitośnie jaskrawym niebie. Gęste wody spłynęły do rzeki ukazując nagie, brązowe wzgórze; płoty leżały spłaszczone i splątane, młode drzewka brzoskwińowe były odarte z kwiecica, korzenie obnażyły im się i zwisały. W lesie nastąpiła gwałtowna eksplozja dojrzałego listowia, gęstego jak dżungla, lśniącego i rozjarzonego – nagromadzenie głębokiej, pawiej zieloności i kobaltowych cieni.

W domu panowała taka cisza, że musiałam wyteńczyć słuch, żeby się przekonać, że ktoś tu mieszka. Nawet najmłodsze dzieci chodziły na palcach i mówiły szeptem. Przez całe popołudnie rozlegał się w stodole

monotonny stuk młotków i pojękiwanie piły, a o zmroku mężczyźni przynieśli błyszczącą trumnę z żółtej sosny, z uchwytami ze sznura, i postawili ją w sieni. Stała tak z godziną czy dwie i ktokolwiek tam wchodził, musiał przez nią przestąpić. Potem Annetje i Hatsy, które myły i ubierały ciało, stanęły na progu i przywołały mężczyzn ręką. – Możecie ją teraz wnieść.

Przez całą noc matka Müller leżała w otwartej trumnie na środku bawialni, ubrana w czarną jedwabną suknię z koronkowym kołnierzykiem, w małym koronkowym czepku na głowie. Ojciec Müller siedział tuż obok na pluszowym krześle, wpatrzony w jej twarz, bardzo zamyślony i łagodny, obcą. Od czasu do czasu płakał bezgłośnie, wycierał twarz i głowę ogromną chustką. Córki przynosiły mu kawę. Nad ranem zasnął.

Również w kuchni światło paliło się prawie całą noc, a odgłosowi ciężkich butów Otilie, stukających niepewnie po deskach podłogi, towarzyszył furkot młynka do kawy, jak skrzypliwe granie świerszczy, i zapach piekącego się chleba. Weszła do mnie Hatsy.

– Jest na dole kawa i ciasto. Lepiej niech pani coś zje – powiedziała odwracając się z płaczem, krusząc w palcach swój kawałek ciasta. Stałyśmy jedząc w milczeniu. Otilie wniosła następny dzbanek kawy, oczy miała załzawione, nieruchome, chód jak zwykle śpieszny i ruchy na pozór bezcelowe, a gdy trochę wrzątku wylało jej się na rękę, chyba nic nie poczuła. Odczekali jeszcze jeden dzień, a potem najmłodszy chłopiec wyprawił się po pastora ewangelickiego, z którym przyszło kilku sąsiadów. Do południa zjechało się ich wielu, wszyscy ochlapani błotem; konie były spienione, robiły ciężko bokami. Przy każdym powitaniu Müllerowie na nowo wybuchi płaczem, wszyscy płakali tak naturalnie i otwarcie, jak dzieci. Twarze mieli mokre i złagodniałe od tych swoich łez; ich rysy wydawały się przyjemnie odprężone. Dobrze im było, że mogą sobie pofolgować, że mają powód do płaczu, powód nie wymagający

ani usprawiedliwień, ani wyjaśnień. Ich łzy były jednocześnie zbyt ciężkim i lekarstwem dla duszy. Bezpieczni we wspólnej żałości wyplakiwali z siebie samo jądro tajonych trosk, ukryte w sercu każdego człowieka; dzieląc swój smutek pocieszali się wzajemnie. Przez jakiś czas będą chodzili na grób, będą pamiętali, a potem życie ułoży się według innego porządku, a jednak będzie znów takie samo. Już teraz myśli żyjących wybiegały ku dniu jutrzejszemu, kiedy wezmą się do odbudowywania, naprawiania, ponownych siewów – nawet teraz, dzisiaj, wrócą śpiesznie z pogrzebu, żeby wydoić krowy i nakarmić drób, będą może płakali przez wiele dni, aż w końcu łzy ich wyleczą.

W tym dniu rozumiałam po raz pierwszy, czym jest – nie śmierć, tylko strach przed umieraniem. Kiedy wyniesiono trumnę i postawiono ją na małym wiejskim karawanie, i gdy zobaczyłam, że formuje się kondukt, poszłam na górę i położyłam się w moim pokoju. Wpatrzona w sufit słyszałam i odczuwałam złowieszczy ład i zamysł w ruchach i odgłosach na dole – trzeszczenie uprzęży i stuk kopyt, i skrzyp kół, ściszone poważne głosy – i było tak, jakby mi z przerażenia krew zziębła i odpłynęła z serca, podczas gdy mój umysł pozostał całkowicie przytomny, aby przyjąć owo straszne wrażenie. Ale kiedy rozumiałam, że opuszczają podwórze, strach zaczął ustępować. Odgłosy cichły, a ja leżałam nie myśląc, nie czując, w półśnie ulgi i znużenia.

Drzemiąc usłyszałam szczekanie psa. Wydawało mi się, że to sen, i nie chciałam się obudzić. Śniłam, że Kuno złapał się w pułapkę; potem przyszło mi do głowy, że naprawdę się złapał, że to nie jest sen i że muszę się obudzić, bo poza mną nie ma w domu nikogo. Oprzytomniałam, krzyk wionął we mnie jak podmuch wiatru, i nie było to wycie psa. Zbiegłam na dół i zajrzałam do pokoju Gretchen. Leżała zwinięta w kłębek, tuliła do siebie dziecko. Oboje spali. Pobiełam do kuchni.

Ottilie siedziała na swoim koślawym krześle trzymając stopy na

brzegu otwartego piekarnika, gdzie ogień już wygasł. Ręce zwisały jej bezwładnie po bokach, z palcami podkurczonymi; głowę miała odrzuconą do tyłu i szlochała wijąc się, wyciągając szyję, bez łez. Na mój widok wstała, podeszła do mnie i położyła mi głowę na piersi, a jej zwisające ręce wykonały ruch do przodu. Nagle zadygotała i zaczęła bełkotać i jęczeć, i jak szalona wymachiwać ramionami przez otwarte okno, gdzie na drodze za ogołoconym sadem brzoskwiniowym kondukt wyprostował się i ustawił w ceremonialnym szyku. Chwycałam ją za ramiona czując, jak jej nienaturalnie węzłowate mięśnie prężą się i napinają pod szorstkim rękawem, i wyprowadziłam na ganek; zostawiłam ją tam, siedziała na stopniach kiwając głową.

W stajni został tylko rozklekotany mały wóz i kudłaty konik, który pierwszego dnia przywiózł mnie na farmę. Uprząż nadal była dla mnie tajemnicą, ale zdołałam połączyć konika z wozem jako tako bezpiecznie, a przynajmniej tak mi się zdawało; i pchałam, szarpałam, ciągnęłam Otilie, dopóki nie władowałam jej na wóz i sama nie usiadłam obok z lejcami w ręce. Przechyleni na bok jechaliśmy drogą niechętnym kłusem, konik podskakiwał jak tłok parowy, koła obracały się niezdarnie, podrygiwały jak aktorzy w kiepskiej komedii. Obserwowałam te krotochwilne błazeństwa kół z wielką uwagą i z nadzieją, że nie stanie się nic złego. Ześlizgiwaliśmy się w okrągłe jamy napełnione zielonym błotem i przeskakiwaliśmy ryzykownie przez rowy, nad którymi stały dawniej mostki. Gdy znaleźliśmy się na bezdrożu, które było kiedyś główną drogą, wstałam, żeby zobaczyć, czy dogonimy kondukt; tak, z pewnością, włókł się krok za krokiem niczym rozsypany orszak czarnych żuków przepelzających bezładnie przez grudki ziemi.

Otilie, cicha teraz, siedziała zgięta we dwoje, zsuwając się na brzeg ławeczki. Schwycałam ją za mocny pasek i palce weszły mi między jej odzienie a nagie ciało, szorstkie i chude, suche w dotyku. Odczucie jej

autentyczności, jej człowieczeństwa – tej zmiażdżonej istoty będącej kobietą – było dla mnie takim wstrząsem, że wycie podobne do jej wycia, tak psie i tak rozpaczliwe, zerwało mi się w piersi i niewypowiedziane zamarło, żeby już na zawsze pozostać zjawą. Otilie zmrużyła oczy i spojrzała na mnie, a ja odpowiedziałam jej spojrzeniem. Splątane zmarszczki na jej twarzy zmieniły się w groteskowy sposób, z ust wyrwał się zduszony, cichy skowyt i nagle roześmiała się na głos – przypominało to kwilenie, ale było niewątpliwie śmiechem – i zaczęła klaskać z uciechy, zwracając otwarte usta i cierpiące oczy ku niebu. Głowa kolebała jej się i kiwała zgodnie z błazeńskim rytmem naszej podrygującej, chybotliwej jazdy. Dotyk gorącego słońca na plecach, przejrzyste powietrze, uciężne, bezsensowne zataczanie się kół, pawia zieleń nieba – coś z tego musiało do niej dotrzeć. Była szczęśliwa i rozweselona, gruchała i kołysała się na swoim miejscu, opierając się o mnie i wymachując bezładnie ramionami, jak gdyby chciała mi pokazać te cuda dokoła.

Zatrzymawszy konika przyglądałam się chwilę jej twarzy, przeżuwałam w myślach moją ironiczną omyłkę. Nic nie mogłam zrobić dla Otilie, jakkolwiek egoistycznie pragnęłam zrzucić z serca ten ciężar, jakim stała się dla mnie; była poza moim zasięgiem i poza zasięgiem ‘ludzi w ogóle, ale czy mimo wszystko nie dotarłam do niej bliżej niż do kogokolwiek innego w tym moim usiłowaniu zniwelowania, przerzucenia pomostu nad dzielącą nas odległością, a raczej nad odległością dzielącą Otilie ode mnie? No cóż, obie w jednakiej mierze byłyśmy igraszka życia, w jednakiej mierze uciekinierkami od śmierci. Zdołałyśmy przynajmniej uciec jeszcze na ten jeden dzień. Uczymy nasze szczęście, zrobimy sobie małe, kradzione wakacje, odetchniemy tego pięknego, radosnego popołudnia wiosną i wolnością.

Otilie zaczęła się wiercić, zaniepokojona nagłym bezruchem. Szarpnęłam lejce, konik ruszył i skręciliśmy przez wąski rów na

ścieżkę biegnącą w bok od głównej drogi. Oszacowałam okiem słońce posuwające się łagodnie ku zachodowi; będzie dość czasu, żeby pojechać dróżką wysadzaną morwami nad rzekę i z powrotem do domu, zanim wrócą żałobnicy. Będzie dość czasu, żeby Ottilie zdążyła im przygotować kolację. Nie muszą nawet wiedzieć, że wyjeżdżała.

KATHERINE ANNE PORTER

Katherine Anne Porter urodziła się w 1894 roku w Indian Creek w stanie Teksas. Od najmłodszych lat pasjonuje ją i pochłania pisanie; po ukończeniu szkoły pracuje w kilku dziennikach, pisze recenzje, artykuły polityczne i okolicznościowe, ale dopiero mając trzydzieści cztery lata wydaje pierwszy tom nowel, „*Flowering Judas*”, który przynosi jej stypendium Guggenheima i bardzo pochlebne opinie krytyków przyrównujących ją do Virginii Woolf i Katherine Mansfield. Następne tomy, „*Noon Wine*”, „*Pale Horse, Pale Rider*” i „*The Leaning Tower*”, utwierdzają jej pozycję w czołówce prozaików amerykańskich.

W roku 1962, po dwudziestu latach pracy nad książką, ukazuje się „*Statek szaleńców*” („*Ship of Fools*”), wydany przez nas przed kilkoma laty.

W odróżnieniu od wydanych ostatnio nowel pt. „*Wino o południu*”, obecnie prezentowany tom zawiera pięć opowiadań o wyraźnie autobiograficznym charakterze.